





Stefan Grabiński

Demon ruchu

1919 r.

Spis treści

Okładka Karta tytułowa

1. Głucha przestrzeń

2. Smoluch

3. W przedziale

4. Wieczny pasażer (humoreska)

5. Fałszywy alarm

6. Demon Ruchu

7. Maszynista Grot

8. Sygnały

9. Dziwna stacja (fantazja przyszłości)

10. Błądny pociąg

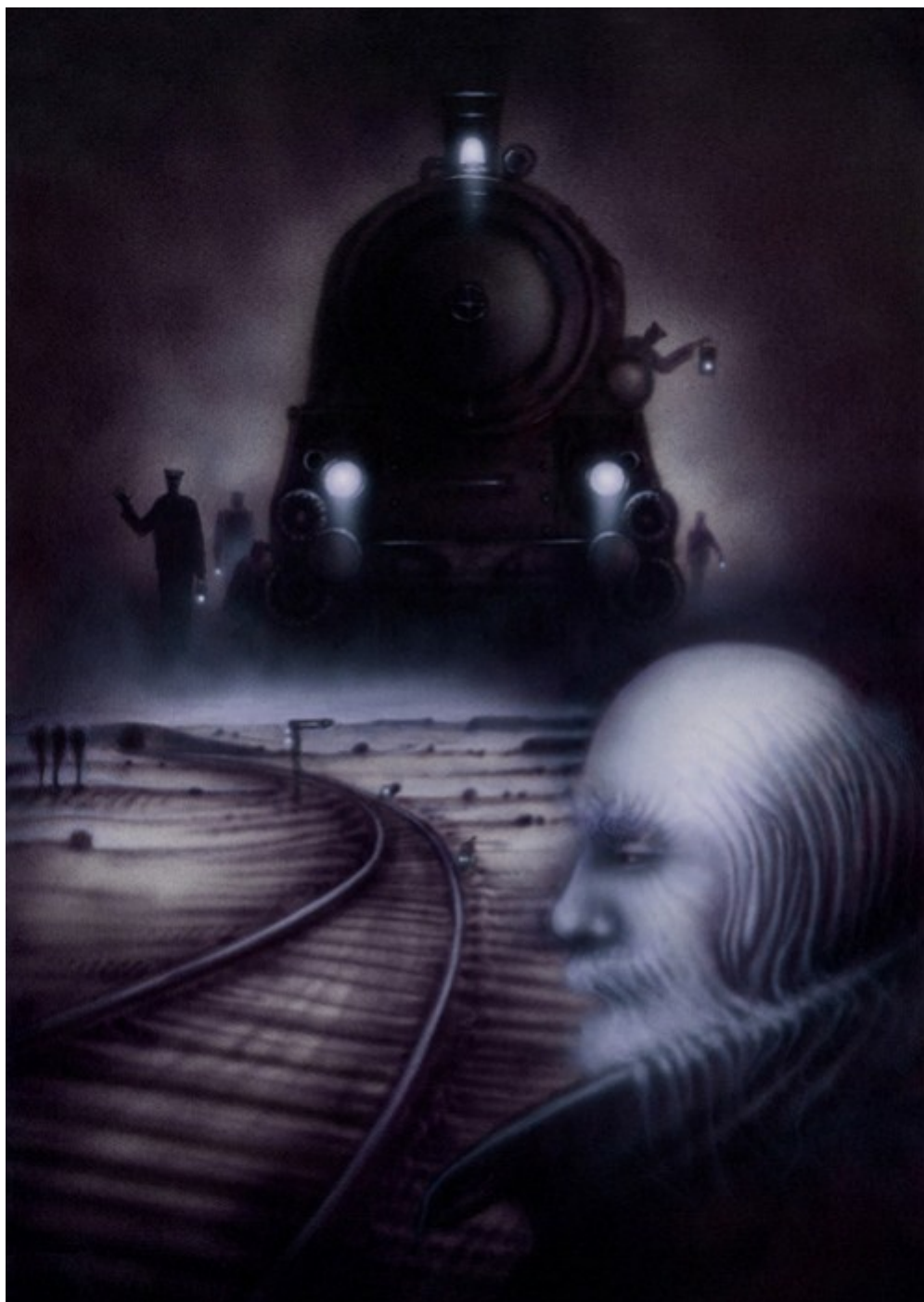
11. Ślepy tor

12. Ultima Thule

13. Engramy Szatery

O autorze

Karta redakcyjna



Głucha przestrzeń (ballada kolejowa)

Pomiędzy Orszawą a Byliczem zregulowano przestrzeń. Stało się to możliwym dzięki zasypaniu mokradeł nad Wierszą i przeprowadzeniu niwelacji pod tzw. „Uplazikiem”. Wskutek tego linia uległa znacznemu skróceniu, gdyż pociąg zamiast omijać bagnisty teren w wielkim, silnie na północ wygiętym łuku szedł teraz po jego cięciwie, zmierzając do celu prosto jak strzała.

Skrót okazał się ze wszech miar pożądanym. Ruch kolejowy zyskał znacznie na tempie, a okolica, dotychczas malaryczna z powodu bagiennych wyziewów, wkrótce przybrała charakter suchej, zdrowej równiny, która wnet pokryła się bujną zielonością.

Dawną przestrzeń, okrężną, zwaną teraz „głuchą”, zamknięto i izolowano. Do rozebrania toru i usunięcia obiektów kolejowych zamierzała dyrekcja ruchu przystąpić dopiero po pewnym czasie. Nie było z czym się spieszyć; wiadoma rzecz: zburzyć łatwo, zbudować trudniej...

Tymczasem w rok po oficjalnym zamknięciu starej linii zaszedł fakt dziwny i

niespodziewany.

Pewnego dnia zgłosił się u dyrektora odnośnego departamentu w Orszawie niejaki Szymon Wawera, wysłużony inwalida kolejowy i emerytowany konduktor, z prośbą, by mu oddano pod opiekę wyłączoną z ruchu „głuchą przestrzeń”. Gdy mu dyrektor przedstawił, że jest to zupełnie zbyteczne, bo pętlicę w najbliższych miesiącach rozbiorą, i że funkcja „budnika” w tych warunkach byłaby co najmniej iluzoryczną, jeśli już nie wprost śmieszną, oświadczył Wawera, że będzie pilnował starego toru całkiem bezinteresownie.

— Bo proszę pana naczelnika — tłumaczył gorąco — w dzisiejszych ciężkich czasach to i na szyny ludzie się łakomią. A szkoda byłaby wielka dla kolei, panie naczelniku, wielka szkoda. Proszę samemu obliczyć: tyle dobrego kutego żelaza! Tor tam przeszło 12 km długi! Jest się czym obłowić. A ja dopilnuję wiernie jak pies, panie naczelniku. Nie dam uszczknąć ani jednego metra! Jakem stary konduktor Wawera! Centusia za to nie chcę, ani złamanego szeląga. Choćby mi pan dyrektor sam pchał do ręki, nie wezmę nic. Ja tak tylko z miłości wielkiej do zawodu i dla honoru chcę być budnikiem na „głuchej przestrzeni”.

Dyrektor ustąpił.

— Ha, jeśli już tak konieczne, i to bezinteresownie, pilnuj pan sobie tej linii do czasu. A zatem — dodał z uśmiechem lekkiej ironii, uderzając go po ramieniu — mianuję pana od dzisiaj dróżnikiem „głuchej przestrzeni”.

Wawera ze łzami w oczach ucisnął dłoń zwierzchnika i wyszedł z biura szczęśliwy jak nigdy.

Nazajutrz objął „służbę”. Zabrał ze sobą z Orszawy parę gratów — mebelków, pościel, trochę książek i naczyń kuchennych, i spakowawszy to chude gospodarstwo na ręczny wózek sprowadził się na nowe mieszkanie, którym miała odtąd być budka byłego dróżnika wyłączonej z ruchu strefy. Był to budynek niewielki, nadniszczony już przez całoroczne zaniedbanie, lecz w dziwnie pięknym otoczeniu.

Wciśnięta we wnękę parowu, parę metrów nad poziomem toru, budka wyglądała z daleka pod swym daszkiem z czerwonego łupku jak zaczarowana chatka z bajki. Mały lasek jodłowy wyrosły półkolem na szczycie jaru ujmował ją w opiekuńcze ramiona i chronił od wichrów północy. W wybite okna zaglądały złote głowy słoneczników, przemycał się szerokolistny łopian — w rynnach powyginanych fantastycznie leżały się pisklęta jaskółek. Przed domem w ogródku zarosłym zielskiem na głucho oddawała się wiatrom na wolę samotna topola...

Wawera u wstępu objął miłosnym spojrzeniem nową sadybę i żwawo zabrał się do porządkowania i naprawek.

A potrzebne już były bardzo, bo jego poprzednik opuścił posterunek jeszcze przed rokiem, po zamknięciu przestrzeni, i budka zdana na łaskę losu ucierpiała ogromnie od niepogody i ludzkiej chciwości. Lecz Wawera nie stracił ducha i piorunem rzucił się do roboty.

Powstawał wybite lub pokradzione szyby, załatał dziurę w dachu, naprawił wywalone z zawiasów drzwi. Po tych najkonieczniejszych reparacjach przyszła kolej na dalsze: rekonstrukcję rozdrapanej prawie do cna podłogi i ustawienie brakujących przęseł w ogrodzeniu. Zabrało mu to parę dni czasu, bo musiał wszystko robić sam, ale humoru nie tracił, lecz owszem pogwizdywał wesoło przy pracy jak szczygieł. Gdzieś u schyłku tygodnia, gdy już robota była na ukończeniu, przyplątał się doń jakiś beznamiętny pies i zamieszkał pustą budę koło drewni za domem. Wawera chętnie przygarnął go do siebie, uważając zjawienie się zwierzęcia za dobrą wróżbę na przyszłość.

Pierwszą niedzielę na nowej placówce spędził Wawera na modlitwie i rozmyślaniach. Wyciągnąwszy się po południu na zboczku wąwozu opodal domu na trawie, wlepił oczy w majowy błękit nieba i zapadł w długą zadumę, z której obudziły go dopiero głosy dzwonów wieczornych płynące z Orszawy...

Nazajutrz od rana rozpoczął właściwą służbę od przeglądu powierzonej sobie przestrzeni.

Pętlica była dość długa, bo przeszło 12 km, i niemal od początku do końca szła głębokim, wąskim parowem, którego ściany tworzyły rozstęp szerokości podwójnej wstęgi torów. Budka dróżnika wznosiła się mniej więcej w połowie „głuchej przestrzeni”, w miejscu gdzie łuk jej krzywizny wyginał się najsilniej ku północy.

Rewia zajęła Wawerze przeszło pięć godzin, bo prawa noga będąca kikutem poniżej kolana przeszkadzała mu znacznie w chodzeniu. W końcu jednak zbadał dokładnie linię w jedną i drugą stronę i zadowolony z rezultatu wrócił do budki na posiłek.

Ostatecznie przestrzeń nie przedstawiała się najgorzej.

W jednym tylko miejscu brakowało kilku metrów szyny, lecz to można było jakoś nadsztukować.

Nie święci garnki lepią — pomyślał, krając chleb i zapijając go jakąś imitacją barszczu. — Ludzie wstawiają sobie zęby, czemuż bym ja nie potrafił wstawić kilkumetrowego kawałka szyny?

I wstawił. Gdzieś pod nasypem kolejowym, pod jakimś kamiennym mostkiem wyszperał parę zardzewiałych już żelaznych sztab, oczyścił, przekuł w ogniu przy nitach, przystosował do reszty i załatał szczerbę w torze do niepoznaki. Równie gładko poszło z naprawą starej zwrotnicy i z wybitym okiem dwu latarni „stacyjnych” opodał budki. Wkrótce stawidło funkcjonowało jak za dawnych dobrych czasów, a w nocy, począwszy od godziny siódmej, rozbłyskiwały latarnie miłym, acz nikłym trochę światłem.

Wawera dumny był ze swego dzieła i rozmiłowanymi oczyma wodził po swojej „strażnicy”, po torze czyściutko utrzymanym i po lśniących relsach. Nie miał nic do zarzucenia swojej przestrzeni. Wszystko tu było jak i gdzie indziej, na czynnych liniach. Był bo i tor podwójny, i krótki tunel powyżej budki, a nawet blok, prawdziwy, w całym tego słowa znaczeniu blok z dźwigniami do przerzutów. Istnienie tego budynekczku o parę metrów od sadyby dróżnika pasowało właściwie placówkę na „przystanek”. Jakoż była tu rzeczywiście przed laty mała stacyjka, przy której budnik spełniał równocześnie funkcje naczelnika. Podobno nawet jeszcze na rok przed wyłączeniem pętlicy zatrzymywały się tu czasem pociągi towarowe na małą chwilę.

Wiadomość ta podniosła ogromnie w oczach Wawery znaczenie jego posterunku i doniosłość związanych z nim zadań. Odtąd zaczął traktować swą budkę jako przystanek i postanowił uczynić wszystko, ażeby utrzymać go na wysokości przeznaczenia. Toteż otoczył jak najtroskliwszą opieką blok i zawarte w nim obiekty, których strzegł jak oka w głowie. Chcąc niejako umotywić wobec siebie i drugich istnienie tego budynku i przywrócić mu dawną rację bytu, powielił tor przed blokiem o jedno odgałęzienie szyn, które niewątpliwie niegdyś musiało tu istnieć, lecz później jako zbędne zostało usunięte.

Ponieważ to ostatnie zadanie przechodziło już jego siły i zdolności techniczne, uciekł się do pomocy jednego z kolejowych kowali z ogrzewalni stacyjnej w Byliczu, niejakiego Luźni, i pozyskawszy go paczką przedniego tytoniu, namówił do przywrócenia jego „stacji” jej dawnego wyglądu. Kowal przeprowadził restytucję odgałęzienia wedle wskazówek dróżnika i odtąd został jego najserdeczniejszym przyjacielem.

W godzinach wieczornych, wolnych od pracy, przychodził Luźnia w odwiedziny do budnika i usiadłszy razem na belce pod blokiem lub na progu stacji, gawędzili pod nieszpór, ćmiąc fajki.

Wtedy to wśród przyjacielskiej rozmowy, przy wtórce zasypiających koników polnych, rechocie bagiennych żab, przyszło do wzajemnych zwierzeń.

Powoli wyszło na jaw, że Szymon Wawera nie zawsze był w życiu „sam jako ten palec”, że miał niegdyś młodą i piękną żonę i parę dzieci o główkach jasnych jak len, jedwabistych. Hej, minęło szczęście, minęło niewrotne! Żonę uwiódł spanoszony bogacz, dzieci śmierć zabrała. Odtąd nikt go nie oczekiwał w pustym, zimnym domu, gdy powracał z tury... Potem przyszedł karambol pod Wolą. Stracił wtedy nogę i służbę; musiał pójść na pensję. A miał jeszcze ochotę do pracy, o, i jaką ochotę!... Lecz trudno — nie można było inaczej. To przekłete kalectwo!

A zawsze go coś ciągnęło do kolei. Nie mógł się z nią rozstać w żaden sposób. Przez parę lat po spensjonowaniu pracował jako posługacz przy magazynach na dworcu towarowym, staczając beczki i bale po pomostach, potem, gdy noga zaczęła odmawiać posłuszeństwa, zarabiał z dnia na dzień w ogrzewalni przy dworcu w Zbąszynie jako pomocnik ślusarski. A zawsze przy kolei, zawsze w pobliżu ukochanych wagonów, maszyn i przestrzeni. Dalekie to jeszcze od konduktorstwa, dalekie jak niebo od ziemi, ale przecież — przynajmniej się człowiek ocierał o kolej.

O, bo nie masz to jak konduktorska dola! Jedzie sobie człowiek tak w przestrzeń, jedzie hen,

daleko przed siebie, milami jedzie, stajami... Świat mu się kręci, w dal ścieli, migają miasta w przelocie, mijają pola, gościńce... Konduktor tak jedzie, panowie, konduktor — człek-tułacz wieczysty!...

Tak mijały lata, płynął czas niepowrotną falą... Aż pół roku temu zasłyszawszy przypadkiem w rozmowie coś o „głuchej przestrzeni” między Orszawą a Byliczem porzucił ogrzewalnię i przeniósł się w te strony, by czuć nad opuszczoną linią.

I oto teraz został budnikiem, co więcej, kierownikiem przystanku. Ludzie się podobno śmieją z niego, że to „głuchej” pilnuje przestrzeni i „przed wiatrem broni”. Niech się tam śmieją zdrowi. On swoje wie także. A rozdrapywać więcej toru nie pozwoli i porządek utrzyma. I oto znów służy kolei, i wrócił do niej jak syn marnotrawny w dom rodzica po latach. Dach nad głową ma, stację i przestrzeń ma, dobra kolejowego dogląda — czegoż mu więcej potrzeba?...

Słuchał Luśnia tych zwierzeń z uśmiechem na ustach, od czasu do czasu przytakując głową. A gdy przyjaciel na chwilę zamilkł i wpatrzył się zamyślony gdzieś w perspektywę toru, wyciągnął lulkę z zębów i zapytał:

— To ty, Wawera, przystałeś tu na budnika tak niby tego, jak by to powiedzieć, niby z takiej tęskności wielkiej do kolei, he?

Wawera oderwał oczy od szyn:

— A niby tak, kochany kowalu, a niby tak.

— Ale bo widzisz, Szymek, właściwie tak Bogiem a prawdą — ty siebie samego tumanisz. Tyś tu właściwie niepotrzebny. Przecie to głucha przestrzeń i pociągi tędy od roku nie chodzą. Nie ma czego pilnować. Tego tam trochę żelaziwa w szynach? A co tam komu po tym? A zresztą choćby i ukradli? Nie taka znów wielka szkoda dla kolei. To tylko zabawka i tyle.

Wawerze jakby kto nóż utopił w serce. Spochmurniał, zaciął wargi i poderwał się z miejsca:

— Kiedy tak, to idźże sobie precz stąd, do licha! No, słyszałeś?! Won stąd, mówię, pókim dobry! Kiedyś taki mądry jak inni, to idź sobie pomiędzy nich i śmieję się ze mnie wraz z nimi. Ale dobrze mi tak, staremu durniowi! Po co było otwierać serce pierwszemu z brzegu? Oto masz i nagrodę. Napluło ci bydlę w twarz i splugawiło ci duszę. Won stąd, powiadam, bo mnie popamiętasz!

Luśnia zmieszał się, poczerwieniał, stropił się ogromnie. Głosem urywanym, pełnym skruchy i żalu zaczął się usprawiedliwiać i przepraszać.

— No, no, stary, nie gniewaj się, nie sierz tak okrutnie. Ja, widzisz, chciałem co innego powiedzieć. Tylko nie wiedziałem jak. Zwyczajnie człek prosty jestem, kowal. Ty — co innego: konduktor; wieleś świata zwiedził, książki czytasz. Tylko, widzisz, nie mogłem sobie jakoś tego wykalkulować, po co ty właściwie zaszyleś się tutaj na stare lata. Ale teraz to widzę, niby tak w sercu czuję, dlaczego. Tyś inny człowiek jak inni.

Wawera spojrział nań z ukosa, trochę z niedowierzaniem, lecz znać już przejednany:

— No tak, to co innego. Jeśli sam przyznajesz, żeś głupi i nie rozumiesz, to ci ten raz jeszcze mogę wybaczyć. Bo, posłuchaj, Luśnia — dodał, zniżając tajemniczo głos — jest ci tu i inna przyczyna, co mnie tu więzi i trzyma. A że jest — ja to czuję najlepiej tu, głęboko w piersi — tylko jej nazwać jeszcze nie umiem po imieniu, tylko uchwycić jej jeszcze nie potrafię w cęgi słów. Ale ona jest, owa dziwna przyczyna — jest, jest na pewno.

Luśnia patrzył na przyjaciela rozszerzonymi od ciekawości oczyma:

— Masz teraz na myśli nie jeno ową tęskność do kolei?

— Nie, nie. To jest coś innego. Coś, co u mnie z ową tęsknotą się łączy, ale też istnieje i beze mnie, samo dla siebie.

— Co to takiego, Wawera?

— Sza! To tajemnica! Tajemnica „głuchej przestrzeni”. Zamilkli obaj zdjęci nagle nieokreślonym lękiem, zatapiając spojrzenia w mroczniejącą już szyję parowu. Wśród bezdennej ciszy sierpniowego wieczora nadpłynęły nagle od toru ciche, choć wyraźne szmery i szelesty. Jakieś seplenienia stłumione, jakieś poszepty lękliwe, poszczęki...

— Słyszysz, Luśnia? — przerwał milczenie budnik. — Szyny gwarzą...

— Zwyczajnie latem pod wieczór kurczą się od chłodu i przeto szczękają.

— Szyny gwarzą — powtórzył Wawera, puszczając mimo uszu objaśnienie kowala. —
Gawędzą sobie wieczorem po znojach dnia.

— Szyny gadają — powtórzył jak echo Luśnia.

— Tak, tak — mówił dróżnik dziwnie rozmarzony. Czy myślisz, że one nie żyją jak my,
ludzie, zwierzęta lub drzewa?

Kowal spojrział zaskoczony pytaniem.

— Żyją, Luśnia, żyją, jeno swoim własnym, odmiennym od innych stworzeń życiem.

To stanowczo już przekraczało zakres pojęć kowala. Popatrzył pocziwiec na towarzysza
jak na wariata, pokręcił głową i splunawszy od niechcienia w bok, odsunął się trochę na prawo.

— A tor, myślisz, nie żyje, co? — następował nań rozgrzany biernym oporem Wawera. —
A ten parów, ta stacja z blokiem, a ta cała przestrzeń, he?

— Głucha przestrzeń — wtrącił półgłosem Luśnia.

— Głucha, powiadasz? Głucha i ciągle głucha! To wy jesteście głusi, wy, głupi, tępi ludzie,
którzy słyszeć nie chcecie głosu Boga!

Kowal struchlał:

— Nic już nie wiem — bełkotał patrząc półprzytomny na towarzysza. — Nic nie rozumiem.
Ale w Boga — to wierzę.

Dróżnik ze wzrokiem natchnionym, uśmiechnięty, promienny wskazał ręką przestrzeń
nurzącą się już w mrokach wieczornych:

— Wszystko to żyje i wspomina.

Wspomina? — zagadnął żywo Luśnia. — A co wspomina?

— To, co minęło. To, co tu było przed laty. Tak jak my, ludzie, wspominamy przeszłość —
dodał po chwili z głębokim smutkiem w głosie.

— To niby ta twoja przestrzeń wspomina swoją dawność?

— Tak, Luśnia, tak — nareszcie mnie zrozumiałeś.

Wspomina swoją dawność.

— Niby owe stare, dobre czasy...

— Tak, tak — gdy tu jeszcze panował ruch, gdy pociągi przelatywały jak błyskawice,
dudniły głucho koła wozów, przepływały przestrzeń gwizdy lokomotyw.

— To wspomina twoja przestrzeń.

— O tym śni ta moja przestrzeń, śni bez przerwy za dnia w słońcu i w długie, czarne, ślepe
noce...

— A ty, Wawera, a ty?

— A ja wraz z nią niby ta bratnia dusza.

— Śnicie oboje, wspominać?

— Śnimy w utęsknieniu wielkim i czekamy.

— Na co? Czego tu wyglądacie?

— Spełnienia tego, o czym śnimy.

— Daremne czekanie: dawność nie wraca.

— Kto ta wie, druhu stary, kto ta wie? Po to ja tu jestem, by ją wskrzesić.

Powstał z belki i podając kowalowi rękę na pożegnanie, dodał po chwili milczenia:

— Czy myślisz, że wspomnianie — to nic, to tylko takie sobie puste słowo?

Zapukał bystre spojrzenie w dół, na dno parowu, musnął nim nasyp, tory i zatrzymał się na
zboczach wąwozu:

— Tu wszędzie żyją te wspominki; wałęsają się dla oka ludzkiego niewidoczne pomiędzy
ścianami tego jaru, tłuką po tych szynach, włóczą hen, po całej przestrzeni. Tylko trzeba umieć
patrzeć i słuchać.

— Wspominki dawnych lat?

— Wspominki — ślady niezatarte. Bo pomyśl, Luśnia, pomyśl tylko, czy to możliwe, by po
tym wszystkim nie zostało nic!

— Niby po czym?

— Pomyśl tylko! Tyle lat, tyle dziesiątków lat przejeżdżały tą gardzielą pociągi, napelniając

ją łoskotem kół, grzechotaniem relsów, tyle lat zbrocza tego parowu podawały sobie na przemian niby piłki rozbudzone echa. Dzień w dzień, noc w noc rodziły się i marły w tej wąskiej, ciasnej szyi wiry powietrza, wieszwały się po szkarpach łachmany dymów, tuliły mgliste ich smoczki do nasypu, kryły pod sklepem tunelu...

— Co chciałeś rzec, Wawera?

— Chciałem rzec jeno, że wspomnienia nie giną. Dobranoc ci, Luśnia, dobranoc!

I tak się w ten wieczór rozstali...

Tymczasem minęło lato, zaczęła się jesień. Dróżnik wciąż wiernie stróżował na swojej przestrzeni. Czujny jak żuraw nie przeoczył najmniejszej usterki na linii. Jeśli gdzieś przypadkiem obsunęła się nawierzchnia, zaraz podsypywał świeżego szutru i zrównywał z poziomem. Gdy w którąś noc październikową szalona ulewa podmulila tor, wyzerając w nasypie znaczną wyrwę, nazajutrz budnik pracował przez cały dzień bez wytchnienia, póki szkody nie usunął. Umocnił w kilku punktach pętlicy wychwierutane podkłady, gdzie indziej zastąpił stare już, stoczone przez czerwy progi nowymi. Zielska i trawy na torze nie znosił: gdziekolwiek się rzuciło pomiędzy szyny, plewił niemiłosiernie.

Toteż po upływie siedmiu miesięcy jego „urzędowania” wyglądały przestrzeń i przystanek wzorowo. W dal mknęły wstęgi relsów po nawierzchni posypanej żwirem czyściutkim i miałkim jak piasek, z lekkim chrzęstem przerzucały się naoliwione starannie dźwignie blokowe, wykonywało stawidło swe zwroty gładko i sprawnie jak rumak w tresurze maneżu. Dwa razy na dzień i raz w ciągu nocy odbywał Wawera tzw. „ćwiczenia” i „manewry”, które polegały na szeregu czynności i ruchów wykonywanych zwykle przez dróżników w chwili przejazdu pociągów przez ich placówki. Krokiem sprężystym, krokiem starego weterana wychodził budnik przed stację, brał do ręki sygnał, szeroką, czerwoną lub zieloną tarczę na białym polu, i stawał wyprostowany jak struna między zwrotnicą a budką. Kiedy indziej puszczał w ruch kolbę stawidła lub żelazne dźwignie na bloku i przerzucał szyny na torze. Wieczorami zapalał zielony sygnał za szybką zwrotnicę i drugi, podobny lub biały, na semaforze daleko przed przystankiem, opodal tunelu. Czasami na „nocny alarm” zmieniał światła sygnałów, które wtedy z daleka już ostrzegały barwą rubinu...

A jednak mimo wszystko smutno było na przystanku. Mimo pozorów ruchu i sprawności budnika wiało od przestrzeni pustką jakąś i martwością. Bezwiednie musiał to odczuwać i Wawera, bo gdy na chwilę oderwał się od pracy i wzrokiem błędził po szynach, z oczu wyglądała mu tęsknota i jakaś głęboka zaduma. Dlatego też po krótkim spoczynku tym żarliwiej brał się do pracy.

Powoli, z biegiem miesięcy, wytworzył się między nim a przestrzenią nieuchwytny, choć nader zażyły związek. Wawera stał się z czasem jakby ucieleśnioną w kształcie człowieczym jej świadomością. Obcując ze swą strefą niemal bez przerwy wchłonał wszystkie drzemiące tu tajemnie ślady przeszłości, a wessawszy w siebie, oddawał z powrotem wzmocnione tęsknotą, pulsujące żywą, gorącą krwią kochającego serca.

— Poczekaj, siostrzyczko — szeptał nieraz, topiąc pijane zadumą oczy w siną dał przestrzeni — poczekaj jeszcze trochę, gołąbko! Doczekamy się w końcu, doczekamy.

I przypadał do toru, przykładając ucho do ziemi i słuchał, słuchał z zapartym tchem. Po chwili na twarzy jego żółtej, pomarszczonej rozlewał się przykry wyraz rozczarowania, a z ust zwiędłych, zwiotczących wypływało słowo zniechęcenia :

— Jeszcze nie... Jeszcze za wcześnie...

Nieraz wieczorami pod zorzę zachodu wlepiął godzinami całymi utęsknione oczy w czerniejącą z dala czeluść tunelu i czekał na coś, czekał bez końca...

A tymczasem przyszły złe wieści z miasta. Pewnego dnia przyniósł Luśnia fatalną wiadomość, że dyrekcja ruchu w Orszawie zamierza najpóźniej z wiosną przystąpić do rozebrania przestrzeni. Wawera zgryzł się tym okrutnie i przechorował się ciężko. Po upływie tygodnia dźwignął się wreszcie z łóżka, lecz okropnie zmieniony. Małomówny z natury, teraz zamknął się w sobie zupełnie i absolutnie z nikim nie chciał rozmawiać. Nawet Luśni zabronił wstępu do siebie i z daleka zoczywszy nadchodzącego, zawracał go z drogi gestem ręki. Sposepniał, sponurzał i w oczach miał jakieś dzikie, niedobre światła...

Aż dnia jednego, pod zmierzch, w burzliwy, listopadowy odwieczerz, podczas „manewrów” ze zwrotnicą nagle drgnął.

— Przysłyszało mi się czy co? — mruknął wypuszczając z rąk kolbę przyrządu.

Naraz pojaśniało mu w oczach. Strumień nadludzkiej radości przepłynął serce i wstrząsnął nim całym do posad. Wśród wycia jesiennego wichru, wśród świstu zawieruchy po raz pierwszy usłyszą ł...

To już nie było złudzenie, o nie! Stamtąd nadpłynęło, stamtąd, od tunelu, najwyraźniej w świecie! To było to, tym razem niewątpliwie to!... O! Znowu! Trochę bliżej... Słodkie, kochane dudnienie! Drogi, nieoceniony łoskot, cudny, rytmiczny łoskot!...

— Ta, ta, ta!... Ta, ta, ta!... To on! To on! Nie ulegało już wątpliwości! I wybiegł na spotkanie. Wiatr zerwał mu czapkę, zdarł płaszcz z ramion, targnął nim z pasją, nielitościwie... Nie zważał. Z rozwianym włosom, śnieżnobiałym włosom, z wyciągniętymi przed się entuzjastycznie rękoma słuchał dziwnego odgłosu jak najcudniejszej muzyki...

— Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... Lecz po chwili umilkło; i znów gwizdał tylko wiatr w wściekłych przegonach, kwiliły wrony pod ołowianym niebem...

Ze zwieszoną głową powrócił dróżnik do swej budki...

Lecz odtąd, od pamiętnego wieczora, nadzieja jasna rozkwitła mu w duszy i dościgała w spełnienie. Bo oto z dniem każdym słyszał coraz wyraźniej, coraz bliżej, coraz dobitniej. Po chwili milkło wprawdzie, głuchło gdzieś, rozwiewało się, lecz nazajutrz, o zmroku, w tę dziwną godzinę przesiłu dnia z nocą znów powracało mocniej już, głośniejsze, prawie namacalnie...

Aż przyszła godzina ziszczenia.

W jakąś noc grudniową, noc śniegiem zawianą, gdy znużony czuwaniem schylił siwą głowę głęboko ku piersi, zabrzmiał sygnał...

Wawera zadrżał i obudził się:

— Co to?!

— Bimbam... — zabrzmiało powtórnie. — Bimbam... Sygnalizator grał. Po raz pierwszy od czasu objęcia służby usłyszał budzik kucie młotków...

Pokraśniał cały, trzęsącymi się rękoma włożył czapkę, zarzucił szynel na ramiona i porwawszy latarkę, wybiegł przed budkę.

— Bimbam... — grało na słupie.

— Idę już, idę — szepnął, słaniając się na nogach ze wzruszenia.

Całą siłą woli opanował się, sprężył w służbowej postawie i podniósłszy wysoko sygnał świetlny do góry, czekał.

— Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... — dudniało na przestrzeni.

— Trach, trach, trach... Trach, trach, trach... — gruchotały szyny.

Dróżnik zatopił głodne spojrzenie w gardziel tunelu...

— Ta, ta, ta!... Ta, ta, ta!...

Nareszcie zobaczył. W wylocie czeluści zaświeciła para oczu, para olbrzymich, złotozółtych ślepiów i rosła, rosła, zbliżała się...

Budnikowi lotem błyskawicy przeszła myśl przez głowę:

— Przejedzie czy stanie?

W tej chwili rozległ się zgrzyt gwałtownie zahamowanych kół i pociąg zatrzymał się przed przystankiem. Wawera nie drgnął, nie ruszył się z miejsca. Patrzył...

Z wozu służbowego wysiadł kierownik ruchu i zmierzał w stronę dróżnika. Ze stopni wagonów zeskoczyło kilku konduktorów, jakiś kontroler w służbie i podeszli ku niemu.

— Dobry wieczór, Wawera! — pozdrowił wyciągając przyjaźnie rękę kierownik. — Czekaleś długo na nas, mój stary, co? No i nareszcie doczekaleś się.

Wawera ścisnął podaną dłoń! Łzy słodkie, łzy szczęścia dławily słowa:

— Wedle rozkazu, panie kierowniku, na posterunku.

— Dobry wieczór, kolego! — witali go konduktorzy. — Witaj nam, stary druhu!

I otoczyli go kołem. Ktoś zabrał mu sygnał i przypiął latarkę do piersi, ktoś inny wcisnął „klucz” konduktorski do ręki.

— No, panowie — zabrzmiał donośny głos kierownika. — Komu w drogę, temu czas!
Wawera, jedziesz naturalnie z nami?

— Po ciebieśmy tu przyjechali — zabrzmiał zgodny chór kolegów. — Dość ci już chyba drożnikowania?

W piersi Wawery łkało coś ze szczęścia bez miary. Spojrzał raz jeszcze przez mgłę łąz na przystanek, na domek swój śniegiem zasuty, na topolę samotną w ogródku i ruszył ku wozom:

— Ja z wami, koledzy — ja z wami na śmierć i na życie!

I wszedłszy na stopień wagonu jak przed laty, podniósł latarkę w stronę maszyny i krzyknął gromkim głosem:

— Jazda!

Pociąg ruszył z przeciągłym gwizdem i potoczył się w przestrzeń...

Nazajutrz, w mroźny, grudniowy poranek, zastał Luśnia dróżnika przed budką w postaci służbowej z wyciągniętą w górę ręką i z zagasłą latarką w skostniałych palcach.

— Wawera, co tobie? — zagadnął, wpatrując się bystro w twarz przyjaciela z zastygłym na ustach uśmiechem. I dotknął jego ramienia. Wtedy budnik sztywny jak kłoda zwałił mu się pod nogi.

— Zamarzł! — szepnął kowal biorąc zwłoki w ramiona — zamarzł na śmierć na placówce. I złożył go ostrożnie w budce na tapczanie...

Wieści o zamierzonym rozbiorze przestrzeni okazały się przedwczesne; przetrwała jeszcze jedną wiosnę i lato. Lecz mówiono w okolicy, że od śmierci Wawery pętlica jakby ożyła. Zwłaszcza pod wieczór wąż rozbrzmiewał echem dziwnych odgłosów. Dudniły jakieś pociągi, szczękały rozpętane koła, oddychała ciężko uznojona maszyna. Skądś z przestrzeni nadpływały na skrzydłach wiatru jakieś sygnały, rozlegały się przeciągłą skargą gwizdy świstawek, grały pobudkę odjazdu niewidzialne trąbki...

Ludzie omijali chętnie tę stronę, z lękiem obchodząc ją kołem. Nawet ptactwo spłoszone niezwykłym łoskotem porzuciło dziwny parów i przeniosło się w inne, gościnniejsze strony.

Dopiero gdy pod jesień następnego roku usunięto szyny i rozebrano budkę dróżnika, wszystko ucichło i „głucha przestrzeń” zamilkła na zawsze.

Smoluch

Starszy konduktor, Błażek Boroń, obszedłszy powierzone swej opiece wagony, wrócił do zakątka oddanego jego wyłącznej dyspozycji, tzw. „miejsca przeznaczonego dla konduktora”.

Znużony całodzienną włączką po wozach, zachrypiły od wywoływania stacji w jesienną, mgłą napęczniałą porę, zamierzał odpocząć trochę na wąskim, ceratą obitym krzeselku; uśmiechała mu się godnie zasłużona sjesta. Dzisiejsza tura właściwie skończyła się; pociąg przebył już strefę gęsto w bliskich odstępach rozmieszczonych przystanków i wyciągniętym kłusem zmierzał do stacji kresowej. Aż do końca jazdy nie będzie już Boroń zrywał się z ławeczki i zbiegał po stopniach na parę minut, by zdartym głosem oznajmiać światu, że jest stacja taka a taka, że pociąg zatrzymał się na minut pięć, dziesięć lub cały długi kwadrans, lub że czas już przesiadać.

Zgasił latarkę przypiętą do piersi i postawił ją wysoko nad głową na półce, zdjął szynel i zawiesił na kołku.

24 godzin służby bez przerwy wypełniły mu tak szczelnie czas, że niemal nic nie jadł. Organizm domagał się swych praw. Boroń wydobyl z torby wiktuały i zaczął się posilać. Siwe wypłowiałe oczy konduktora utknęły nieruchomo w szybie wagonu i patrzyły w świat poza oknami. Szyba trzęsła się w podrzutach wozu, wciąż jednakowo gładka i czarna — nie widział przez nią nic.

Oderwał oczy od monotonii ramy i skierował w głąb korytarza. Spojrzenie prześliznęło się po pierzei drzwi, wiodących do przedziałów, przerzuciło na ścianę okien naprzeciw i zgasło na nudnym szlaku chodnika podłogi.

Skończył „kolację” i zapalił fajeczkę. Był wprawdzie w służbie, lecz na tej przestrzeni, zwłaszcza tuż przed metą, nie obawiał się kontrolera.

Tytoń dobry, przemycony nad granicą, ćmił się w kolistych, wonnych skrętach. Z ust konduktora wysnuwały się giętkie taśmy i zwinawszy się w kłębki, toczyły jak kule bilardowe

wzdłuż wagonowego pasażu — to znów wypadały gęste, zwarte cewki, przeciągały leniwo błękitne trzony i pękały u stropu petardą dymu. Boroń był mistrzem w paleniu fajki...

Z wnętrza przedziałów przypląnęła fala śmiechu: goście byli w dobrych humorach.

Konduktor zacisnął zęby ze złością; z ust padły słowa pogardy:

— Komiwojażerowie! Handlarska branża! Boroń zasadniczo nie cierpiał pasażerów; irytowała go ich „praktyczność”. Dla niego istniała kolej dla kolei, nie* dla podróżnych. Zadaniem kolei było nie przewożenie ludzi z miejsca na miejsce w celach komunikacyjnych, lecz ruch jako taki i pokonywanie przestrzeni. Co ją mogły obchodzić marne interesy ziemskich pigmejów, zabiegi przemysłowe oszustów, plugawe przetargi handlarzy? Stacje były nie na to, żeby na nich wysiadać, lecz by mierzyły przebytą drogę; przystanie kolejowe były probierzem jazdy, ich kolejna zmiana, jak w kalejdoskopie, dowodem postępów ruchu.

Toteż z pogardą spoglądał zawsze konduktor na tłumy, cisnące się przez drzwi wagonów na peron i na odwrót, z grymasem ironii obserwował zadyszane jejmoście i rozgorączkowanych pośpiechem jegomościów, pędzących na łeb, na szyję wśród krzyków, przekleństw, czasem szturchańców do przedziałów, by „zająć miejsce” i ubiec towarzyszy z owczego stada.

— Trzoda! — spluwał przez zęby. — Jak gdyby Bóg wie co na tym świecie zależało, by jakiś tam pan B. lub jakaś tam pani W. przybyli „w porę” z F. do Z.

Tymczasem rzeczywistość stanowiła rażący kontrast z poglądami Boronia. Ludzie wciąż wsiadali i wysiadali na stacjach, wciąż cisnęli się z taką samą zapalczywością, zawsze w tych samych praktycznych zamiarach. Ale też konduktor mścił się za to przy każdej sposobności.

W jego „rejonie”, obejmującym trzy do czterech wozów, nie było nigdy przepełnienia, tej ohydnej duśby motłochu, która kolegom odbierała nieraz ochotę do życia i była ciemną plamą na horyzoncie szarej, konduktorskiej doli.

Jakich używał środków, jakimi szedł drogami, by osiągnąć ten ideał, nieziszczalny dla innych towarzyszy zawodu, o tym nikt nie wiedział. Faktem było, że nawet w czasie największej frekwencji w porze świątecznej wnętrza wagonów Boronia zdradzały normalny wygląd; przejścia były wolne, w kularach oddychało się powietrzem znośnym. Siedzeń nadliczbowych i miejsc stojących konduktor nie uznawał. Surowy dla siebie i wymagający w służbie, umiał też być nieubłagany dla podróżnych. Przepisów przestrzegał dosłownie, z drakońskim nieraz okrucieństwem. Nie pomagały wybiegi, podstępne szacherki, zręczne wślizgiwanie w rękę „łapówek” — Boronia nie można było przekupić. Parę osób nawet zaskarżył z tego powodu, jednego osobnika wypoliczkował za obrazę i przed władzami wyszedł obronną ręką. Nieraz też zdarzało się, że w środku jazdy, gdzieś na jakimś nędznym przystanku, na jakiejś lichej stacyjce, w czystym polu, wypraszał grzecznie, lecz stanowczo z wagonu oszukującego „gościa”.

Dwa razy tylko w ciągu swej długoletniej kariery natknął się na „godnych” pasażerów, którzy odpowiadali poniekąd jego ideałowi podróżnych.

Jednym z tych rzadkich okazji był jakiś bezimienny włóczęga, który bez centa przy duszy wsiadł do przedziału pierwszej klasy. Gdy Boroń zażądał karty jazdy, obdartus wytłumaczył mu, że biletu nie potrzebuje, bo jedzie bez określonego celu, tak sobie, w przestrzeń, dla przyjemności, z wrodzonej potrzeby ruchu. Konduktor nie tylko uznał rację, lecz przez cały przeciąg jazdy czuł troskliwie nad wygodą gościa i nie wpuszczał nikogo do jego przedziału. Poczęstował go nawet połową swych prowiantów i zapalił z nim fajeczkę wśród przyjacielskiej pogawędki na temat: podróż na chybił trafił.

Drugi podobny pasażer zdarzył mu się parę lat temu na przestrzeni między Wiedniem a Triestem. Był nim niejaki Szygoń, podobno właściciel ziemski z Królestwa Polskiego. Sympatyczny ten człowiek, zresztą na pewno zamożny, również wsiadł bez biletu do pierwszej klasy. Zapytany, dokąd jedzie, odpowiedział, że właściwie sam nie wie, gdzie wsiadł, dokąd zdąży i po co.

— W takim razie — zauważył Boroń — może by najlepiej było wysiąść na najbliższej stacji.

— Ej nie — odparł niezrównany pasażer — nie mogę, dalibóg nie mogę. Muszę jechać naprzód; coś mnie pędzi. Wystaw pan bilet, dokądkolwiek mu się podoba.

Odpowiedź oczarowała go do tego stopnia, że pozwolił mu jechać aż do końcowej stacji za darmo i nie naprzykrzał się już ani razu. Ów Szygoń podobno uchodził za wariata, lecz zdaniem Boronia, jeśli w ogóle był bzikiem, to bzikiem we wielkim stylu.

Tak, tak — istnieli jeszcze na szerokim świecie doskonali podróżni, lecz czymże były nieliczne perły w morzu hołoty? Konduktor nieraz wracał z utęsknieniem ku tym dwóm świetnym zdarzeniom swego życia, pieszcząc duszę wspomnieniami chwil wyjątkowych...

Przeważył głowę wstecz i śledził ruchy błękitnoszarych smug, porozwieszanych warstwami w korytarzu. Ponad miarowy stuk szyn wydostał się powoli szypot gorącej pary, pędzonej w rury. Usłyszał bulgotanie wody w zbiornikach, czuł ciepły jej napór o brzegi naczyń: ogrzewano przedziały, bo wieczór był chłodny.

Momentalnie lampy u szczytu zmrużyły świetlne rzęsy i gasły. Lecz nie na długo, bo już w następnej chwili gorliwy regulator wstrzyknął automatycznie świeżą dozę gazu, który podsycił słabnące palniki. Konduktor uczył jego specyficzną, ciężką woń, przypominającą trochę koper włoski.

Zapach był mocniejszy od dymu fajeczki, wnetliwszy i mącił zmysły...

Nagle Boroniowi zdało się, że słyszy stąpanie bosych nóg po podłodze korytarza.

— Duh, duh, duh — dudniły gole stopy — duh, duh, duh...

Konduktor wiedział już, co to znaczy; nie po raz pierwszy słyszał te kroki w pociągu. Wychylił głowę i spojrział w mroczną perspektywę wozu. Tam u końca, gdzie ściana załamuje się i cofa ku przedziałowi pierwszej klasy, ujrzał na sekundę jego jak zwykle nagie plecy — na sekundę tylko mignął jego wyprężony w kabłąk, zlany rześnym potem grzbiet.

Boroń zadrzał: Smoluch znów pojawił się w pociągu. Po raz pierwszy zauważył go lat temu 20. Było to na godzinę przed straszną katastrofą między Zniczem a Księżymi Gajami, w której zginęło przeszło 40 osób nie licząc wielkiej liczby rannych. Konduktor miał wtedy lat 30 i jeszcze silne nerwy. Pamięta dokładnie szczegóły, nawet numer nieszczęśliwego pociągu. Prowadził wtedy wagony końcowe i może dlatego ocalał. Dumny ze świeżo zdobytego awansu, odwoził do domu w jednym z przedziałów narzeczoną, swoją biedną Kasieńkę, jedną z ofiar nieszczęścia. Pamięta, jak wśród rozmowy z nią nagle uczył dziwny niepokój: coś go ciągnęło gwałtem na korytarz. Nie mogąc oprzeć się, wyszedł. Wtedy zobaczył u wylotu wagonowego przedsonka znikającą postać nagiego olbrzyma; ciało jego, zasmolone sadzą, zlane brudnym od węgla potem, wydzielalo duszny odór: był w nim zapach włoskiego kopru, swąd dymu i woń mazi.

Boroń rzucił się za nim i chciał przychwycić, lecz zjawisko rozplynęło się w oczach. Słyszał tylko czas jakiś tupot bosych nóg na podłodze — duh, duh, duh — duh, duh, duh...

W jaką godzinę potem pociąg zderzył się z pospiesznym dążącym z Księżych Gajów...

Od tego czasu zjawił mu się Smoluch jeszcze dwukrotnie, każdym razem jako zapowiedź nieszczęścia. Po raz drugi ujrzał go na parę minut przed wykolejeniem pod Rawą. Smoluch biegł wtedy po desce na dachach wagonów i dawał mu znaki czapką palacza, którą zerwał z użnożonej głowy. Wyglądał mniej groźnie niż za pierwszym razem. Toteż obeszło się jakoś bez większych ofiar; wyjąwszy paru lekko rannych, nie zginął nikt.

Pięć lat temu, jadąc osobowym do Baska, zoczył go Boroń między dwoma wozami przejeżdżającej mimo towarówki, która zdążyła ze strony przeciwnej do Wierszyńca. Smoluch siedział w kuczki na zderzakach i bawił się łańcuchami. Koledzy, którym zwrócił na to uwagę, wyśmiali go, nazywając bzikiem. Lecz najbliższa przyszłość przyznała mu rację; towarowy, przejeżdżając przez podmulony most, runął w przepaść tej samej nocy.

Przepowiednie Smolucha były nieomyłne; gdziekolwiek zjawił się, groziła niechybna katastrofa. Trzykrotne doświadczenie umocniło Boronia w tym przekonaniu, ukształtowało głęboką wiarę kolejarza związaną ze złowieszczym pojawem. Konduktor żywił ku niemu cześć bałwochwalczą zawodowca i lęk jak przed bóstwem złym i niebezpiecznym. Otoczył swoje zjawisko specjalnym kultem, urobił sobie oryginalny pogląd na jego istotę.

Smoluch tkwił w organizmie pociągu, przepajał sobą jego wielocłonowy kościec, tłuł się niewidzialny w tłokach, pocił w kotle lokomotywy, włóczył po wagonach. Boroń wyczuwał jego bliskość wkoło siebie, obecność stałą, ciągłą, lubo nie naoczną. Smoluch drzemał w duszy pociągu,

był jego tajemnym potencjałem, który w chwilach groźnych, w momencie złych przeczuć wydzielał się, zgęszczał i przybierał ciało.

Sprzeciwiać mu się uważał konduktor za rzecz zbyteczną, nawet śmieszną; wszelkie ewentualne wysiłki, zmierzające ku temu, by zapobiec nieszczęściu, które zapowiadał, byłyby daremne, oczywiście bezskuteczne. Smoluch był jak przeznaczenie...

Ponowne ukazanie się dziwadła w pociągu, i to na krótko przed metą, wprawiło Boronia w stan silnego podniecenia. Lada chwila można się było spodziewać jakiejś katastrofy.

Powstał i zaczął przechadzać się nerwowo po korytarzu. Z wnętrza jednego z przedziałów doszedł go gwar głosów, śmiech kobiet. Zbliżył się i przez parę sekund patrzył w głąb. Zgasił wesołość.

Ktoś odsunął drzwi od sąsiedniego coupé i wychylił głowę:

— Panie konduktorze, daleko do stacji?

— Za pół godziny jesteśmy u celu. Docieramy do końca. Było coś w intonacji odpowiedzi, co uderzyło pytającego. Oczy jego zatrzymały się przez dłuższą chwilę na konduktorze. Boroń uśmiechnął się zagadkowo i przeszedł. Głowa znikła z powrotem we wnętrzu.

Jakiś mężczyzna wyszedł z przedziału klasy drugiej i otworzywszy okno na korytarzu, wyglądał w przestrzeń. Ruchy jego gwałtowne zdradzały jakby niepokój. Podniósł okno i oddalił się w stronę przeciwną, na koniec kuluaru. Tu zaciągnął się parę razy papierosem i rzuciwszy požuty naustnik niedogarka, wyszedł na platformę wozu. Boroń widział przez szybę jego sylwetkę, przechylającą się ponad sztabę ochronną, w kierunku jazdy.

— Bada przestrzeń — mruknął uśmiechnięty złośliwie. — Nic nie pomoże. Licho nie śpi. Tymczasem nerwowy pasażer wrócił do wagonu.

— Czy pociąg nasz skrzyżował się już z pospiesznym z Gronia? — zapytał z wysiłonym spokojem, spostrzegłszy konduktora.

— Dotąd nie. Spodziewamy go się lada chwila. Zresztą być może, wyminiemy go na stacji kresowej; nie jest wykluczone spóźnienie. Pospieszny, który ma pan na myśli, nadjeżdża z bocznej linii.

W tej chwili odezwał się z prawej strony gwałtowny łoskot. Za szybą przemknął olbrzymi kontur zionący mietlicą iskier, a za nim lotem myśli prześmignął łańcuch czarnych pudeł, oświetlonych wykrojami czworokątów. Boroń wyciągnął rękę w kierunku znikającego już pociągu :

— Otóż i on.

Niespokojny pan z westchnieniem ulgi wyciągnął papierośnicę i podał ją konduktorowi:

— Zapalmy sobie, panie konduktorze. Moerisy oryginalne.

Boroń przyłożył rękę do daszka czapki:

— Dziękuję pięknie. Ćmię tylko fajkę.

— Szkoda, bo dobre.

Podróżny zapalił sam papierosa i wrócił do coupé.

Konduktor uśmiechnął się szydersko za odchodzącym.

— Hę, hę, hę! Coś przeczuł! Tylko za prędko się uspokoił. Nie gadaj, brachu, hop, boś jeszcze nie przeskoczył.

Lecz szczęśliwe skrzyżowanie trochę go zaniepokoiło. Szansę wypadku zmniejszyły się o jedną.

A już były trzy kwadransy na dziesiątą — za 15 minut mieli stanąć w Groniu, u kresu jazdy. Po drodze nie było już żadnego mostu, który by mógł się zawalić; jedyny pociąg z przeciwnej strony, z którym by ewentualnie mogło zajść zderzenie, szczęśliwie wyminięto. Należało chyba spodziewać się wykolejenia lub też jakiejś katastrofy na samej stacji.

W każdym razie prognoza Smolucha musiała się sprawdzić — on za to ręczył, on, starszy konduktor Boroń.

Tu chodziło nie o ludzi, nie o pociąg ani o całość jego własnej małej osoby, lecz o nieomyślność bosego widziadła. Boroniowi zależało niezmiernie na utrzymaniu powagi Smolucha wobec sceptycznych konduktorów, na zachowaniu jego prestiżu w oczach niedowiarków. Koledzy, którym parę razy opowiadał o tajemniczych jego odwiedzinach, brali sprawę z humorystycznego

punktu widzenia, tłumacząc całą historię przywidzeniem lub co gorsza, zalaniem pały. Zwłaszcza to ostatnie przypuszczenie bolało bardzo, ile że nigdy nie pijał. Kilku uważało Boronia za przesądnego bzika i pomyleńca. Toteż w grę wchodził poniekąd jego honor i zdrowy ludzki rozum. Wolał sam kark skręcić, niż przeżyć fiasko Smolucha...

Brakowało dziesięć minut do dziesiątej. Dopalił fajki i po schodach wszedł na szczyt wozu do oszklonej zewsząd budki. Stąd, z wysokości „bocianiego gniazda”, leżała za dnia przestrzeń jak na dłoni. Teraz świat nurzał się w grubych ciemnościach. Od okien wozów odpadały plamy światła, przeglądając zbocza nasypu żółtymi oczyma. Przed nim, w odległości pięciu wagonów, rozsiewała maszyna krwawe kaskady iskier, oddychał komin białoróżowym dymem. Czarny, dwudziestoprzegubowy wąż połyskiwał łuskami boków, zionął ogniem paszczy, oświetlał drogę otoczami ślepiów. W oddali majaczyła już zorza dworca.

Jakby czując bliskość upragnionej przystani, dobywał pociąg wszystkich sił i podwajał chyżość. Już mignął jak majak sygnał szyby dystansowej, nastawiony na wolny przejazd, już witały przyjaźnie podane ramiona semaforów. Szyny zaczęły się powielać, krzyżując w posetne linie, kąty, żelazne przepłyty. Na prawo i lewo wypadały z mroków nocy niby na spotkanie latarki zwrotnic, wyciągały szyje stacyjne żurawie, studnie, ciężarowe dźwignie.

Wtem na parę kroków przed rozhukaną w pędzie lokomotywą zagrał czerwony sygnał. Maszyna wyrzuciła ze spizowej gardzieli urwany gwizd, zazgrzytały hamulce i pociąg, powstrzymany szalonym wysiłkiem kontrapary, zatrzymał się tuż przed drugą zwrotnicą.

Boroń zbiegł na dół i przyłączył się do gromadki kolejarzy, którzy też powysiadali, by zbadać powód przerwy w ruchu. Blokowy, który dał znak ostrzegawczy, wyjaśnił sytuację. Oto tor pierwszy, na który miano zajechać, był chwilowo zajęty przez towarowy. Trzeba było więc przerzucić zwrotnicę i puścić pociąg na tor drugi. Zwyczajnie przeprowadza się ten manewr w bloku, za pomocą jednej z dźwigni. Tymczasem podziemne połączenie między nim a torami uległo jakiemuś uszkodzeniu, tak że blokmistrz musiał dokonać przesunięcia na przestrzeni. Spuścił więc tylko łącznik łańcuchowy w blokhauzie i przy pomocy klucza otworzył stawidło. Teraz miał dostęp bezpośredni do zwrotnicy i mógł już skierować szyny na tor właściwy.

Uspokojeni funkcjonariusze powrócili do wagonów, by czekać na hasło wolnego przejazdu. Boronia coś przykuło do miejsca. Wzrokiem błędnym patrzył na krwawy sygnał, jak odurzony słuchał chrzęstu przestawianych szyn.

— W ostatniej chwili zorientowali się! W ostatnim niemal momencie, na jakich 500 metrów przed stacją! Więc Smoluch kłamał?

Nagle zrozumiał swoją rolę. Szybko zbliżył się ku blokowemu, który założywszy kolbę, przerzucał stawidło i zmieniał barwę sygnału na zieloną.

Za wszelką cenę należało odciągnąć tego człowieka od zwrotnicy i zmusić do opuszczenia stanowiska.

Tymczasem koledzy już dawali znaki do wymarszu. Od końca pociągu szło już podawane z ust do ust hasło — „Jazda”!

— Zaraz! Czekać tam! — krzyknął Boroń.

— Panie zwrotniczy! — zwrócił się półgłosem do wyprężonego w postawie służbowej funkcjonariusza. — Tam na pańskim bloku widać jakiegoś włóczęgę!

Blokowy zaniepokoił się. Wytężył wzrok w kiemniku ceglanego domku.

— Prędejj! — podszczuwał Boroń. — Ruszaj pan z miejsca! Gotów poprzerzucać dźwignie, popsuć przyrządy!

— Jazda! Jazda! — brzmiały zniecierpliwione głosy konduktorów.

— Czekać, do stu piorunów! — zaoponował Boroń.

Zwrotniczy, zniewolony siłą głosu, szczególną mocą nakazu rzucił się biegiem ku blokowi.

Wtedy Boroń korzystając z chwili chwycił za kolbę stawidła i na powrót połączył szyny z torem pierwszym.

Manewr wykonany był zręcznie, szybko i cicho. Nikt nie zauważył.

— Jazda! — krzyknął, usuwając się w cień.

Pociąg ruszył, nadrabiając spóźnienie. Za chwilę zasuwiał się w mroki przestrzeni już ostatni

wagon, wlokąc za sobą długi, czerwony szlak latarni...

Po chwili nadbiegł od bloku zbity z tropu zwrotniczy i oglądając starannie pozycję stawidła. Coś mu się nie podobało. Podniósł do ust gwizdawkę i dał trzykrotny, rozpaczliwy sygnał.

Za późno!

Bo oto od strony stacji wstrząsnął powietrzem okropny łoskot, głuchy, dudniący huk detonacji, a potem piekielna wrzawa, zgiełk i jęki — lament, płacz i wycie splecione w jeden dziki chaos ze szczękiem łańcuchów, trzaskiem druzgotanych kół, łomotem miażdżonych bezlitośnie wagonów.

— Karambol! — szeptały zbielełe wargi. — Karambol!...

W przedziale

Pociąg czał przestrzeni szybki jak myśl.

Zapadające już w podnocny mrok pola, puste jak okiem sięgnąć ugory zataczały pod oknami wagonów szerokie kręgi, które zgarbiane bez ustanku niby fałdy wachlarza usuwały się gdzieś wstecz posłuszne. Wyprężone druty telegrafu to szły w górę, to spadały w dół, to znów snuły się jakiś czas w jednakim poziomie: uparte, śmieszne, sztywne linie...

Godziemba patrzył przez okno wagonu. Przywarte do lśniącej szyny oczy upajały się jej pozornym ruchem, zaparte o ramę okna ręce jakby pomagały pociągowi odpychać poza siebie przestrzeń przebytą. Serce biło wzmożonym tętnem, niby chcąc przyspieszyć tempo jazdy, podwoić rozpęd rzegoczących głucho kół...

Uskrzydłony pędem parowozu ptak wylatywał swobodnie z więzów codzienności, przemykał chyżo wzdłuż wyciągniętej ściany wozów i uderzywszy po drodze radosną lotką o szyby okien, wyprzedzał maszynę. Hej, tam w szerokie, sine dale, odległy, mgłami skryty świat!...

Godziemba był fanatykiem ruchu. Zwykle cichy i nieśmiały marzyciel z chwilą wstąpienia na stopnie wagonu przemieniał się nie do poznania. Znikała niezaradność, szczała gdzieś bojaźliwość a zaciągnięte mgłą trwożliwej zadumy oko nabierało połysków energii i siły; notoryczny "śniarz na jawie" i niedołęga przeistaczał się nagle w pełnego woli i poczucia własnej wartości życiowca. I gdy już przebrzmiał rześki odzew trąbki i czarna pierzeja wozów ruszała z miejsca ku odległym celom, radość bezbrzeżna przenikała całe jestestwo, rozlewając po najdalszych zakątkach duszy prądy ciepłe, ożywcze jak słońce w gorące dni lata!

Tkwilo coś w istocie pędzącego pociągu, coś, coś co galwanizowało słabe nerwy Godziemby — podniecało silnie choć sztucznie nikłą energią życiową.

Wytwarzało się specyficzne środowisko, jedyne w swoim rodzaju milieu ruchome, które miało swe prawa, swój układ sił, swoją własną dziwną, czasem groźną duszę. Ruch parowozu udzielał się nie tylko fizycznie; rozmach maszyny przyspieszał tętna psychiczne, elektryzował wolę, usamodzielniał; "nerwica kolejowa" zdawała się przetwarzać u przerafinowanego wrażliwca w czynnik poniekąd dodatni, pozytywny lubo chwilowy. Spotęgowane podniecenie utrzymywało przez czas trwania jazdy na sztucznej wyżynie zwykle wątłe władze życiowe Godziemby, by po ustąpieniu "szczęśliwych" warunków przejść w stan tym głębszej prostracji; pociąg w ruchu działał nań jak morfina, zastrzyknięta w żyły nałogowca.

Znalazłszy się w czterech ścianach przedziału, Godziemba od razu ożywił się; mizantrop na "ładzie stałym" tutaj zrzucił skórę odludka i sam zaczął ludzi czasem niechętnych rozmowie. Ten człowiek małowówny i trudny w pożyciu codziennym nagle przeradzał się w causeura pierwszej klasy zasypującego towarzyszy podróży anegdotami ułożonymi naprędce w sposób zręczny i dowcipny. Niedołęga życiowy, którego mimo wybitnych zdolności ubiegały we wszystkim zręczne miernoty, stawał się ni stąd ni zowąd jednostką mocną, przedsiębiorczą i ciętą. "Tchórz nerwami i całym sobą" przemieniał się niespodzianie w skorego do zaczepki awanturnika, który mógł być nawet niebezpiecznym.

Toteż nieraz miewał Godziemba w czasie jazdy ciekawe przygody, z których wychodził zwycięsko dzięki swej zadzierzwej i nieustępliwej postawie. Jakiś złośliwy świadek jednej z takich awantur, skądinąd dobry znajomy radził mu, by wszystkie swe sprawy honorowe załatwiał zawsze tylko w pociągu i to podczas pełnego ruchu.

— Mon cher — strzelaj się zawsze w kuluarach wagonowych; będziesz się bił jak lew. Jak Boga Kocham!

Lecz sztuczne spotęgowanie sprawności życiowej odbijało się później fatalnie na zdrowiu: każdą niemal podróż odchorowywał; po chwilowej zwyzce sił psychofizycznych następowała tym gwałtowniejsza reakcja. Mimo to Godziemba lubił nadzwyczaj jazdę pociągami i niejednokrotnie wymyślał sobie fikcyjne cele podróży, byle tylko opiumizować się ruchem.

I wczoraj wieczorem wsiadając do pospiesznego w B., nie wiedział dokładnie, po co jedzie; nie zastanawiał się nawet nad tym, co będzie robił dziś w nocy w F., gdzie go miał za parę godzin pociąg wyrzucić. Mniejsza o to. Co go to mogło obchodzić? Oto siedzi wygodnie w ciepłym coupé, patrzy przez szybę na migający w przelocie krajobraz i jedzie, pędzi z szybkością 100 km na godzinę.

Na dworze ściemniło się tymczasem zupełnie. Załączony niewidzialną ręką prąd w gruszcze pod pułapem oświetlił jaskrawym światłem wewnątrz. Godziemba zasunął firankę, odwrócił się plecami od okna i spojrzał wgląd przedziału. Zajęty obserwowaniem mroczniejszej okolicy, nie zauważył dotąd, że na jednej ze stacji wsiadło do wagonu dwoje ludzi i zajęło wolne miejsce naprzeciw.

Teraz w żółtym świetle żarówki spostrzegł vis—a—vis siebie współpasażerów. Było to prawdopodobnie młode małżeństwo. Mężczyzna wysoki i szczupły o ciemnoblonde włosach i krótko przyszytych wąsach wyglądał na lat trzydzieści kilka. Spod silnie zarysowanych brwi patrzyły oczy jasne, wesołe a dobre.

Twarz szczerą, otwartą, o nieco wydłużonym owalu krasiał miły uśmiech, ilekroć zwracał się do swojej towarzyszki.

Kobieta, również blondynka lecz w jaśniejszym odcieniu, była osobką małą, lecz pięknie rozwiniętą. Bujne, gęste włosy, skrócone bezpretensjonalnie w dwa grube warkocze w tyle głowy okalały twarzyczkę drobną, świeżą i dorodną. Krótka, szara spódniczka, spięta skromnym, skórzanym paskiem uwydatniała ponętną linię bioder i dziewiczo jędrnych piersi.

Oboje byli mocno opyleni kurzem i prochem gościńców; widocznie wracali z wycieczki. Szedł od nich urok: młodości i zdrowia — rzeźwy powiew gór — owa specyficzna aura, którą przynoszą z sobą ze szczytów uznojeni turyści. Byli zajęci żywą rozmową. Zdaje się udzielali sobie wzajemnie wrażeń z odbytej wspólnie wycieczki, gdyż pierwsze słowa, na które zwrócił uwagę Godziemba, odnosiły się do jakiegoś niewygodnego schroniska na szczycie.

— Szkoda, żeśmy nie wzięli z sobą wełnianej deczki; wiesz tej w czerwone paski? — mówiła mała pani. — Było trochę za chłodno.

— Wstydz się Nuna — skarcił ją uśmiechnięty towarzysz: — Nie wolno przyznawać się do podobnej słabości. Czy masz moją papierośnicę?

Nuna zanurzywszy rękę w torbę podróżną, wydobyła z niej żądany przedmiot.

— Jest, ale zdaje mi się próżna.

— Pokaż!

Otworzył. Na twarzy pojawiło się rozczarowanie namiętnego palacza.

— Niestety.

Godziemba, któremu udało się tymczasem już parę razy pochwycić spojrzenie rasowej blondynki, skorzystał ze sposobności i grzecznie podał swą bogato wyposażoną papierośnicę.

— Czy mogę służyć?

Tamten odpowiadając na ukłon, wyjął jedno cygaro.

— Dzięki stokrotne. Imponujący arsenał! Bateria przy baterii. Łaskawy pan przezorniejszy ode mnie. Na przyszłość lepiej zaopatrz się na drogę.

Preliminarium znajomości były szczęśliwie przebyte; potoczyła się rozmowa swobodna gładkim, szerokim korytem.

Państwo Rastawieccy wracali z gór po ośmiodniowej wycieczce, odbytej częścią piechotą, częścią na rowerach. Dwa razy zlał ich w wąwozie deszcz, raz zabłądzili w jakimś parowie bez wyjścia. Mimo to ostatecznie pokonali zwycięsko trudności i wyprawa udała się wybornie. Teraz wracali koleją, pomęczeni porządnie lecz w humorach świetnych. Byliby może zabawili jeszcze

jeden tydzień pośród pasm Beskidu Wschodniego, gdyby nie roboty niwelacyjne inżyniera; w najbliższej przyszłości oczekiwał Rastawieckiego nawał pracy, którą przerwał tylko na krótko dla nabrania oddechu. Powracał chętnie, bo zawód swój lubił.

Godziemba słuchał tylko dorywczo tych objaśnień, udzielonych mu naprzemian przez inżyniera i jego żonę; raczej zajmowały go ponęty fizyczne pani Nuny.

Nie można było nazwać jej piękną; była tylko ogromnie miła i szalenie pociągająca. Bił od tej pulchnej, trochę krępej postaci czar zdrowia i świeżości — niepokoił zmysły powab ciała pachnącego wonią dzikich ziół i macierzanki.

Od pierwszego spojrzenia jej dużych, niebieskich oczu uczuł ku niej nieprzeparty pociąg. Było to tym dziwniejsze, że nie odpowiadała jego ideałowi; lubił silne brunetki, wysmukłe kibici, rzymskie profile — pani Nuna należała do wprost przeciwnego typu. Zresztą Godziemba zwykle nie zapalał się łatwo; był raczej naturą chłodną, pod względem płciowym wstrzemięźliwą.

A jednak wystarczyło jedno skrzyżowanie spojrzeń z inżynierową, by rozniecić w nim potajemny żar pożądania.

Toteż patrzył w nią wzrokiem palącym, śledził ogniście każdy jej ruch, każdą zmianę pozycji.

Czyżby coś zauważyła? Raz pochwycił wstydlive spojrzenie, rzucone ukradkiem spod jedwabistych rzęs — to znów zdawało mu się, że zauważył na pąsowych, soczystych jak wiśnia wargach uśmiezek przeznaczony dla niego, pełny zadowolonej dumy i skrytej zalotności.

To go zachęciło. Zaczął być śmielszy. W ciągu rozmowy zwolna oddalał się od okna i niepostrzeżenie przysunął na linię jej kolan. Czuł je tuż obok swoich, czuł miłe ich ciepło, promieniejące poprzez szarą wełnianą sukienkę.

W pewnym momencie, gdy wagon przechylił się nieco na skręcie, kolana ich spotkały się. Przez parę sekund chłonał słodycz dotknięcia — przycisnął się mocniej, przytulił i wtedy ku niewypowiedzianej radości uczuł, że odpowiedziano mu podobnie. Byłże to przypadek?

Lecz nie. Pani Nuna nie usuwała nogi; owszem, założyła jedną na drugą w ten sposób, że podniesionym lekko udem zasłoniła przed mężem zbyt natrętne kolano Godziemby. Tak jechali długi, rozkoszny czas...

Godziemba był we wyśmienitym humorze. Sypał jak z rękawa dowcipami, puszczał szmermele pikantnych, lubo w wytwornej formie podanych żartów. Inżynierowa wybuchiała co chwilę kaskadami srebrzystego śmiechu, który odsłaniał w perłowej pełni jej ząbki równe, szkliste; trochę drapieżne; ruchy toczonych jej bioder, wstrząsanych dreszczem wesołości, były miękkie, kocie, niemal lubieżne. Policzki Godziemby zaróżowiły się; w oczach pełgał żar i upojenie. Bił od niego nieprzyparty urok żądz i zagarniał ją gwałtem w swój czarodziejski krąg. Rastawiecki podzielał wesołość obojga. Jakaś szczególna ślepotą zarzucała przed nim coraz głębszą zasłonę na dwuznaczne zachowanie się towarzysza, jakaś dziwna wyrozumiałość patrzyła przez palce na poruszenia żony. Może nigdy dotąd nie miał sposobności podejrzewać Nuny o płochość i dlatego wierzył bezwzględnie? Może nie znał jeszcze demona płci utajonego pod powierzchnią prostoty; nie wyczuł aż do tej chwili przyczajonej perwersji i fałszu? Fatalny czar rozpostarł nad tym trojgiem ludzi swe władztwo i pędził na manowce szału i zapamiętania — wyglądał ze spazmatycznych podrzutów Nuny, nabiegłych krwią oczu jej wielbiciela — kurczył w sardoniczny grymas wargi męża.

— Ha, ha, ha! — śmiał się Godziemba.

— Hi, hi, hi! — wtórowała kobieta.

— He, he, he! — szydził inżynier.

A pociąg mknął dalej bez tchu, wbiegał na wzgórza, ześlizgiwał się w doliny, pruł przestrzeń pierśią maszyny. Grzechotały szyny, dudniły koła, kłańcały zworniki.

Koło pierwszej w nocy pani Nuna zaczęła skarżyć się na ból głowy; raziło ją jaskrawe światło lampy. Usłużny Godziemba zapuścił ciemnik. Odtąd jechali w półmroku.

Nastrój konwersacyjny powoli wyczerpywał się, słowa padały rzadziej przerywane w połowie ziewaniem inżynierowej; pani widocznie była senną. Przechyliła głowę wstecz i oparła na ramieniu męża; lecz nogi wyciągnięte niedbale w kierunku siedzenia naprzeciw nie straciły

kontakty z sąsiadem, owszem teraz w atmosferze przyćmionej były znacznie swobodniejsze: Godziemba czuł ciągle, jak słodkim swym ciężarem wywierały bezwładny nacisk na jego golenie. Rastawiecki, wyczerpany podróżą, zwiesił też głowę na piersi i wgłębiwszy się między polstrowania poduszek, zadrzemał. Wkrótce słyhać było w ciszy przedziału jego równy, spokojny oddech. Zapanowało milczenie...

Godziemba nie spał. Podrażniony erotycznie, rozpalony jak żelazo w ogniu, przymknął tylko powieki i udawał, że drzemie. Ciało przebiegały gorące strumienie krwi, pulsowały tętna; rozkoszne lenistwo zwichnęło sprężystość członków, znużenie lubieży opanowało mózg.

Nieznacznie położył rękę na nodze Nuny i wyczuwał palcami jej jędrną zwartość. Słodki zawrót przesłonił mgłą oczy. Posunął rękę wyżej, pojąc dotyk jedwabistym jej ciałem...

Nagle zafalowały jej biodra dreszczem rozkoszy: wyciągnęła rękę i zanurzyła mu we włosach. Chwilę trwała milcząca pieśczoła...

Podniósł głowę i spotkał wilgotne spojrzenie dużych, namiętnych oczu. Ruchem palca wskazała mu drugą, podwójnie przyćmioną połowę przedziału. Zrozumiał.

Opuścił swe miejsce, ostrożnie prześliznął się mimo śpiącego inżyniera i na palcach przeszedł w drugą część coupé. Tutaj, zasłonięty grubym półmrokiem i przepierzeniem, które sięgało mu piersi, usiadł wzburzony, w oczekiwaniu.

Lecz szelest, jaki mimo wszystko wywołał, zbudził Rastawieckiego. Przetarł oczy i rozejrzał się dokoła. Nuna wtuliwszy się momentalnie w kąt wagonu, zdawała się drzemać — miejsce vis—à-vis było puste.

Inżynier ziewnął przeciągle i wyprostował się.

— Cicho, Mieczek! — upominała go z sennym dąsem. — Późno już.

— Przepraszam. Gdzie się podział ten... faun?

— Co za faun?

— Śnił mi się faun z twarzą jegomościa, który siedział naprzeciw nas.

— Musiał wysiąść na którejś stacji. Masz teraz miejsce wolne. Połóż się wygodnie i śpij.

Jestem zmęczona.

— Dobra rada.

Ziewnął szeroko, wyciągnął się na ceratowych poduszkach i podłożył płaszcz pod głowę.

— Dobranoc, Nuna.

— Dobranoc.

Zapadła cisza.

Z przyczajonym tchem przykucnął Godziemba podczas tej krótkiej sceny za przepierzeniem i przeczekał niebezpieczną chwilę. Stąd, z czarnego kąta widział tylko parę jałowicznych butów inżyniera nieruchomo wystających poza brzeg ławki, a na przeciwległym siedzeniu szarą sylwetkę Nuny. Pani Rastawiecka nie ruszała się z miejsca, wciąż w tej samej pozycji, w jakiej ją zastał mąż po przebudzeniu. Lecz oczy jej otwarte fosforowały w półmroku drapieźnie, dziko, wyzywająco. Tak upłynął kwadrans drogi.

Wtem na tle stukotania wozu zaczęły wydobywać się z ust inżyniera ostre, chrapiące tony. Rastawiecki zasnął na dobre. Wtedy gibka jak kot zesunęła się z poduszek i znalazła w ramionach Godziemby. Pocałunkiem cichym a mocnym złączyli spragnione usta i spleli się w długim, pożądliwym uścisku. Piersi jej młode, w zapędy krwi bogate, przywarły doń palącą pieśczołą i podała mu wonną konchę swego ciała...

Godziemba brał ją. Brał jak płomień w skwarze pożaru, co niszczy i trawi, i spala, brał jak wichur w rozpasaniu szarów, swobodny, wolny stepów brat. Drzemiące żądze wybuchły czerwonym krzykiem i potargały wędzidla. Rozkosz, ujęta zrazu w ryzy strachu, tłumiona kręgiem ostrożności przerwała w końcu tamy i przelewała się zwycięsko poza brzegi purpurową falą.

Nuna wiała się w spazmach zapamiętania, tarzała w skurczach miłości i bólu bez granic. Ciało jej, skąpane wodą górskich rzek, smagłe od wiatru hal i połonin pachniało wonią ziół, tęgą, surową, zawrotną. Jej młode, miękko na kłębach sklezione biodra otwierały się jak wstydlive pęczki róży i chłoneły w siebie, wsysały miłosną daninę. Płowe warkocze, wyzwolone z krępujących spięć spadły łagodną linią na ramiona i otoczyły go przetowłosą więźbą. Łkania wstrząsały piersią,

spieczone usta wyrzucały jakieś słowa, zaklęcia...

Wtem uczuł Godziemba dotkliwy ból z tyłu głowy i niemal równocześnie usłyszał rozpaczliwy krzyk Nuny. Półprzytomny odwrócił się i w tejże chwili otrzymał silny raz w policzek. Krew uderzyła mu do głowy, wściekłość wykrzywiła usta. Jak błyskawica odparował najbliższe zamierzone cięcie i zwinętą pięścią grzmotnął przeciwnika między oczy: Rastawiecki zachwiał się, lecz nie upadł. Rozpoczęła się zażarta walka w półmroku.

Inżynier był mężczyzną roslym i silnym — mimo to szala zwycięstwa od razu przechyliła się na stronę Godziemby. W tym człowieku na pozór nikłym i słabym obudziła się jakaś nerwowa, występna moc; jakaś zła, demoniczna siła podnosiła jego wątłe ramię, wymierzała ciosy, paraliżowała atak. Oczy dzikie, przekrwione śledziły drapieżnie ruchy wroga, odgadywały myśl, uprzedzały zamiar.

Zmagali się w ciszy nocnej, przerywanej hukiem pociągu, łoskotem nóg lub przyśpieszonym oddechem ciężko pracujących piersi — borykali się w milczeniu jak dwa odyńce o samice, przytuloną do wnętrza wozu.

Z powodu braku miejsca walka ograniczyła się do nader wąskiej przestrzeni między siedzeniami, przenosząc się kolejno z jednej części przedziału w drugi. Powoli przeciwnicy wyczerpali się; z czoł uznojonych spływały duże krople potu, ręce omdlałe od razów dźwigały się w górę coraz ociężalej. Raz już Godziemba pośliznął się na podłodze i zwałił na poduszki pod dobrze wymierzonym pchnięciem; lecz w następnej sekundzie poprawił się. Zebrawszy ostatek sił odtrącił kolanem przeciwnika i wściekłym rozmachem rzucił go w przeciwny kąt wagonu. Inżynier zatoczył się jak pijany i ciężarem ciała wywalił drzwi. Zanim zdołał wyprostować się, już Godziemba pchnął go na platformę. Tu rozegrał się końcowy akt walki; krótki już i nieubłagany.

Inżynier bronił się słabo, z trudem parując szaloną furię tamtego. Krew sączyła mu się z czoła, z ust, z nosa — zalewała oczy.

Nagle Godziemba uderzył weń całym sobą. Rastawiecki zachwiał się, zakołysał i runął z pomostu pod koła. Krzyk jego tępy, chrapliwy zagłuszył stęk szyn, stłumił łoskot pociągu...

Zwycięzca odetchnął. Wciągnął w uznojone piersi chłodne, nocne powietrze, otarł pot z czoła i poprawił zmięte ubranie. Przeciąg pędzącego parowozu rozwiewał mu włosy i studził gorączkę krwi. Wyjął cygarnicę i zapalił papierosa. Czuł się jakoś rześko, wesoło.

Spokojnie otworzył zatrzaśnięte podczas walki drzwi i krokiem pewnym wrócił do coupé. Gdy wchodził, objęła go para ramion ciepłych, giętkich jak węzowe sploty. W oczach tliło pytanie:

— Gdzie on? Gdzie mąż?

— Nie wróci już nigdy — odpowiedział obojętnie.

Przytuliła się cała do niego.

— Ty mnie obronisz przed ludźmi. Luby mój!

Objął ją mocno i przycisnął do siebie.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — szeptała oparta o jego piersi. — Czuję taki słodki zawrót głowy. Popelniliśmy grzech wielki, lecz ja się go nie boję przy tobie, mój ty silny. Biedny Mieczek!... Wiesz, to straszne, że mi go nic nie żal? Przecież to okropne! To mój mąż!

Odsunęła się od niego raptownie, lecz spojrzawszy w jego oczy, pijane żarem miłości, zapomniała o wszystkim. Zaczęli snuć plany na przyszłość. Godziemba był człowiekiem bogatym i niezależnym — nie wiązał go żaden zawód — mogli opuścić kraj na zawsze. Oto wysiądą na najbliższej stacji, gdzie krzyżują się linie kolejowe i idą na południe. Połączenie będzie znakomite — nad ranem odjeżdża ekspres do Triestu; on kupi zaraz bilet i za 12 godzin będą w porcie; stamtąd powiezie ich statek do kraju pomarańcz, gdzie słońca cudny blask majowe złoci drzewa, gdzie morze modrą piersią zmywa żółte piaski, biały las bożyszcz wieńczy skronie wawrzynowym wieńcem.

Mówił tonem spokojnym, pewny swych męskich celów, obojętny na sąd ludzi. Skupioną przedziwnie energią dźwigał jej łamiącą mu się w ramionach postać, gotów do zapasów z całym światem.

Nuna, wsłuchana w dźwięk jego słów, zdawała się marzyć baśń jakąś dziwną, jedyną, opowieść złocistą, przetkaną w perły i bisior...

Donośny gwizd maszyny zapowiedział stację. Godziemba drgnął.

— Czas już. Zbierajmy się.

Powstała, zdjęła z siatki płaszczyk podróżny. Pomógł jej ubrać się.

Przez szyby wpadły smugi lamp na dworcu. Godziembą wstrząsnął powtórnie przeciągły dreszcz.

Pociąg stanął. Opuścili przedział i wyszli na peron. Ogarnął ich i wchłonął w siebie tłum ludzi, zgiełk głosów i światła.

Nagle Nuna, oparta na jego ramieniu, zaciężła mu jak przeznaczenie. W mgnieniu oka wyczołgała się skądś z załomów duszy obłąkana groza i zjeżyła mu włosy. Zacięte febrycznie usta zadzwoniły na trwogę. Wyszczrzył ostre kły ohydny, podły strach...

Został tylko morderca i nędzny tchórz.

Wśród największej ciżby oswobodził ramię z uścisku Nuny, odsunął się od niej niespostrzeżenie i przez jakiś ciemny korytarz przedostał poza dworzec.

Rozpoczęła się szalona ucieczka wśród zaułków nieznanego miasta...

Wieczny pasażer (humoreska)

Przez tłum zalegający halę wchodową dworca w Snowiu przeciskał się gorączkowo z walizą podróżną mały, nerwowy, w wyszarzałej zarzutce człowiek. Śpieszyło mu się widocznie ogromnie, bo rozpychał gwałtownie gromady chłopów i rzucał się jak nurek w odmęt ludzkich ciał, od czasu do czasu wbijając niespokojne spojrzenie w tarczę zegara, królującego ponad morzem głów. Było już kwadrans na czwartą po południu; za 10 minut odjeżdżał pociąg w kierunku K. Czas najwyższy, by kupić bilet i znaleźć miejsce.

Wreszcie po nadludzkich wysiłkach p. Agapit Kuczka przedostał się w okolice kasy, by tu stanąć w ogonku i czekać cierpliwie, aż przyjdzie nań kolej. Lecz powolne posuwanie się naprzód, o krok na minutę znać go mocno niecierpliwiło, bo wkrótce zauważyli sąsiedzi widoczną u towarzysza niedoli tendencję do przyspieszenia pielgrzymki. Wreszcie zziębnięty, czerwony jak upiór, z kroplami potu na twarzy dotarł pan Agapit do upragnionego okienka. Lecz teraz zaszło coś niezwykłego. Zamiast zażądać biletu, pan Kluczka otworzył pulares, zajrzał badawczo do jego wnętrza i mruczając coś niezrozumiałego pod nosem, odszedł drugim "odpływowym" przejściem od kasy.

Jeden z podróżnych, któremu pan Agapit w czasie swej wędrówki do okna nastąpił dość silnie na nagniotek, zauważył ku niemałemu oburzeniu cały ten zagadkowy manewr i nie omieszkął zgromić go na odchodnym:

— Ciśniesz się pan i pchasz naprzód jak opętany, myślałby kto, że Bóg wie, jak pilno ci odjechać... a tu odchodzisz od kasy bez biletu. Fi! Bzik, bzik! A może wybrałeś się pan w drogę bez pieniędzy?

Lecz pan Agapit już nie słyszał. "Zdobywszy" symbolicznie bilet, pośpieszył nerwowym krokiem przez poczekalnię na peron. Tu już oczekiwał tłum pasażerów przybycia pociągu. Pan Kluczka przeszedł się parę razy niespokojnie po peronie i podając otwartą papierośnicę portierowi, zagadnął:

— Czy pociąg spóźniony?

— Tylko o kwadrans — objaśniał kolejarz, wyciągając z uśmiechem z przegródki papierosa.

— Za dwie minuty będziemy go mieli na dworcu. A łaskawy pan dzisiaj na odmianę rozpoczyna turę do Kostrzan? — zapytał, filuternie przymykając oko.

Pan Kluczka zmieszał się jakoś, zaczerwienił i obróciwszy na pięcie podbiegł truchcikiem poza drugi tor. Portier, znać dobry znajomy pokiwał tylko za gościem pobłażliwie głową, machnął ręką i zająwszy zwykłe stanowisko przy wejściu do poczekalni, zaczął z lubością zaciągać się papierosem.

Wśród tego zajechał pociąg. Fala podróżnych zakołysała się zgodnym rytmem, pomykając ku wagonom. Rozpoczęła się stereotypowa bousculade; przewracanie się na pakunkach, tłok, ciżba, zgiełk.

Pan Agapit z dziką energią wytrawnego gracza rzucił się między pierwsze szeregi

atakujących; po drodze obalił jakąś sędziwą staruszkę, zdążającą do przedziału z dwoma potwornymi tobołkami, przewrócił jakąś nianię z niemowłędem i podbił oko jakiemuś wytwornemu panu. Niezrażony ulewą przekleństw i złorzeczeń, które posypały się nań ze stron poszkodowanych, pan Kluczka wstąpił tryumfalnie na schodki, wiodące do coupé II. klasy i jednym elastycznym susem znalazł się w długim, wąskim korytarzyku. Otarł pot z czoła, uśmiechnął się zwycięsko i spojrzął złośliwie na klębiące się w dole falangi pasażerów. Lecz gdy po pięciu minutach takiego rozkoszowania się "zajętym" miejscem usłyszał gwizd świstawki do odjazdu, w twarzy jego zaszła nagła zmiana: pan Agapit zaniepokoił się. I zanim odezwał się finalny odzew trąbki, porwał z siatki swą walizę, przemknął błyskawicą poza plecyma zdumionych podróżnych i wysiadł tylnymi drzwiami odwróconymi od dworca w kierunku magazynów. W tej chwili pociąg ruszył. Ponad głową pana Agapita zaczęły przesuwac się w coraz silniejszym tempie okna wagonów, ciemnozielone lub czarne, kadłuby wozów; z któregoś przedziału wychyliła się złośliwa głowa jakiegoś wisusa, który spostrzegłszy stojącego bezradnie poniżej mężczyznę, zagrał mu szyderczo palcami na nosie. Wreszcie prześmignął ostatni wagon i zamykając łańcuch towarzyszy swym szerokim, pleczystym grzbietem szybko zasunął się w przestrzeń. Pan Kluczka patrzył przez chwilę żalonym spojrzeniem za znikającym pociągiem, opuściwszy beładnie walizę, niby żywy posąg rezygnacji i smutku; potem pod krzyżowym ogniem ironicznych spojrzeń funkcjonariuszy powlókł się z powrotem do poczekalni.

Tu szeregi czekających gości przerzedziły się; główny kontyngent odpłynął już z pociągiem; pozostali wyglądali parowozu, który kursował na bocznej linii, idącej na południe w stronę gór. Czasu było jeszcze sporo: pociąg odjeżdżał dopiero po szóstej wieczorem.

Pan Kluczka zajął wygodne miejsce w kącie sali, zastawił się walizą, umieszczoną na stole naprzeciw i wydobywszy z kieszeni małe zawiniątko, zaczął spożywać skromny podwieczorek. Dobrze mu tu było w zacisznym zakątku, ukrytym w półmroku, który już zarzucał w salę tu i ówdzie nieznaczne zasięgi. Wyprostował leniwo nogi, oparł się o poręcz pluszowej kanapki i z całą rozkoszą oddawał się "nasiąkaniu" atmosferą poczekalni i dworca.

Pan Agapit Kluczka, z zawodu mundant sądowy, był namiętym zwolennikiem kolei i podróży. Środowisko kolejowe działało nań jak narkotyk, wstrząsało całym jego jestestwem do głębi. Zapach dymu, lokomotyw, kwaśna woń gazu świetlnego, specyficzny zaduch kopci i sadzy rozlany w korytarzach stacyjnych przyprawiała go o słodki zawrót głowy, mąciły przytomność i jasność myślenia. Gdyby nie lichy stan zdrowia, byłby został konduktorem, by bez przerwy jeździć z jednego końca kraju w drugi. Zazdrościł też niezmiernie funkcjonariuszom kolejowym tej ciągłej nerwicy, tego wiecznego przerzucania się z pociągu na "ziemię", z "ziemi" na pociąg, niekończącej się nigdy, aż do grobowej deski jazdy i jazdy bez wytchnienia. Niestety los przykuł go do zielonego stolika i związał szpagatem nudy ze stosami zapylnych aktów i papierów. Pisarz sądowy...

Spojrzał raz jeszcze w głąb swej portmonetki i z gorzkim uśmiechem wsunął ją z powrotem do kieszeni.

— 30 zł. — wyszeptał z westchnieniem — a dziś dopiero 5-go. Gdyby nie te przeklęte pieniądze byłbym dziś jeszcze przed nocą w Kostrzanach wraz z tymi szczęśliwcami.

Wyobraźnia przeniosła go jednym rzutem w gwarne środowisko dworca w Kostrzanach, nurzając się w zgiełku głosów, chaosie sygnałów i dreszczach dzwonek. Spod przymkniętych powiek wytoczyły się powoli dwie duże, ciche łzy i spadły na rudawe wąsiki... Nagle oprzytomniał. Otarł szybko oczy, podkręcił wąsa i poprawiwszy się na kanapce, zaczął rozglądać się po poczekalni. Wkoło panowała typowa nuda dworców rozziewana czekaniem, zszarzała monotonią powtórzeń. Ciszę sali przerywał chyba od czasu do czasu suchy kaszel jakiegoś suchotnika, ciężki, wlokący się chód znudzonego "gościa" lub szepc "grzecznych" dzieci spod okna pytających o coś rodziców. Poza szybami okien przesuwały się chwilami postacie funkcjonariuszy, mignęła czerwona plama czapki urzędnika ruchu. Gdzieś z oddali dochodził histeryczny świst szybującej za dworcem maszyny...

P. Agapit ześrodkował spojrzenie na najbliższym sąsiedzie z lewej, starym Żydzie — chałatniku drzemiącym od godziny w tej samej pozycji.

— Pan daleko? — zagaił rozmowę. Żyd, wydrażony z sennej zadumy, popatrzył nań

niechętnie, ospale.

— Do Rajbrodu — ziewnął, gładząc długą, ryżą brodę.

— A więc na południe, w górską stronę. I ja również wybieram się w tamtym kierunku. Ładna partia! Same jary, lasy, podgórze. Lecz trzeba bardzo uważać w ciągu jazdy — dodał, przechodząc z entuzjazmu w ton przestrogi.

— A bo co? — zapytał zaniepokojony żydowin.

— Strona trochę niebezpieczna; zawsze to, widzi pan, lasy, góry, parowy. Podobno pojawiają się tam od czasu do czasu zbójcy.

— Aj, aj! — jęknął starozakonny.

— No — nie często — ale zawsze ostrożność nie zawadzi — uspokajał Kluczka — Najlepiej jechać w jednym z wagonów środkowych i to nie we wnętrzu przedziału lecz na korytarzu.

— Dlaczego, proszę pana?

— Łatwiej wydostać się w razie czego; krótsza droga. Przez okno hyc! w pole i basta.

P. Agapit ożywił się ogromnie i z błyszczącymi werwą oczyma zaczął roztaczać przed współpasażerem obrazy ewentualnych niebezpieczeństw, jakie mogą grozić podróżnym na tej przestrzeni. Kluczka "przechodził" przez tzw. "moment ostrzegawczy", innymi słowy "stał w znaku ostrzeżeń", jak lubił to u siebie określać. Było to pierwsze niby intermedium, które rozgrywało się zawsze w poczekalni, dokąd wracał po odbyciu pierwszej "symbolicznej podróży" do K. Zwyczajnie padał ofiarą tej złowieszczej konstelacji ducha pana Agapitowego najbliższy współtowarzysz lub towarzyszka podróży, których przypadek umieścił w jego pobliżu. Kluczka wysilał się na wymyślanie tysięcznych możliwych i niemożliwych niebezpieczeństw, które malował nader plastycznie z niewolącą ku sobie siłą sugestii. I nieraz osiągał efekt niebywały; parę razy zdarzyło mu się, że po takiej rozmowie niejedna przerażona jejmość rezygnowała z podróży, odkładając ją do "spokojniejszych czasów", lub też, gdy jazda była koniecznością nieuniknioną, z pobożnym westchnieniem wsuwała grubszy datek do skarbonki kolejowej z napisem: "Na intencję szczęśliwej podróży"...

Pobudki, jakie kierowały Kluczką w "stadium ostrzeżeń", były natury dość złożonej i niejasnej. Niewątpliwie pewną rolę odgrywało tu i pragnienie zemsty na tych "szczęśliwcach", jak nazywał podróżnych za to, że jadą "naprawdę" — pragnienie głęboko utajone w sercu, do którego by się niechętnie przyznał; równocześnie jednak wchodziło w grę i inne uczucie, nadając całemu splotowi nastrojowemu specjalne zabarwienie. Oto p. Agapit roztaczając przed oczyma swych ofiar obrazy ewentualnej grozy położenia, tym samym doznawał wraz z nimi intensywnych przeżyć na tle środowiska kolejowego i zdobywał w ten sposób jeden surogat jazdy więcej. Tak wchodził "moment ostrzegawczy" w kompleks tęsknot i wrażeń podróżniczych, o które przede wszystkim chodziło...

Stacyjny zegar wybił dźwięcznie godzinę szóstą. W sali wszczął się ruch. Z kątów wychyliły się senne postacie i otrząślny się z drzemoty, chwytały nerwowo za pakunki, zmierzając ku oszklonym drzwiom na peron.

P. Agapit urwał w połowie rozpoczęte zdanie, poprawił na sobie narzutkę, wyprostował się i elastycznym krokiem zbliżył się ku wyjściu. Portier ustępując pod naporem zniecierpliwionych gości, usunął się w głąb peronu. Tłum wylał się na zewnątrz, unosząc z sobą zdenerwowanego już Kluczkę. Przepychając się przez drzwi, spotkał p. Agapit ironiczne spojrzenie funkcjonariusza, lecz udał, że w roztargnieniu tego nie dostrzega.

— Jechał cię sęk! — pomyślał, wyprzedzając jakiegoś jegomościa. A już pociąg zajechał z brawurą przed stację i wyrzucał na boki długie, białe leje pary.

Ponieważ ścisk był tym razem mniejszy, p. Agapit "zdobył" łatwo wyborne miejsce w klasie I i rozsiadł się na czerwonym pluszu poduszek. Z powodu skrzyżowania z pośpiesznym z F. pociąg zatrzymał się w Snowiu dłużej niż zwykle i Kluczka mógł dobrej pół godziny oddawać się iluzjom "jazdy symbolicznej" w stronę gór. Lecz gdy już przeleciał mimo oczekiwany pośpieszny i zniknął w dali wśród tumanów dymu, p. Agapit ściągnął nieznacznie z siatki walizę i ukradkiem wymknął się ku schodkom na zewnątrz. Gdy w minutę potem rozległ się pożegnalny jęk trąbki, zbiegł

niespostrzeżony przez nikogo po stopniach w dół i znalazł się z powrotem w poczekalni. Po drodze okupił się ponownie jednym papierosem u p. Wawrzyszyna, portiera, który już zbyt natarczywie zaglądał mu w oczy. W ogóle musiał biedak co pewien czas opłacać się służbie kolejowej, by przez palce patrzyła na jego "wybryki". Znano go też powszechnie na dworcu pod przydomkiem "wiecznego pasażera" lub też drugim, mniej pochlebny "nieszkodliwego bzika".

Tymczasem pociąg odjechał i rozpoczęło się drugie intermedium. Poczekalnia opustoszała zupełnie. Najbliższy pociąg osobowy w kierunku D. przychodził dopiero o 10 wieczorem; ludziom nie spieszyło się na dworzec.

Stację obsiadły przedwieczorna nuda i dumanie: rozpanoszyły się szare pajęczą przędzą po pustych ławkach, rozziwowały po wnękach i kątach. Pod stropem sali błąkało się parę much, brzęcząc monotennie i z dziwnym uporem okrążało duży, wisiorami strojny pajak. Poprzez okna rozbłysły na przestrzeni pierwsze ognie zwrotnic, wtargnęły świetlne strugi elektrycznych bań. W półmroku zamkniętej poczekalni snuła się samotna sylwetka sądowego pisarza, zgarbiona jakaś, zgięta, przybita nisko do ziemi...

Kluczka studiował w promieniu reflektora peronowego stary już, wystrzępiany rozkład jazdy, obliczał ceny biletów, wyszukiwał fikcyjne "połączenia" parowozów. W końcu z wypiekami na twarzy wyznaczył najdokładniej w świetle rutę, jaką obiecywał sobie odbyć "naprawdę" kolo Wielkiej Nocy po otrzymaniu dwutygodniowego urlopu i dodatku świątecznego do pensji.

Gdy kończył już obliczenia i przeglądał raz jeszcze drobnym, precyzyjnym "maczkiem" sporządzone notatki, nagle w sali pojaśniało; spod sufitu strzeliło pięć elektrycznych rac, ze ścian bluznęło parę jasnożółtych rzutów: poczekalnia przybrała atmosferę wieczorną. Klamka drzwi tylnych poruszyła się ku dołowi i do sali weszło paru podróżnych. Nastrój rozwiął się bezpowrotnie. Wszystko stało się jasne jak w biały dzień.

Pan Agapit zajął zwykle miejsce obserwacyjne w cieniu pieca koło jakiejś niewiasty w wieku nieokreślonym. Osoba znać była nerwowa, wnosząc ze specjalnego tik w kątach ust i ruchów wypadliwych. Kluczce zrobiło się nagle ogromnie jej żal i postanowił ukoić niespokojną sąsiadkę.

— Pani dobrodziejka — pochylił się ku damie, przybierając wyraz pełen niemal seraficznej słodyczy — prawdopodobnie bardzo poddaje się nastrojowi podróżniczemu?

Dama zaskoczona zniemacka popatrzyła nań trochę obco.

— Po prostu — tłumaczył jedwabistym głosem p. Agapit — po prostu cierpi czcigodna pani na tzw. febrę kolejową. Znam to, łaskawa Pani. Znam aż nadto dobrze. Ja również do dziś dnia, chociaż niby w tej materii bywalec, nie mogę jakoś zapanować nad środowiskiem kolejowym. Działa na mnie ciągle z jednakową siłą.

Kobieta spojrzała łaskawiej.

— Istotnie czuję się trochę podniecona; może nie tyle czekając mnie jazdą, ile niepewnością, jak sobie dam radę po przybyciu do celu. Nie znam zupełnie miejscowości, do której zmuszoną jestem jechać, nie wiem, do kogo się zwrócić, gdzie przenocować. Chodzi o pierwsze, nader przykre chwile bezpośrednio po przyjeździe.

Pan Agapit zatarł z zadowoleniem ręce: dama ułatwiła mu cudownie przejście do "momentu informacyjno-objaśniającego", który z kolei rzeczy wyłaniał się na horyzoncie wieczornym. Dobył z bocznej kieszeni surduta potężny plik papierów i notatek i rozkładając go przed sobą na stole, zwrócił się z życzliwym uśmiechem do sąsiadki:

— Na szczęście mogę służyć pani daleko idącymi informacjami. Czy wolno wiedzieć, dokąd łaskawa pani jedzie?

— Do Ujścia Wyżniego.

— Znakomicie. Zaraz będziemy wiedzieli o nim coś więcej. Zaglądnijmy do spisu stacji na końcu... Ujście Wyżnie... — jest! Linia S-D, str. 30. Wybornie!... Czas odejścia pociągów: osobowy 4.30 w nocy, 11.20 przed południem, i 10.03 wieczorem. Cena biletu II klasy K. 10,40. Przejdźmy do szczegółów lokalnych. Ujście Wyżnie — wzniesienie ponad poziom morza: 210 m. — miasto wielkości trzeciorzędnej — 20.000 mieszkańców; sąd powiatowy, starostwo, szkoła wydziałowa, 1 gimnazjum...

Dama przerwała tok objaśnień niecierpliwym gestem ręki.

— Hotele, kochany panie, czy są jakie hotele?

— Zaraz... zaraz będą... Są! 2 zajazdy, 1 gospoda pod "Czapką Niewidką" i hotel "Imperial". To dla nas! Otóż hotel "Imperial" — tuż koło dworca na prawo, 2 minuty drogi — słoneczne, duże pokoje od 3 K. w górę — obsługa pierwszorzędna, opał stosownie do żądania, elektryka, winda, łaźnia parowa na dole — 3 minuty drogi powolnym, spokojnym chodem — obiady, kolacje, kuchnia domowa znakomita. Mein Liebchen, was...

Tu ugryzł się p. Agapit w język, orientując się, że w zapale informacyjnym posunął się za daleko.

Dama promieniała:

— Dziękuję panu, serdecznie dziękuję. Czy pan jest zawodowym informatorem przy tutejszej stacji? — zagadnęła, wydobywając z torebki portmonetkę.

Kluczka zmieszał się.

— Ależ nie, proszę pani. Proszę mnie nie uważać za agenta biura informacyjnego. Ja tylko tak z amatorstwa, z czysto idealnych pobudek.

Z kolei ją ogarnęło zakłopotanie.

— Przepraszam pana bardzo i jeszcze raz dziękuję.

Podawała mu rękę, którą on po rycersku ucałował.

— Agapit Kluczka, "urzędnik" sądowy — przedstawił się, uchylając kapelusza.

Był w różowym humorze: stadium informacyjne wypadło dziś nadspodziewanie. To też gdy koło 10 rzucił portier w salę stentorowym głosem hasło do odjazdu, "wieczny pasażer" dokonał wszystkich swych symbolicznych ewolucji ze zdwojoną energią dwudziestokilkuletniego młodzieńca. A chociaż po ponownym nawrocie do poczekalni intermezzo trzecie nie zapowiadało się ponętnie, przecież górna temperatura nie opadła i dusza pana Agapita kołysała się słodkim wspomnieniem stadium drugiego.

Mimo to, dzisiejszej "turze" nie było sądzone szczęśliwe zakończenie. Bo gdy w dwie godziny później tj. po 12 w nocy usiłował Kluczka wśród niebywałego tłoku wdrzeć się z walizą do przedziału III klasy, nagle uczuł, że ktoś go silnie szarpnął za kołnierz i gwałtem ściąga ze stopnia. Oglądając się z pasją, ujrzał w świetle latarni śródtorowej rozgniewaną twarz konduktora i usłyszał w zgiełku głosów następującą apostrofę widocznie dla niego przeznaczoną:

— Wynoś się pan stąd do stu diabłów! Ścisk, że szpilki nie rzucisz, a ten bzik mimo wszystko pnie się po schodach jak opętany i roztrąca ludzi, by potem drugą stroną wyskoczyć w chwili odjazdu. Znam cię ptaszku nie od dzisiaj i mam już od dawna na oku! No, ruszaj stąd do stu piorunów, bo wezwę na pomoc żandarma! Nie ma czasu dzisiaj na zaspakajanie głupkowatych chętek wariatów! Odurzony, przestraszony do szpiku kości Kluczka ujrzał się niespodziewanie poza nawiasem pasażerów i jak pijany zatoczył się gdzieś pod słupy peronu.

— Dobrze ci tak — szeptał przez zaciśnięte zęby — po co było pchać się do III klasy zamiast do I lub II? Pośledni przedział, poślednia służba — zawsze ci to mówiłem. Poznać pana po cholewach.

Trochę uspokojony tym wywodem, poprawił wymiętą zarzutkę i chyłkiem wyniósł się z peronu do poczekalni, stamtąd do hali wchodowej, a stąd na ulicę. Miał dość na dzisiaj "podróży" — zajście ostatnie zniechęciło go do dokończenia dzisiejszej tury, skracając mu ją o jedną godzinę...

Było już po północy. Miasto spało. Pogasy światła przydrożnych gospód, przygłuchły głosy piwiarni i restauracji. Gdzieniedzie rozświetlała mrok ulicy hen daleko na zakręcie suchotnicza latarnia, gdzieniedzie prześlizgnął się po chodniku mdły blask z jakiejś podziemnej nory. Cisze snu przerywał niekiedy spieszny chód spóźnionego przechodnia lub dalekie wycie psów spuszczonej z łańcucha...

Wąską, krętą uliczką, pnącą się gdzieś w górę wśród zapadłych zaułków nad rzeką włókł się powoli z walizą w ręce wieczysty pasażer. Głowa ciążyła mu ołowiem, nogi stąpały sztywnie, drewniane, jak szcudła. Wracał do domu na parę godzin snu przed świtem, bo nazajutrz rano czekało nań biura a po godzinie trzeciej jak dzisiaj, jak wczoraj, jak od lat już niepamiętnych

"symboliczna podróż".

Falszywy alarm

Spod zdruzgotanych wozów wydobyto resztę ofiar: dwóch ciężko rannych mężczyzn i jedną kobietę, zmiądzoną na śmierć w żelaznych uściskach zderzaków. Kilku ludzi z miejskiego ambulansu złożyło pokrwawione ciała na szpitalne lektyki i zaniósł w stronę poczekalni do tymczasowego opatrunku. Stamtąd dochodziły już jęki, rozdzierające okrzyki bólu, czasem przeciągły spazmatyczny płacz. Z odległości pierwszej zwrotnicy widać było przez otwarte okno białe płaszcze chirurga i asystentów, uwijających się po sali, pomiędzy rzędami złożonych na podłodze noszy. Żniwo było bogate i krwawe: 50 ofiar...

Bytomski odwrócił oczy od peronu i w dalszym ciągu przypatrywał się wysiłkom służby i funkcjonariuszy, którzy pod kierownictwem jego kolegi, naczelnika stacji Rudawskiego, usuwali z toru szczątki rozbitego pociągu.

Wyniki katastrofy przedstawiały się w niezwykle groźnych wymiarach; na 15 wagonów "garnituru" ledwie 2 uszły cało, reszta uległa niemal zupełnemu zniszczeniu. Maszyna z jaszczykiem, które pierwsze wpadły na tyły ciężarowego, wsunęły się w ostatni jego wagon niby szuflady we wlot i tak trwały skleszczone w potwornym zwarciu. Parę wozów środkowych z powybijanymi szybami, bez pomostów, bez kół spięło się w górę i wparło w siebie jak oślepiłe, rozhukane w pędzie rumaki osadzone w miejscu ręką oszalałych jeźdźców. Jeden wagon zmiądzło do szczętu; pozostał tylko jakiś bezładny kłęb posiekanych na drzazgi ścian, poszatkowanych na szczapy przepierzeń, poskręcanych w trąby platform; a spośród tej dzikiej strzyży drzewa i żelaza sterczały tu i ówdzie kikuty rur przewodowych, jakieś szczerbate, powyginane śmiesznie blachy, stożyły się pod niebo czarną pogrozą zardzewiałe sztaby, laski, wyważone z zawiasów drzwi ze śladami skrzepłej posoki, wywleczone z przedziałów ławki, sofki i fotele oblepione strzępami ludzkiego ciała...

Niemal cały personel służbowy Bieżawy pracował nad przyprowadzeniem toru do porządku. Nadjechała z ogrzewalni maszyna ratunkowa i skierowana na fatalną linię, wprowadzała ze sobą skwapliwie szczęty rozbitego. Tam, gdzie wytracone z orbity toru wagony przechyliły się na bok i runęły na zbocza nawierzchni, akcja była trudniejsza i na dłuższą metę; nie pozostawało nic innego, jak za pomocą dźwigni i kilofów zepchnąć je trochę niżej w dół po pochylni nasypu i w ten sposób na razie usunąć zawadę z przestrzeni. Gdzie indziej pracowały gorliwie łopaty, zgarniając na wózki rozrzucone wkoło żelaziwo, rozszczepione na trzaski pierzeje ścian wagonowych, wałęsające się po szynach odpryski i odruzgi. Co chwila odzywało się kłańcanie spuszczonego łańcuchów, gwizdy świstawek na "gotów" i przeraźliwa odpowiedź lokomotywy ruszającej z naładowanym już sprzętem.

Bytomski, oparty o żuraw studzienny, z cygarem w zębach śledził w posępnej zadumie ruchy funkcjonariuszy. Od czasu do czasu, zaciągnawszy się silniej dymem tytoniowym, odrywał rękę od słupa studni i mierząc z ukosa spojrzeniem stojącego obok kolegę, poruszał znacząco głową.

Lecz Rudawski, zajęty akcją ratunkową, zdawał się nie dostrzegać gestów towarzysza, tedy Bytomski uśmiechał się na poły smutno, na poły drwiąco i wracając do pierwotnej pozycji, ćmił dalej swoje cygaro. Raz tylko, gdy doleciał ich z poczekalni głośniejszy jęk jednego z nieszczęśliwych pasażerów, naczelnik Bieżawy drgnął niespokojnie i mimo woli rzucił okiem w stronę kolegi z Trenczyna. — Przestrzegałem — odpowiedział tamten na spojrzenie, nachylając się tajemniczo do ucha Rudawskiego — przestrzegałem parę razy przed katastrofą, lecz wtedy wyśmiałeś mnie, kolega. Teraz ponosicie następstwa własnej lekkomyślności. Nie należało lekceważyć słów starego wygi z Trenczyna.

At — zachnął się niecierpliwie Rudawski — Pleciesz kolega androny. Czysty przypadek i basta! Nie wierzę w te wasze wariackie obliczenia.

— Tym gorzej dla was; na upór nie ma lekarstwa. Więc nie uznajecie teorii fałszywych alarmów?

— Ani trochę — odburknął. — Fałszywe alarmy, oczywiście, zdarzają się, i to dość często, lecz są tylko wynikiem przeczulenia funkcjonariuszy, pracujących w danej chwili; czymś w rodzaju służbowej przesady i hipergorliwości strzyżącej uszyma za lada listka szelestem. I niczym więcej. Rozumiecie mnie? — powtórzył dobitnie. — Niczym więcej.

Bytomski już się nie sprzeciwiał.

— Ha — westchnął smutno — chciałem wam oszczędzić tej niemilej historii, lecz znać sądzonym było inaczej. Nikt nie ujdzie tego, co mu przeznaczone.

Naczelnik Bieżawy nie odpowiedział już na tę fatalistyczną uwagę, gdyż właśnie jeden z dróżników zbliżył się doń po dalsze instrukcje i zajął sobą wyłącznie jego uwagę.

Mijała szósta wieczorem. Bytomski podniósł rękę ku czołu i przez chwilę wpatrywał się w łagodne, wrześniowe słońce, które stoczywszy się z nieboskłonu, zawisło czerwoną tarczą nad dworcem. Czas był do powrotu; stacja w Tarczynie, opuszczona przez niego nad ranem i zdana na opiekę asystenta, i tak zbyt już długo pozostawała bez kierownika. Oczekująca go na bocznym torze maszyna, którą przyjechał do Bieżawy, znać niecierpliwiła się przydługim postojem i dysząc kłębamii pary, dudniąc pełnymi kotłami, wzywała do odjazdu.

Nie żegnając już przygnębionego katastrofą kolegi, zmartwiony bezskutecznością wyprawy, Bytomski wstąpił na platformę i dał maszyniście znak do odjazdu. Odezwał się krótki świst i lokomotywa ruszyła.

Naczelnik usiadł pod tenderem na żelaznej ławeczce i w milczeniu zapalił fajkę. Był zły i poirytowany okropnie na kolegę z Bieżawy. Już wczoraj wieczorem, dowiedziawszy się, że mylnie zaalarmowano urząd ruchu w Wyszkwowie, ostrzegając go przed groźącym rzekomo karambolem, wiedział, co o tym sądzić.

Depesza wpłynęła do stacji w czwartek rano, a w parę godzin potem po zarządzeniu środków ochronnych okazało się, że była zgoła fałszywą i bezpodstawną; w rzeczywistości nie było ani cienia niebezpieczeństwa i naczelnik Wyszkowa niepotrzebnie zaniepokojony kłął na czym świat stoi na "fałszywe hałasy". Lecz Bytomski patrzył na "awanturę" z trochę innego punktu widzenia. Gdyby alarm okazał się usprawiedliwionym i środki zaradcze całkiem na miejscu, byłby przeszedł mimo spokojnie i cieszył się tylko, że w porę niebezpieczeństwo wyminięto. Z chwilą jednak, gdy wchodziły w grę tzw. "alarmy fałszywe", cały sprzężał się w sobie, nadstawiając bacznie ucha, skąd przysły i w kogo godziły.

Naczelnik Trenczyna nie od dziś śledził je swym czujnym okiem. Toteż otrzymawszy w czwartek koło godz. siódmej wieczorem tę niemiłą wiadomość, w lot zorientował się w sytuacji. Oto kolega z Wyszkowa skarżył się mu przez telefon, że go bez przyczyny zaniepokojono, że przez parę godzin pozostawał w łatwym do zrozumienia naprężeniu, czyli innymi słowy, że przyszedł fałszywy alarm do Wyszkowa — lecz Wyszków — to trzecia stacja na prawo od Bieżawy... Więc?... Więc to był znak ostrzegawczy dla Bieżawy! Tam najdalej jutro, może jeszcze dziś przyjdzie do katastrofy, którą grożono przed kilku godzinami urzędowi ruchu w Wyszkwowie. Rzecz niechybna, oczywista, jak słońce na niebie! Nie pierwszy to i nie ostatni raz. Bytomski znał się już dobrze na tych "fintach". Należało natychmiast przestrzec Rudawskiego!

Jakoż o godz. 7 min. 50 wieczorem, czyli w 50 minut po otrzymaniu wiadomości, posłał do Bieżawy telegraficzną depeszę, w której powtórzył dosłowną treść alarmujących sygnałów przeznaczonych dla Wyszkowa. Przedstawiwszy sytuację "we właściwym świetle", błagał na wszystkie świętości kolegę, by miał się na baczności i na wszelki wypadek opróżnił drugi tor, jeśli go zajmuje jaki "garnitur", na postoju. Rudawski z drwinami podziękował za "dobrą radę" i oświadczył, że jeszcze do tego stopnia nie zbzikował, by zarządzać środki ochronne przeciw niebezpieczeństwu, przed którym (zresztą zupełnie fałszywie) przestrzegano kogo innego.

Bytomski był w rozpacz. Przedstawiał, zaklinał, nawet groził — nic nie pomogło. Rudawski zaciął się w trzeźwym uporze człowieka wyzwolonego z "przesądów" i życzył koledze z

Trenczyna dobrej nocy i przyjemnych marzeń.

Zniechęcony bezcelowością rozmowy Bytomski odłożył słuchawkę aparatu i szarpany złowrogim przecuciem, chodził po peronie nerwowymi krokami. W nocy nie zmrządził oka, a nad ranem nie mogąc usiedzieć na miejscu, złożył opiekę nad Trenczynem na barki asystenta, a sam wsiadłszy na luzną maszynę, pognął jak wicher do Bieżawy. Tu przybył około 11 przed południem i odetchnął, zastawszy na razie wszystko w porządku.

Rudawski przyjął go nader serdecznie, lecz nie bez ukrytego szyderstwa. O "oczyszczaniu" drugiego toru nie chciał ani słyszeć. A właśnie stał na nim od wczoraj towarowy z Budziszyna przeznaczony na dłuższy postój na stacji. Na próżno przedstawiał mu grozę sytuacji Bytomski, na próżno tłumaczył, że można pociąg bez trudności przesunąć na martwy tor pod magazynami. Rudawski jak skała trwał przy swoim, nie mając najmniejszej chęci ustępować "chimerom narwańca z Trenczyna"...

Na sporach i kłótniach upłynęło parę godzin. Tymczasem przeszedł szczęśliwie przez stację osobowy z N., przemknął jak piorun bez szkody błyskawiczny z T., przesunął się ciężkim, lapidarnym biegiem towarowy z S.

Po każdej ekspedycji Rudawski zacierał ręce i drwiąco zerkał w stronę chmurnego przyjaciela.

A o godzinie 5 min. 10 po południu najechał pośpieszny z Orawy z furią rozpędzonego olbrzyma na ciężarowy z drugiego toru. Przez jakąś fatalną pomyłkę przerzucił dróżnik stawidło na zajętej linii i puścił rozhukany pociąg na drogę zatury i śmierci. Bytomski odniósł ponury tryumf...

Wlepił nieruchomo oczy w jeden punkt na mętniejącym w mrokach zachodu widnokrzęgu i snuł dalej niewesołe myśli...

Zdumiewał go i drażnił za razem nieprzewyciężony niczym upór Rudawskiego; nawet po zniszczeniu się przepowiedni nie chciał mu przyznać słuszności, tłumacząc katastrofę nieszczęśliwym wypadkiem.

— Uparty i krnąbrny kozioł! — mruknął przez zęby, dając upust irytacji.

W ogóle jak można było tak zlekceważyć sobie jego przestrożę? Jak można było przyjąć z drwiącym wzruszeniem ramion życzliwą radę starego wilka kolejowego, który nie od dzisiaj i nie od wczoraj badał psychologię tzw. fałszywych alarmów i podpatrzył "właściwe" ich znaczenie dla tej przynajmniej połaci dróg żelaznych?...

Zaczął lat temu przeszło 20 od studium katastrof kolejowych. Umysł jego bystry a wnikliwy z wrodzoną mu zapalczywością śledził przebieg tych kataklizmów ruchu, wchodził w przyczyny, rozpatrywał przesłanki.

Po pewnym czasie dotarł do wniosku, że po uwzględnieniu ułomności ludzkich zmysłów, fizycznego zmęczenia wskutek przydługiej służby, jako też wadliwości regulaminu i kolejowych urzędzeń pozostaje pewna reszta, owo nie wyjaśnione nigdy "coś" nie dające się podciągnąć pod żadną kategorię przyczyn i powodów, które wywołały katastrofę.

Tu wszedł w dziedzinę tzw. przypadku, ślepego trafu, nieprzewidzianego zbiegu okoliczności itp. termes vagues. Po dziesięciu latach sumiennej, pełnej samozaparcia się służby uczuł się Bytomski zmuszonym do przyjęcia w sferze katastrof kolejowych nie znanego bliżej, pewnego zagadkowego czynnika, który z istoty rzeczy wychodził poza obręb wartości wymiarnych. Nie ulegało wątpliwości, że niemal w każdym wypadku kryła się głęboko pod powierzchnią tzw. "przyczyn" zamaskowana tajemnica. Jakieś złośliwe dajmonium czaiło się po wnękach kolejowego życia przykućle w półmroku, czyhające, gotowe w chwili sposobnej do zdradzieckiego wypadu...

Wtedy to zaczął zwracać baczniejszą uwagę na fałszywe alarmy.

Pierwszy podejrzany wypadek zdarzył się w r. 1880, czyli niespełna 11 lat temu. Było to przed głośnym swego czasu karambolem pod Iglicą, w którym zginęło przeszło 100 osób. Katastrofa narobiła wiele hałasu po dziennikach; pociągnięto do odpowiedzialności kilku urzędników, zawieszono w służbie maszynistę i jednego z dróżników; wreszcie zbadano "przyczynę" i wyświetlono "powody". Lecz nikt jakoś nie zwrócił uwagi na szczegół pozornie drugorzędny, niemniej jednak charakterystyczny. Oto na parę godzin przed fatalnym zderzeniem wpłynął fałszywy alarm ostrzegający przed katastrofą do Zbąszyna, trzeciej stacji na lewo od Iglicy.

Zarządzone środki ostrożności — notabene w Zbąszynie — nie przeszkodziły w niczym karambolowi pod Iglicą.

Drugi podobny wypadek zaszedł w 4 miesiące potem na stacji podgórskiej w Dworzanach. I tu poprzedził go alarm, lecz niestety ostrzegający trzecią stację na prawo od rzeczywistej katastrofy.

O ile zrazu skłaniał się jeszcze Bytomski do przyjęcia dziwnego zbiegu okoliczności, o tyle później, gdy podobne alarmy zaczęły się powtarzać, a w ślad za nimi szły zapowiedziane gdzie indziej katastrofy — nabrał wręcz odmiennego poglądu na sprawę.

Gdy żaden z naczelników ruchu ani nie domyślał się jakiegokolwiek związku między nieszczęśliwym wypadkiem w pobliżu jego stacji a sygnałami, które ostrzegały przedtem trzeciego z rzędu kolegę na prawo lub lewo — jeden Bytomski "podpatrzył" chytry manewr dla zamydlenia oczu i odwrócenia uwagi w inną stronę.

Odtąd ilekroć usłyszał o jakiejś katastrofie, przedsiębrał nader staranne wywiady u kierowników ruchu na temat zdarzeń, które ją poprzedziły. I zawsze jakoś po dłuższych lub krótszych dochodzeniach wpadał na trop fałszywego alarmu na trzeciej stacji od fatalnego miejsca. Takiej przynajmniej wyniki dawały mu jego ankiety przeprowadzane w tym rejonie, do którego służbowo należał. Ta partia sieci dróg żelaznych określona wyraźnie od północy i wschodu, a z resztą kraju połączona tylko pojedynczymi liniami toru stanowiła pewną odrębną i zamkniętą w sobie całość ułatwiającą kontrolę i przegląd.

Czy podobnie miała się sprawa alarmów i w innych rejonach — Bytomski nie wiedział i nie starał się zbadać ze względu na trudności porozumienia się z ludźmi sobie nie znanymi i na oddalenie terenu. I tam mogło być podobnie, lecz też mogło być i inaczej.

— Licho wszędzie czuwa — mawiał w chwili zwierzeń do swego asystenta — i różnym różne figle płata; tego uszczypnie, tamtemu da prztyczka w nos, trzeciemu nogę podstawi. W rezultacie na jedno wyjdzie. Faktem jest, że coś na nas czyha, coś złośliwego i przewrotnego, i tylko czeka na sposobność. Ledwo się człowiek odwinie, ledwo gdzie zagapi, już masz nieszczęście...

Jakoż wyśledziwszy istnienie owego demonicznego "coś" w życiu kolejowym, wydał mu walkę na śmierć i życie. Lecz że przeczuwał przeciwnika nie byle jakiej miary, musiał się odpowiednio przygotować. Dziś już wiedział, jak go "zażyć", z której strony zająć i uprzedzić; po latach obserwacji nauczył się parować cięcia.

Bo oto zestawivszy na mapie kolejowej swojego rejonu punktu zaszłych w ciągu ostatnich 11 lat katastrof, zauważył, że wszystkie zdają się leżeć na krzywiznie geometrycznej zwanej parabolą, której wierzchołek dziwnym trafem przypadał na Treczyn, tj. stację pozostającą od lat pięciu pod jego kierownictwem. Współrzędne każdego z tych fatalnych punktów wstawione w równanie $y^2 = 2 - px$, spełniały je bez zarzutu.

Podobnie po przeprowadzeniu żmudnych obliczeń i pomiarów okazało się, że i punkty zaalarmowane były w rzeczywistości wytycznymi tejże samej krzywizny; obie linie pokrywały się najdokładniej, padając jedna na drugą jak przystające trójkąty: parabola katastrof i parabola fałszywych alarmów przenikały się nawzajem i kojarzyły w jedną, chociaż punkty, które posłużyły do ich wykreślenia, były zgoła różne co do swojej pozycji i wewnętrznego znaczenia.

Od r. 1880 aż do chwili obecnej naliczył Bytomski 15 takich punktów rozmieszczonych w dwóch zrzeszeniach: jedna grupa złożona z 7 szła skądś z nieskończoności przestrzeni w kierunku ze wschodu na południowy zachód, druga złożona z 8 punktów ze wschodu na północny zachód. Obie więc posuwały się w stronę Treczyna nieubłąganym ruchem paraboli.

Chociaż linia nie była jeszcze zamkniętą i między punktami ostatnich katastrof istniał jeszcze potężny rozstęp przestrzeni kilkudziesięciomilowej, Bytomski nie zawahał się przed wypełnieniem tej przerwy i połączył czerwoną zwoją oba odgałęzienia w pełną, wydłużoną na zachód krzywiznę. Dla niego tendencja paraboliczna tej linii była tak wyraźną, że pod przysięgą mógł dziś już wyznaczyć kierunek, w którym miały pójść najbliższe w przyszłości alarmy, a w ślad za nimi ich sprawdziany: katastrofy.

Trzymał zbyt już dużo danych w swym ręku, rozporządzał zbyt wielką już liczbą przesłanek, by jeszcze się wahać i powątpiewać. Obie odrośle fatalnej paraboli: górna, dodatnia, i

dolna, ujemna, dążyły z nieubłaganą, isticie geometryczną konsekwencją ku wierzchołkowi, którym mogła być tylko stacja Treczyn...

Ostatni karambol w Bierzawie, przepowiedziany przezeń z taką precyzją szczegółów, umocnił go w tym przekonaniu. Nie ulegało już żadnej wątpliwości: obie odnogi paraboli zbliżały się ku sobie z fatalną uporczywością. Naczelnik widział już nieodwołalnie zamykające się ich kleszcze. Za jakiś czas, może już niedługo, miały podać sobie siostrzane dłonie... na jego stacji.

Bytomski oczekiwał tej chwili z niecierpliwością gracza: żądza wyprowadzenia w pole wroga, a równocześnie strach jakiś nieokreślony wstrząsały nim na przemian, ilekroć pomyślał o rozstrzygającym momencie. Nie wiedział bowiem na razie, jaką rolę przeznaczono Treczynowi: czy ma się rozegrać na jego stacji komedia alarmu, czy też tragedia katastrofy. Szło więc o to, by w porę odebrać wiadomość o fałszywych sygnałach na trzeciej stacji od Treczyna na lewo lub prawo i w następstwie zapobiec nieszczęściu lub też w razie bezpodstawnego zaalarmowania Treczyna w czas ostrzec zagrożonego rzeczywiście kolegę.

Toteż po powrocie z Bierzawy rzucił się gorączkowo do studiowania swojej paraboli i obliczania odległości.

Punktami końcowymi, do których dotarli już zasięgi obu odrośli krzywizny, były stacja Bieżawa na południu i Mogilany na północy. Między tymi miejscowościami rozciągała się jeszcze kilkudziesięciomilowa przestrzeń toru, której środek mniej więcej zajmował Treczyn, mając jako trzecią stację z rzędu po lewej Gańczary, zaś przystanek Polesie po stronie przeciwnej. Na przestrzeni pomiędzy Gańczarami a Mogilanami ponad osią poziomą paraboli, jako też między Polesiem a Bieżawą popod tymże poziomem było jeszcze kilkanaście większych i mniejszych przystani kolejowych. Ponieważ tedy atak miał ugodzić w jeden z tych punktów, należało nie spuszczać z oka całej tej strefy.

Odtąd naczelnik Treczyna nie zaznał spokoju. W ciągłej obawie, by go znieacka nie zaskoczono, porozumiewał się codziennie z kolegami z dalszych i bliższych posterunków drogą telegraficzną bądź też przez telefon. Nie było prawie dnia, żeby naczelnicy stacji na tej przestrzeni nie otrzymywali depeszy z Treczyna dopytującej się w sposób dziwnie natrętny, czy nie wpłynął do urzędu ruchu jakiś fałszywy alarm. Zrazu odpowiadali spokojnie i lakonicznie, że nie — z czasem, gdy codzienna interpelacja, i to zawsze w tej samej materii, wydała się nudną i trąciła myszką lub co gorsza bzikiem, kpili w żywe oczy lub w ogóle nie dawali żadnej odpowiedzi.

Dla Bytomskiego podobne zachowanie się nie było niespodzianką. Wszakże już dawniej przed wypadkiem pod Bieżawą usiłował przestrzegać w porę interesowanych — a przecież nikt mu nie wierzył. Raz tylko jeden niejaki Radłowski, kierownik Przełęczu, wziął sobie jego przestrożę do serca, zarządził na swej stacji odpowiednie środki prewencyjne i uniknął karambolu.

Wobec odpornego stanowiska kolegów postanowił Bytomski pozostawić ich swemu losowi.

— Ha — mrucał zniechęcony — umyвам ręce. Róbcie sobie, co chcecie. Miałem najlepsze intencje.

Za to tym gorliwiej utrzymywał nieprzerwany kontakt z kierownikami trzech stacji na prawo i lewo od Treczyna: S. Kaczmarem, asystentem z Polesia, i W. Węborskim, naczelnikiem w Gańczarach. Mając ich bliżej Treczyna niż innych, łatwiej mógł też wpływać na ich przekonania i urobić ich sobie na swoją modłę. W ciągu częstych konwersacji przez telefon lub aparat, jako też w czasie koleżeńskich wizyt w dni wolne od służby zdołał ich zupełnie przekonać o trafności swych poglądów na tzw. fałszywe alarmy. Odstraszaający przykład katastrofy pod Bieżawą z ostatnich czasów podziałał silnie na obu tych ludzi, czyniąc z nich powolne narzędzie w rękę starszego kolegi z Treczyna. Nareszcie zrozumieli, że tu chodzi o bezpieczeństwo powierzonych im stacji i całość własnej skóry. Toteż bez wytchnienia i z rzadką cierpliwością odpowiadali Bytomskiemu kilka, czasem kilkanaście razy na dzień, że w Polesiu i Gańczarach wszystko we wzorowym porządku i niezmaconej ciszy...

Tak minął miesiąc, dwa, trzy, upłynął rok jeden, drugi — o alarmach, katastrofach "ani słyhu, ani dychu": karambole jakby ostentacyjnie omijały rejon Bytomskiego.

— Przytailo się licho — tłumaczył czujny żuraw z Treczyna swemu asystentowi.

— Albo się nas przelęko, spostrzegłszy, żeśmy zwąchali pismo nosem — odpowiadał

asystent Żadurski, bezwzględny wyznawca teorii swego naczelnika.

Lecz Bytomski nie dowierzał i w niczym nie "popuszczał krygów". Jakoż wkrótce potem okazało się, że miał zupełną rację. Pewnego zimowego wieczora, jakoś na parę dni przed Nowym Rokiem, wpłynęła koło godz. 5 po południu telegraficzna depesza z Krotoszyna, większej węzłowej stacji na wschód od Tręczyna, z wiadomością, że osobowy nr 25, którego spodziewano się o godz. 5.15 przed wieczorem, spóźniony o 2 godziny. Bytomski potwierdził odbiór telegramu i zapalając fajeczkę, zauważył w stronę stojącego obok Żadurskiego:

— Zaczynają się znów te przeklęte spóźnienia. Pewnie gdzieś zawiąło przestrzeń.

— Niezawodnie — odpowiedział asystent — dzienniki wczorajsze donoszą o strasznych śnieżycach w powiecie stężyckim.

— Tak, tak — pokiwał smutno głową naczelnik, spoglądając na tor przez zamarznięte szyby.

W tej chwili zagrał aparat na drugim końcu stołu. Żadurski skrzywił się i z niechęcią zaczął odczytywać wysnuwający się z bloku pasek papieru.

Nagle zmarszczył się:

— Hm — szepnął z odcieniem niepokoju — mielibyśmy przed sobą to, na co tak długo czekamy?

Bytomski zerwał się na równe nogi.

— Co kolega mówisz?! Alarmują?! Kto?! Co?! Skąd? Pokaż pan!

— Dyrekcja z Podwyża — odpowiedział Żadurski, nagle dziwnie uspokojony — widocznie nic nie wiedzą o dwugodzinnym spóźnieniu nr. 25.

Naczelnik niemal niegrzecznie odsunął go od aparatu i sam pochylił się nad taśmą.

Telegram brzmiał:

"Puścić nr 25 wyjątkowo na boczny tor! Tor główny pozostawić wolny na przyjęcie nadzwyczajnego ekspres, który ma się skrzyżować z nr. 25 w Trenczynie o godz. 5.30. Gdyby nr 25 przyszedł pierwszy, zatrzymać go na bocznym torze aż do przybycia nadzwyczajnego! Sytuacja wyjątkowa! Bacność!"

Bytomski ze szczególnym uśmiechem podniósł głowę od stołu i spojrzał na zegar.

Była 5.15.

— To niby owo skrzyżowanie ma tu nastąpić za 15 minut? — zapytał z ironią w głosie asystenta.

— Niby tak, panie naczelniku. Cała ta jednak depesza wygląda dla nas przynajmniej na bezprzedmiotową wobec wiadomości otrzymanej przed 15 minutami z Krotoszyna. Osobowy nr 25 spóźniony o 2 godziny i nie nadejdzie tutaj przed 9.15.

— Oczywiście. Niepotrzebnie się o nas niepokoją. Swoją drogą, co za fantazja puszczać w taki psi czas pociągi nadzwyczajne!

— Pewnie znów jakaś misja polityczna lub "salonka" dla wygody któregoś z tych panów z góry.

— Hm, być może. W każdym razie mamy przed sobą typowy fałszywy alarm.

— Pan naczelnik nie każe zatem połączyć linii wjazdowej od strony Krotoszyna z bocznym torem?

— Niby po co? Czy dlatego, by puścić nań stosownie do życzeń panów z Podwyża osobowy nr 25 i "oczyścić" w ten sposób tor główny na przyjęcie dostojnego gościa? Ani mi się śni.

— Cóż to nam jednak szkodzi, panie naczelniku? — podtrzymywał nieśmiało propozycję Żadurski. — Proste przetrzucenie zwrotnicy i na tym koniec.

Bytomski popatrzył z wyrzutem na asystenta:

— Więc i ty Brutusie, przeciw mnie?! I pan stajesz po stronie tych niedowiarków? Wszakże sam przed chwilą uznałeś kolega tę głupią depeszę za "bezprzedmiotową"? Nie nam grozi w tej chwili niebezpieczeństwo!

— No tak, tak — bąknął czerwieniąc się Żadurski — oczywiście, pan naczelnik ma rację — chciałem tak na wszelki wypadek... Taka drobnostka... przestawienie zwrotnicy...

— Nie, panie kolego! W tym właśnie wypadku — to nie drobnostka; tu chodzi o zasadę,

rozumie pan? Po zestawieniu obu depesz z dwóch stron sobie wprost przeciwnych doszliśmy do wniosku, że zaalarmowano Trenczyn bezpodstawnie, innymi słowy, że alarm jest fałszywy. Jaki stąd wniosek?

— Że w rzeczywistości grozi niebezpieczeństwo karambolu trzeciej stacji od Trenczyna na lewo lub prawo — wyrecytował odpowiedź asystent jak uczeń dobrze wyuczoną lekcję.

— Doskonale. A zatem do dzieła! Trzeba natychmiast ostrzec stację w Polesiu i Gańczarach. Ja biorę na siebie Kaczmarskiego, kolega porozumiesz się telegraficznie z Węborskim, który zresztą zapewne już słyszał o nieproszonym gościu, bo depesza wysłana z Podwyża musiała przejść przez jego stację. Proszę puścić na druty to, co ja równocześnie będę mówił przez telefon.

Żadurski w milczeniu stanął przy stole z ręką na przyrządzie Morsego.

— Halo! — zabrzmiał po chwili głos naczelnika — Mówi Trenczyn — Bytomski. Otrzymaliśmy przed chwilą fałszywy alarm. Zalecam więc zdwojoną czujność. Oczyścić tor główny na wszelki wypadek! Należy spodziewać się nadejścia nadzwyczajnego — ekspres z Podwyża!

Tu przerwał i odwrócił się do asystenta:

— Dość. To, co dotąd powiedziałem, Gańczarom wystarczy. Proszę zamknąć depeszę.

Żadurski posłusznie odstał od aparatu.

— Halo! — kończył przestrożę w stronę Polesia Bytomski — Gdyby przypadkiem лихо nadniosło wcześniej na waszą stację spóźniony nr 25, puścić go na wszelki wypadek na tor boczny! Grozi wam poważne niebezpieczeństwo! Ostrzegam w czas. Bacność, kolego!

Zawiesił słuchawkę z powrotem i zerknął zadowolony na kolegę.

— No, panie Żadurski — kampania rozpoczęta, role rozdane. Zobaczmy, kto kogo weźmie. Dam ja ci fałszywy alarm! — pogroził pięścią w stronę niewidzialnego wroga.

Spojrzał ponownie na zegar stacyjny.

— 5.25 — odczytał z namysłem. — Pozostaje nam 5 minut do skrzyżowania — cha, cha, cha! Chyba do pokrzyżowania łajdackich szyków!...

Zaczęły bić sygnały na wjazd.

Żadurski wybiegł z biura ruchu. Naczelnik pokiwał za nim głową z politowaniem.

— Poszedł sprawdzić, skąd.

Po chwili asystent wrócił widocznie uspokojony.

— Z Podwyża — objaśniał z ulgą w głosie. — Za parę minut będziemy mieli tego nadzwyczajnego gościa.

— Niepotrzebnie się kolega wyrwał na peron — odpowiedział kwaśno Bytomski — skąd by też inąd mogły nadejść, jeśli nie z lewej? Od Krotoszyna przecież w tej chwili nie spodziewamy się żadnego pociągu, a spóźniony maruder spod nr. 25 przywlecze się może dopiero o pół do ósmej. Skrzyżują się zdrowo i szczęśliwie gdzieś na innej stacji.

Z oddali nadleciał donośny gwizd ekspresu.

— Jeden z nas musi wyjść na peron na spotkanie dostojnej osoby — zadrwił naczelnik. — Może mnie kolega wyręczy w tej niemilej roli. Proszę — oto czapka służbowa.

Żadurski wyszedł. Przez półzamarznątą szybę Bytomski obserwował jego ruchy; widział, jak otulony w urzędowy szynel stanął w służbowej pozycji przed torem głównym, jak ze zwróconą w stronę nadchodzącego pociągu głową mówił coś, gestykulując do jednego z funkcjonariuszy...

Wtem przypadł doń w pełnym biegu blokowy z prawego skrzydła stacji od strony Polesia i zaczął coś krzyczeć wśród rozpaczliwych gestów; równocześnie rozległy się zewsząd przeraźliwe gwizdy...

W Bytomskim krew ścięła się lodem.

— Co to ma znaczyć? — przemknęło pytanie.

W następnej sekundzie wypadł z lokalu i znalazł się na przestrzeni przed peronem, by tu ujrzeć jedyny w swej grozie obraz. Na stację wjeżdżały torem głównym ze stron przeciwnych dwa pociągi w pełnym biegu: ekspres z Podwyża i osobowy nr 25 z Krotoszyna; odległość dzieląca je jeszcze od siebie wynosiła najwyżej 60 metrów. Zderzenie było nieuchronne jak przeznaczenie.

Maszyniści, zorientowawszy się snadź dopiero w tej chwili, czynili rozpaczliwe wysiłki, by

przy pomocy hamulców powstrzymać rozhukane parowozy... Naiwni!...

Jakaś szczególna apatia ogarnęła nagle służbę stacyjną: stali bladzi, śmiesznie bezradni, z oczyma wlepionymi bezmyślnie w rozpętane maszyny. Asystent Żadurski z twarzą jak płótno wodził tylko ręką po czole i uśmiechał się jakoś dziwnie. Nikt ani myślał już o ratunku: okropny moment sparaliżował myśli, przykuł do miejsca wolę. Jakiś potężny tragizm szedł od tych niesamowitych w swym spokoju obserwatorów...

W ostatniej sekundzie spojrział Bytomski we wąski, zaledwie już parę metrów wynoszący rozstęp pomiędzy maszynami i ujrzał jeszcze po tamtej stronie nasypu kolejowego pędzącą rażno gościńcem parę sań z chłopskim weselem. Uśmiechnął się, wydobył coś z kieszeni płaszcza i przyłożył do skroni!... Huk strzału zlał się z piekielnym łomotem miażdżących się w tej chwili pociągów...



Demon Ruchu

Błyskawiczny "Continental" w drodze z Paryża do Madrytu pędził co sił w tłokach. Pora była już późna, śródnocna, czas słotny, deszczowy. Mokre bicze dżdżu chłostały oświetlone jasno szyby i rozbryzgiwały się na szkło w łzawe różańce kropel. Skąpane w ulewie kadłuby wagonów połyskiwały pod światło przydrożnych latarni niby wilgne pancerze, wyrzygiwały rynnami pluszczącą wodę. Od czarnych ich ciał szedł w przestrzeń głuchy postęk, zmieszany rozhovor kół, potracających się zderzaków, tratowanych bez litości szyn. Zapamiętały w obiegu łańcuch wozów budził w ciszy nocy uspięne echa, wywabiał zamarłe po lasach głosy, cucił drzemiące stawy. Podnosiły się jakieś ciężkie, sennie powieki, otwierały w przerażeniu jakieś duże oczy i trwały tak w lęku. A pociąg mknął dalej w wichurze wiatru, w tańcu jesiennym liści, wlokąc za sobą wydłużoną tuleję wirów wstrząśniętego powietrza, leniwo wieszających się na tyłach dymów, kopciui i sadzy, pędził dalej bez tchu, rzucając poza siebie krwawe wspomnienie iskier i węglowych odmiotów...

W jednym z przedziałów klasy pierwszej, wciśnięty w kąt między ścianą wozu a poduszką oparcia, drzemał mężczyzna przeszło czterdziestoletni, o silnej, herkulicznej niemal budowie ciała. Stłumione światło lampy, precedzające się z trudem przez zaciągnięty ciemnik, oświecało twarz starannie ogoloną, podłużną, z grymasem zaciętości wkoło wąskich ust.

Był sam; nikt nie przerywał sennego dumania. Ciszę zamkniętego wnętrza przekreślał chyba tylko stukot kół pod podłogą lub pełgotanie gazu w palniku. Czerwony kolor pluszowych poduszek rozpościerał wkoło duszny, parny ton, który działał nasennie jak narkoza. Miękki, ustępliwy pod palcami meszek materii ściszał odgłosy, głużył gruchot szyn, ugiął się posłuszną falą pod naciskiem ciężaru. Przedział zdawał się pogrążony w głębokim uspieniu; drzemały zasunięte na kółkach firanki, wahały się sennym ruchem zielone siatki, rozpięte pod powałą. Ukołysany miarowym ruchem wagonu podróżny przechylił znużoną głowę na wezglowie i śnił. Wypuszczona z rąk książka ześliznęła się z kolan i upadła na podłogę; na oprawce z delikatnej, ciemnoszafranowej skórki widniał tytuł: Wichrowate linie, obok wybite pieczęcią nazwisko właściciela: Tadeusz Szygoń...

W jakiejś chwili śpiący poruszył się niespokojnie, otworzył oczy i powiódł nimi po otoczeniu: na moment odbił się na twarzy wyraz zdumienia i wysiłek orientacji; podróżny jakby nie mógł zrozumieć, gdzie i dlaczego się tu znalazł. Lecz już zawitał na wargi uśmiech pobłażliwej rezygnacji; mocna, nerwista ręka podniosła się gestem nakazującym zaniechanie, kurczowy grymas ust przeszedł w znak zniechęcenia i lekceważącej pogardy. Zapadł z powrotem w stan półsenny...

Na korytarzu wagonu ozwały się czyjeś kroki; szarpnięte drzwi odsunęły się i do przedziału wszedł konduktor:

— Proszę o bilet.

Szygoń nie drgnął, nie dał znaku życia. Funkcjonariusz sądząc, że śpi, przystąpił i ujął go za ramię:

— Przepraszam pana — proszę o bilet. Podróżny spojrział błędnie na intruza:

— Bilet? — ziewnął niedbale. — Nie mam go jeszcze.

— Dlaczego pan nie kupił na stacji?

— Nie wiem.

— Zapłaci pan za to karę.

— Ka-arę? Tak — dorzucił sennie — zapłacę.

— Skąd pan jedzie? Z Paryża?

— Nie wiem. Konduktor oburzył się:

— Jak to nie wie pan? Łaskawy pan kpi sobie ze mnie. Któż ma wiedzieć?

— Mniejsza o to. Przypuśćmy, że wsiadłem w Paryżu.

— Dokąd mam zatem wystawić bilet?

— Jak najdalej.

Konduktor popatrzył uważnie na pasażera:

— Mogę panu dać bilet tylko do Madrytu; tam może pan przesiąść się w dowolnym kierunku.

— Wszystko jedno — machnął obojętnie ręką. — Byle tylko jechać.

— Bilet wręczę panu dopiero później. Muszę go w pierw wystawić i obliczyć cenę wraz z

karą.

— Dobrze, dobrze.

Uwagę Szygonia przykuły od chwili wyłogi kołnierza z odznakami kolejowymi: para strzępiastych skrzydełek, wplecionych w koło. Gdy konduktor uśmiechnięty ironicznie zabierał się już do wyjścia, nagle Szygoniowi wydało się, że twarz tę, wykrzywioną podobnym grymasem, już widział parę razy. Jakaś pasja poderwała go z miejsca i na odchodnym rzucił mu przestrożę:

— Panie skrzydlaty, uważaj na przeciąg!

— Proszę być spokojnym, zamykam drzwi.

— Uważaj pan na przeciąg — powtórzył uparcie — można czasem kark skrócić.

Funkcjonariusz był już na korytarzu:

— Wariat lub pijany — zauważył półgłosem i przeszedł do sąsiedniego wozu.

Szygoń pozostał sam...

Był w stadium jednej ze swych słynnych "ucieczek". Pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, znajdował się ten dziwny człowiek o kilkaset mil od rodzinnej Warszawy, gdzieś na drugim krańcu Europy, w Paryżu, w Londynie lub w jakiejś trzeciorzędnej mieścinie we Włoszech — budził się ku niezmiernemu swemu zdziwieniu w jakimś nieznanym hotelu, który oglądał po raz pierwszy w życiu. W jaki sposób dostawał się niespodzianie w obce sobie środowisko, nie umiał nigdy w takich razach wytłumaczyć. Wypytywana o to służba hotelowa mierzyła zwykle wysokiego jegomościa w żółtym płaszczu ciekawym, czasem ironicznym spojrzeniem i informowała go o rzeczywistym stanie rzeczy; oto przybył wczoraj wieczornym lub rannym pociągiem, zjadł kolację i zażądał pokoju. Raz jakiś dowcipny famulus zapytał go, czy też przypadkiem ma mu przypomnieć, pod jakim nazwiskiem zawitał. Złośliwe pytanie było zresztą całkiem uzasadnione: człowiek, który zapomniał, co się z nim działo dnia poprzedniego, może też nie wiedzieć, jak się nazywa. W każdym razie był w tych improwizowanych jazdach Tadeusza Szygonia pewien rys tajemniczy i nie wyjaśniony; ich bezcelowość, zupełna niepamięć zdarzeń ubiegłych, dziwna amnezja obejmująca wszystko, cokolwiek się stało od chwili wyjazdu aż do momentu przybycia w nieznaną stronę.

Nie ulega wątpliwości, że przez cały ciąg podróży musiał Szygoń znajdować się w stanie patologicznym, prawdopodobnie półświadomym, a stąd niezupełnie poczytalnym. Po powrocie z każdej takiej awanturkowej wyprawy wszystko szło znów normalnym trybem — odwiedzał, jak dawniej, gorliwie kasyno, zgrywał się w brydża i robił słynne swoje zakłady podczas wyścigów konnych. Wszystko było po dawnemu zwyczajne, codzienne i przeciętne...

Nagle pewnego poranku Szygoń zniknął i przepadał znowu bez śladu...

Przyczyna owych uciezek pozostała nie wyjaśnioną. Zdaniem niektórych źródła należało szukać w żywiole atawistycznym, tkwiącym w naturze oryginała; w żyłach Szygonia płynęła podobno krew cygańska. Odziedziczył, zdaje się, po bujnych swych, wędrownych przodkach tęsknotę wieczystej włóczędzy, głodną wrażeń żądzę królów gościńca. Jako objaw wypływający wprost z tego "nomadyzmu" przytaczano fakt, że Szygoń nigdy nie mógł wytrzymać dłużej na jednym miejscu, lecz ciągle zmieniał mieszkanie, przeprowadzając się z jednej dzielnicy w drugą. Jakiegokolwiek pobudki skłaniały dziwaka do romantycznych podróży bez określonego wyraźnie celu — on sam z pewnością nie pochwalał ich ex post po powrocie. W jakiś czas po tajemniczym zniknięciu wracał równie niespodzianie, zły, wyczerpany i ponury. Przez parę następnych dni zamykał się w domu unikając widocznie ludzi, przed którymi odczuwał wstyd i zakłopotanie.

Jakaś ciemna moc wyrывała go z domu, pędziła na dworzec, pchała do wagonu — jakiś nieprzewyciężony nakaz zmuszał do porzucenia nieraz wśród głębokiej nocy wygodnego posłania, wiódł jak skazańca przez labirynt ulic usuwając z drogi tysiące przeszkód, wsadzał do przedziału i wysyłał w szeroki świat. Następowala jazda przed siebie, po omacku, na chybił trafił, jakieś przystanki, przesiadania w nieokreślonym kierunku, a wreszcie postój w jakimś mieście, mieścinie lub wiosce, w jakimś kraju, pod jakimś niebem, nie wiadomo dlaczego tu właśnie, nie gdzie indziej — i wreszcie owo fatalne przebudzenie w obcej, cudzej okolicy... Szygoń nigdy nie przyjeżdżał na to samo miejsce: zawsze wyrzucił go pociąg gdzie indziej. Nigdy nie "budził się", to jest nie uświadamiał sobie bezcelowości tego, co czyni w czasie jazdy — pełnia władz psychicznych powracała dopiero po definitywnym opuszczeniu pociągu, i to zwykle po głębokim,

pochrzepiającym śnie w przydrożnym zajeździe lub gospodzie...

I w obecnej chwili był w stanie jakby zbliżonym do transu. Pociąg, który go wiozł, wyjechał wczoraj nad ranem z Paryża. Czy wsiadł doń w stolicy Francji, czy też na jakiej stacji po drodze — nie wiedział. Wyjechał skądś i zdążył dokądś — oto wszystko, co można było w tej sprawie powiedzieć...

Poprawił się na poduszkach, wyciągnął nogi przed siebie i zapalił cygaro. Miał uczucie niesmaku, niemal wstrętu. Podobnych wrażeń doznawał zawsze na widok konduktora lub w ogóle któregoś z kolejarzy. Ci ludzie stali się symbolem pewnych braków czy niedoborów, ucieleśnieniem niedoskonałości, jakie widział w stroju pociągu i ruchu kolejowym. Zdawał sobie aż nadto dokładnie sprawę, że gdyby nie ta smutna okoliczność, iż jest przykuty do ziemi i jej praw, wędrówki jego przybrałyby postać bez porównania bujniejszą i piękniejszą, porzucając utarty szablon i metodę.

A właśnie pociąg, kolej i jej funkcjonariusze uosabiali dlań tę ciasną formułę, to błędne koło bez wyjścia, z którego on, człowiek, biedny syn ziemi, na próżno by usiłował się wyłamać.

Dlatego pogardał tymi ludźmi, czasem nienawidził ich nawet. Ta niechęć wzrastała w miarę powtarzania się fantastycznych "ucieczek", których się wstydził nie tyle z powodu ich bezcelowości, ile raczej dlatego, że były zakrojone na tak nędzną skalę.

Podniecały to uczucie drobne zajścia i zatargi z władzami kolejowymi, nieuniknione ze względu na anormalny stan podróżnika. Na niektórych liniach służba zdawała się znać go już dobrze i nieraz podchwytywał w przelocie ironiczny uśmiech tragarza, konduktora lub urzędnika ruchu.

Funkcjonariusz obsługujący wóz, którym obecnie jechał, wydał mu się szczególnie znajomy. I już nieraz przesunęła mu się przed roztargnionymi, zapatrzonymi w przestrzeń oczyma ta chuderlawa, ospowata twarz, rozjaśniająca się drwiącym uśmieszkiem na jego widok. Tak mu się przynajmniej zdawało...

Zwłaszcza irytowały Szygonia kolejowe anonse, reklamy i mundury. Jakże śmiesznym był patos porozwieszanych po poczekalniach alegorii ruchu, jakże pretensjonalnym szeroki gest geniuszków pędu!

Lecz najkomiczniejsze wrażenie sprawiały owe skrzydlate koła na czapkach i wyłogach urzędników. To mi dopiero rozmach co się zowie! To mi fantazja!

Szygoniowi na widok tych odznak przychodziła nieraz szalona ochota zedrzyć je i zastąpić wizerunkiem psa kręcącego się za własnym ogonem...

Cygaro żarzyło się powoli, rozpylając po przedziale obłoczki sinawego dymu. Z wolna ujmujące je palce rozkurczały się leniwo i wonne trabuco potoczyło się pod kanapkę, pryskając rakieta drobnych iskier: palacz zadrzemał...

Puszczona świeżo w rury gorąca para zasepleniła cicho pod nogami i rozlała po coupé miłe, pokojowe ciepło. Jakiś komar spóźniony zanucił nikłą piosenkę, zatoczył parę nerwowych kręgów i skrył się w ciemny zaułek między wypuklinami pluszu. I znów tylko cichy pełgot palnika i miarowy łomot kół...

O jakiejś godzinie Szygoń przebudził się. Potarł czoło, zmienił senną pozycję i spojrzał przytomnie po wagonie. Ku niemiłemu zdumieniu zauważył, że nie jest sam: miał towarzysza podróży. Naprzeciw, rozpostarty wygodnie na poduszkach, siedział jakiś urzędnik kolejowy i ćmił papierosa, puszczając impertynencko dym w jego stronę. Spod rozpiętej lekceważąco bluzy służbowej wyglądała aksamitna kamizelka, zupełnie jak u pewnego naczelnika stacji, z którym Szygoń miał raz piekielną awanturę. Natomiast pod sztywnym kołnierzem z trzema gwiazdkami i parą skrzydlatych kółek owijała szyję czerwona jak krew chusta, zupełnie jak u bezczelnego konduktora, który drażnił go swym uśmieszkiem "Co u licha?! — pomyślał przypatrując się uważnie fizjonomii intruza. — Ależ to jest najwyraźniej obmierzła twarz konduktora! Te same zapadłe policzki głodomora, te same ślady po przebytej ospie. Ale skąd znów ta ranga i mundur naczelnika?"

Tymczasem "intruz" znać zauważył zainteresowanie Współpasażera; wypuścił trąbkę dymu i strzepując lekko popiół z rękawa, przyłożył rękę do daszka czapki i pozdrowił ze słodziutkim

uśmiechem:

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór — odpowiedział sucho.

— Łaskawy pan z daleka?

— Nie jestem w tej chwili nastrojony towarzysko. W ogóle lubię podróżować w milczeniu.

Dlatego zwykle obieram samotny przedział i płacę za to gruby napiwek.

Nie zrażony szorstką odprawą kolejarz uśmiechnął się błogo i ciągnął dalej z niewzruszonym spokojem:

— Nic nie szkodzi. Powoli nabierze łaskawy pan rozmachu. Kwestia wprawy i nawyku. Samotność, wiadomo, jest złym towarzyszem. Człowiek jest bydlęciem społecznym — zoon politikon — czyż nieprawda?

— Jeśli pan zalicza się dobrowolnie do kategorii bydlątek — nie mam osobiście nic przeciwko temu. Ja jestem tylko człowiekiem.

— All right! — zaopiniował urzędnik. — A widzi łaskawy pan, jak mu się język rozwiązał. Nie jest tak źle, jak by się na pozór zdawało. Owszem, posiada pan duży talent konwersacyjny, zwłaszcza w kierunku parowania pytań. Pomału wyrobimy się. No, no — pójdzie jakoś, pójdzie... — dorzucił protekcyjnie.

Szygoń zmrużył podejrzliwie oczy i poprzez szpary między powiekami studiował natręta.

— O ile się nie mylę, jesteście starzy znajomi. Widywaliśmy się już parę razy w życiu — po chwili milczenia nawiązał rozmowę niez mordowany kolejarz.

Opór Szygonia powoli topniał. Bezcelność tego człowieka, który pozwalał się znieważać bezkarnie bez powodu, rozbrajała. Zrodziła się ciekawość poznania, z kim się właściwie miało do czynienia.

— Możliwe — odchrząknął. — Tylko zdaje mi się, nosił pan do niedawna jeszcze inny mundur.

W postaci kolejarza zaszła w tej chwili zagadkowa metamorfoza. Momentalnie zniknęła gdzieś urzędnicza bluza ze świecącymi złotym szychem gwiazdkami, zniknęła czerwona czapka ruchu i zamiast uprzejmie uśmiechniętego "naczelnika" siedział naprzeciw zgarbiony, wymięty i szydery konduktor wagonu w wytartym płaszczu, z nieodstępnym bukietem latarki przypiętym do piersi.

Szygoń przetarł oczy, mimo woli czyniąc gest odpychający:

— Przemienienie Pańskie? Tfy! Czary czy diasek?! Lecz już pochylał się ku niemu z przeciwnej strony uprzejmy "naczelnik", zbrojny we wszystkie oznaki swego urzędu.

Konduktor wśliznął się gdzieś bez śladu pod mundur przełożonego

— Ach, tak — mówił swobodnie, jak gdyby nigdy nic — awansowałem.

— Gratuluję — bąknął Szygoń wpatrzony osłupiałym wzrokiem w transformistę.

— Tak, tak — gawędził tamten — tam "w górze" umieją cenić energię i sprężystość.

Poznali się na człowieku: zostałem naczelnikiem. Kolejka, panie łaskawy, wielka rzecz. Warto służyć i wyładowywać siłę. Czynniki cywilizacyjny! Lotna pośredniczka narodów, wymiany kultur! Pęd, panie kochany, pęd i ruch!

Szygoń wyduł pogardliwie wargi.

— Pan naczelnik — podkreślił z przekąsem — żartuje. Co za ruch? W dzisiejszych warunkach, przy udoskonalonej technice, bierze pierwszorzędny parowóz, tak zwany Express-Pacifique w Ameryce, dwieście kilometrów na godzinę; — przyjmijmy z biegiem czasu, w miarę dalszych postępów, dwieście pięćdziesiąt kilometrów, choćby trzysta kilometrów — cóż stąd? Patrzymy na efekt końcowy; mimo wszystko nie wychylamy się ani na milimetr poza obręb ziemi.

Naczelnik uśmiechał się nie przekonany:

— Czegóż pan chce więcej? Piękna chyżość! Dwieście kilometrów na godzinę! Niech żyje kolej!

— Pan oszalał? — zapytał wściekły już Szygoń.

— Bynajmniej. Wzniosłem tylko okrzyk na cześć naszej skrzydlatej patronki. Cóż łaskawy pan może jej przeciwstawić?

— Choćbyście osiągnęli rekord czterystu kilometrów na godzinę — czym to wszystko wobec wielkiego ruchu?

— Ile? — intruz nastawił uszu.

— Niedobrze zrozumiałem. Wielki ruch?

— Czym są wasze jazdy choćby z największą przypuszczalnie chyżością, choćby na najdalej rozpiętych liniach wobec wielkiego ruchu i wobec faktu, że ostatecznie mimo wszystko zostajecie na ziemi. Choćbyście wynaleźli pociąg piekielny, który by w jednej godzinie objechał całą kulę ziemską, ostatecznie wrócicie do punktu, z którego wyjechał: jesteście przykuci do ziemi.

— Che, che! — szydził kolejarz — kochany pan zapewne poeta. Wolne żarty.

— W czym wpłynie choćby zawrotna, bajeczna chyżość ziemskiego pociągu na wielki ruch i na jego efekt?

— Che, che, che! — beczał rozbawiony naczelnik.

— W niczym! — krzyknął Szygoń. — Ani o cal nie zmieni jego wielkiej drogi, ani na milimetr nie przesunie jego kosmicznych szlaków. Jedziemy na toczącej się w przestrzeni kuli.

— Jak mucha na gumowym baloniku. Che, che, che! Co za myśli, co za koncepty! Z kochanego pana pierwszorzędnego causeur humorysta.

— Pański nędzny pociąg, pańska mrówcza, chuderlawa kolej w swym największym, najśmielszym, jak się panu podobało nazwać, "pędzie" podlega — uważa pan — wyraźnie podkreślam — dosłownie "podlega" równocześnie dwudziestu blisko najrozmaitszym ruchom, z których każdy w swym efekcie jest bez porównania silniejszy, bezwzględnie mocniejszy od jej miniaturowego rozmachu.

— Hm... zajmujące, arcyciekawe! — drwił nieubłagany przeciwnik. — Dwadzieścia blisko ruchów! Pi, pi — pokaźna liczba.

— Pomijam już uboczne, o których się zapewne żadnemu kolejarzowi nie śniło, a przypomnę zasadnicze, podstawowe, znane każdemu uczniakowi. — Pociąg pędzący z największą furią z A do B musi równocześnie z ziemią odbyć pełny ruch obrotowy z zachodu na wschód około jej osi w przeciągu jednej doby...

— Che, che, che! Nowiny, nowiny...

— Równocześnie wiruje wraz z całym globem dookoła słońca...

— Jak ćma dookoła lampy...

— Oszczędź mi pan swych dowcipów! Nieciekawe. Lecz na tym nie koniec. Wraz z ziemią i słońcem dąży po linii eliptycznej ku jakiemś nieznanemu punktowi w przestworzach, znajdującemu się w stronie konstelacji Herkulesa względnie Centaura.

— Filologia na usługach astronomii. Parbleu! Tęgo!

— Głupiś, mój kochany! Przejdźmy do ruchów ubocznych. Słyszałeś coś kiedyś o ruchu precesyjnym ziemi?

— Może i słyszałem. Lecz cóż nas to wszystko obchodzi? Niech żyje ruch kolejowy!

Szygoń wpadł w pasję. Podniósł ciężką swą jak młot rękę i spuścił gwałtownie na głowę kpiarza. Lecz ramię przecięło tylko powietrze: intruz znikł gdzieś jak kamfora; miejsce naprzeciw nagle opustoszało.

— Che, che, che! — zarechotało coś w drugim kącie przedziału.

Szygoń odwrócił się i spostrzegł "naczelnika" siedzącego w kucki między oparciem a siatką; skurczył się jakoś ogromnie i wyglądał na karzełka.

— Che, che, che! A co? Będziemy grzeczni na przyszłość? Chcesz ze mną dalej gadać, to zachowuj się przyzwoicie. Inaczej nie zleżę. Pięść, mój kochany, to za ordynarny argument.

— Dla tępych osobników jedyny; innymi nie przekonasz.

— Słuchałem — cedził tamten wracając na dawne miejsce — słuchałem cierpliwie przez kwadrans z górą pańskich utopijnych wywodów; posłuchajże teraz trochę i mnie.

— Utopijnych?! — zawarczał Szygoń. — Wymienione przeze mnie ruchy są więc fikcją?

— Nie zaprzeczam ich istnieniu. Lecz cóż mnie one obchodzić mogą? Liczę się tylko z chyżością mojego pociągu. Dla mnie miarodajnym jest tylko ruch parowozu. Co mnie to może obchodzić, o jaki kawałek naprzód posunąłem się równocześnie w przestworzach

międzygwiazdnych? Należy być praktycznym: jestem pozytywistą, mój panie.

— Argumentacja godna stołowej nogi. Musisz mieć sen zdrowy, panie naczelniku?

— Dziękuję, owszem. Pan Bóg łaskaw — sypiam jak suseł.

— Naturalnie. Łatwo było się domyślić. Takich jak ty nie dręczy demon ruchu.

— Che, che, che! Demon ruchu! Otóż i wpadliśmy w sedno sprawy! Potrąciłeś o mój rentowny pomysł — właściwie, prawdę mówiąc — nie mój, tylko zamówiony przeze mnie u pewnego malarza dla naszej stacji.

— Rentowny pomysł? Zamówiony? No tak, chodzi o świeżo wydany prospekt na parę świeżo zbudowanych odnóg kolejowych, tak zwanych Vergnügungsbahnlinien. Uważasz — rodzaj reklamy czy anonsu, który by zachęcił publikę do używania tych nowych dróg komunikacyjnych. Otóż potrzebna była jakaś winieta, jakiś bohomasz, niby alegoria, niby symbol.

— Ruchu?! — Szygoń pobladł.

— Właśnie. Owóz wspomniany pan wymalował bajeczną figurę — imponujący symbol, który w mig rozchwytały mi poczekalnie wszystkich stacji nie tylko w kraju, lecz i za granicą. A że postarałem się o patent i prawa niby autorskie zastrzegłem sobie z góry, więc zarobiło się nieźle.

Szygoń dźwignął się z poduszek i wyprostował w całej swej imponującej wysokości.

— A w jakąż postać, jeśli wolno wiedzieć, przyoblekliście wasz symbol? — zasyczał zdławionym, nie swoim głosem.

— Che, che, che! W postać geniusza ruchu. Olbrzymi, śniady młodzieniec, ważący się na kruczych, potwornie rozpiętych skrzydłach, opasany wirami kręcących się w opętańczym tańcu światów — demon międzyplanetarnej wichury, śródgwiezdnej zamieci księżyców, cudnej, obłąkańczej gonitwy komet...

— Łzesz! — ryknął rzucając się ku niemu Szygoń. — Łzesz jak pies.

"Naczelnik" zwinął się w trąbkę, zdrobnił jakoś, zmałał i wsiąknął w dziurkę od klucza. Lecz niemal w tejże chwili odsunęły się drzwi przedziału i znikający natręt zlał się z postacią konduktora, który ukazał się w progu. Funkcjonariusz zmierzył złośliwym spojrzeniem wzburzonego pasażera i podał mu bilet:

— Proszę, bilet już gotowy; cena wraz z karą dwieście franków.

Lecz uśmiech przyniósł mu zgubę. Zanim zdołał zorientować się, jakieś ramię mocne jak przeznaczenie chwyciło go za pierś i wciągnęło do wnętrza. Rozległ się rozpaczliwy krzyk o pomoc, potem trzask kruszonej kości i zapadła głucha cisza.

Po chwili duży cień przesunął się po oknach samotnego korytarza — przemknął między ścianą wozu a przedziałami i zniknął u wylotu wagonu. Ktoś otworzył drzwi na platformę i szarpnął sygnał alarmowy. Pociąg zaczął raptownie zwalniać...

Ciemna postać zbiegła po schodach, pochyliła się w kierunku ruchu i jednym susem runęła między modrzejące w świetle brzasku przydrożne zarośla...

Pociąg stanął. Zaniepokojona służba długo szukała sprawcy alarmu; nie wiedziano, z którego wagonu wyszedł sygnał. Wreszcie konduktorzy zauważyli brak jednego z kolegów. — Wóz nr 532! — Wpadli na korytarz, zaczęli przeszukiwać klasy. Zastali puste. Na koniec w przedziale pierwszym na kraju znaleźli zwłoki nieszczęśliwej ofiary. Jakaś tytaniczna siła wykręciła mu głowę w tak piekielny sposób, że oczyma wyszły z orbit spoglądał na własne plecy. W świątym białkach zagrało poranne słońce okrutnym uśmiechem...



Maszynista Grot

Z urzędu ruchu stacji Brzana nadeszła do naczelnika Podwyża depesza następującej treści:
— Baczość na pospieszny nr 10! Maszynista pijany lub niepoczytalny.

Urzędnik, wysoki kościsty blondyn z rudawymi baczkami, odczytał rulon raz i drugi, odciął wąską białą taśmę, wysnutą z bloku i zwinąwszy w pierścień dookoła palca, wsunął do kieszeni. Krótkie spojrzenie rzucone na zegar stacyjny pouczyło go, że na sygnalizowany pociąg jeszcze dość czasu. Ziewnął więc znudzony, zapalił niedbałym ruchem papierosa i przeszedł do sąsiedniego pokoju kasjerki, jasnowłosej, przysadzistej panny Feli, przygodnego ideału w chwilach nudy i oczekiwań na lepszy kąsek. Podczas gdy pan naczelnik tak godnie przygotowywał się na przyjęcie zapowiedzianego parowozu, podejrzany pociąg ujechał już spory kawał drogi poza stację Brzana.

Pora była przecudna. Gorące, czerwcowe słońce przeszło już zenit i rozlewało po świecie złotą siejbę promieni. Migwały w przelocie ukwiecone jabłonią i czereśnią wsie i przysiółki, rzucały

się wstecz zielonymi płachtami łąki i sianożęcia. Pociąg pędził całą siłą pary: tu go chwycił w szumiące chwiejbą sosen i świerków ramiona las, tam wynurzone z objęć drzew witały przetowłosym pokłonem zbożne pola. Daleko na horyzoncie siniała mglistą wstęgą linia gór...

Grot oparty o skrzydło maszyny wbił poprzez owalne okienko nieruchome spojrzenie w przestrzeń, która snuła się długim, szarym traktem ujętym w czarne pasy szyn. Pociąg wślizgiwał się na nie lekko, drapieźnie okraczał żelaznym układem kół i zgarniał skwapliwie pod siebie.

Maszynista czuł niemal fizyczną rozkosz tego ciągłego zdobywania, co nigdy niesyte wypuszcza lekceważąco dopadnięty już łup i mknie dalej na nowe podboje. Grot lubił pokonywać przestrzeń!...

Bywało, zapatrzy się we wstęgę toru, zaduma, zamyśli, o świecie bożym zapomni, aż go palacz za ramię szarpnąć musi i ostrzec, że ciśnienie za wielkie lub stacja już blisko. Zapamiętałcem bo był maszynista Grot nie lada!

Zawód swój kochał ponad wszystko i nie zmieniłby go za nic w świecie. Wstąpił do służby stosunkowo dość późno, bo dopiero w trzydziestym roku życia, lecz mimo to od razu okazał tak pewną rękę w prowadzeniu parowozów, że prześcignął wkrótce starszych kolegów.

Czym był przedtem, nie wiadano. Wypytywany, odpowiadał niechętnie ni to, ni owo lub milczał uporczywie.

Towarzysze i władze otaczały go widocznym szacunkiem, wyróżniając wśród innych. W słowach jego krótkich, skąpo rozdzielanych między ludzi, przebijała inteligencja niepowszednia, cześć nakazująca.

Chodziły o nim i jego przeszłości pogłoski przeróżne, często wzajem sprzeczne, lecz na dnie wszystkich spoczywało zgodne przekonanie, że Krzysztof Grot był jednostką tzw. zwichniętą, czymś w rodzaju spadłej gwiazdy, jednym z tych, którzy mieli pójść górnym szlakiem, a dzięki fatalizmowi życia osiedli na mieliźnie.

On sam jednak jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia i nie ubolewał nad sobą. Służbę pełnił chętnie i nie zabiegał o urlopy. Czy zapomniał o tym, co minęło, czy nie czuł się nigdy powołanym do wyższych celów — nie wiadomo.

Z przeszłości Grota zdołano wyłonić i ustalić tylko dwa fakty: jeden ten, że służył w wojsku podczas kampanii francusko-pruskiej, drugi, że wtedy stracił ukochanego brata.

Bliższych szczegółów mimo wszelkich wysiłków ciekawców wydobyć zeń nikt nie potrafił. W końcu dano za wygraną, zadowolając się skąpą wiązką biograficznych danych "inżyniera Grota". Tak bowiem bez określonej przyczyny nazwali z czasem kolejarze małomównego towarzysza. Przewzisko to, nadane mu zresztą wcale nie w złośliwej intencji, zrosło się jakoś tak dokładnie z osobą maszynisty, że nawet władze tolerowały je w rozkazach i rozporządzeniach. W ten sposób chcieli ludzie zaznaczyć jego odrębność...

Maszyna pracowała ciężko, oddychając co chwila kłębami kłacastego, zmierzwionego dymu. Podsycana wciąż gorliwą ręką palacza para rozlewała się piszczelami rur po kośćcu żelaznego olbrzyma, popychała suwak, parła o tłoki, pędziła koła. Gruchotały szyny, skrzypiały, przerzucały się z trzaskiem dźwignie i heble rewersujące...

Na chwilę Grot ocknął się z zadumy i spojrzął na manometr. Wskazówka, zakreśliwszy łuk, zbliżała się ku fatalnej trzynastce.

— Puść pan parę!

Palacz wyciągnął rękę i szarpnął wentyl; rozległ się przeciągły, dojmujący gwizd, a równocześnie z boku maszyny wykwitła cieniutka mlecznobiała tulejka.

Grot skrzyżował ramiona na piersiach i zapadł powtórnie w marzenia.

— "Inżynier Grot" — cha, cha! Nader trafny przydomek! Ludzie nawet nie przypuszczają, jak bardzo trafny!...

Maszynista ujrzał nagle gdzieś w dalekiej mglistej perspektywie lat ubiegłych cichy, skromny domek na przedmieściu stolicy. W jasnej środkowej izbie duży stół, zarzucony stosem planów, dziwacznych rysunków, technicznych szkiców. Nad jednym pochylona płowa główka Olesia, młodszego brata. Obok stoi on, Krzysztof, i wodzi palcem wzdłuż szafirowej linii okrążającej eliptycznym zgięciem jakąś płaszczyznę. Oles przytakuje, coś poprawia, tłumaczy... To

ich pracownia — to tajemnicze wnętrze, z którego wylał się śmiały pomysł latawca, który swobodnie bujając po przestworzach, miał podbić atmosferę, poszerzyć myśl ludzką i ponieść ją w zaświaty, w nieskończoność... Niewiele już brakowało do ukończenia dzieła: miesiąc, dwa, trzy najwyżej. Wtem przyszła wojna, branka, pochód, bitwa i... śmierć.

Pamięta ten moment jedyny, okropny moment wdzierania się na szczyt "czerwonego fortu". Olek pomknął bohatersko naprzód, widny z dala na czole oddziału. Już wyciągnięta jego szabla muskała brzeszczotem skraw barwnego proporca, już męska ręka ujmowała zwycięskim chwytem jego drzewce... Wtem błysnęło coś z bastionu, kurzawa dymu bluznęła z fortecznych wyziorów, piekielny huk rozkołysał blanki... Oleś zachwiał się, zawahał pod migotliwą tęczą wypuszczonego pałasza i runął w dół — na progu bojowych zamierzeń, w samym momencie żołnierskich ziszczeń, w chwili docierania do celu...

Śmierć tę odchorował Krzysztof: długie miesiące przeleżał w malignie w polowym lazarecie. Potem — wrócił do codziennego życia na pół złamany. Zarzucił dawne pomysły, świątoburcze idee, zdobywcze plany: został maszynistą. Odczuwał kompromis, rozumiał karykaturę myśli, lecz nie miał już siły; poprzestał na miniaturze. Wkrótce surogat zastąpił zupełnie pierwotny ideał, przesłonił swą ciasną, szarą ramą szerokie niegdyś horyzonty: zdobywał przestrzeń na nową, małą skalę. Lecz wyprosił u władz jazdę wyłącznie pospieszną — pociągów zwyczajnych nigdy nie prowadził. Tym sposobem, zyskując na terenie, zbliżał się choć w części do pierwowzoru. Upajał się szaloną jazdą na szeroko rozpiętych Uniach, odurzał pokonywaniem w krótkim czasie znacznych odległości.

Nie znosił tylko dróg powrotnych, nie cierpiał rekordów tzw. tour-retour. Grot lubił pędzić tylko przed siebie — brzydził się wszelkimi powtórzeniami. Dlatego wołał wracać do nieubłaganego punktu wyjścia drogą okrężną, linią kołistą lub elipsą, byle nie bezwzględnie tą samą; dostrzegał wybornie niedoskonałość tych krzywizn, które w siebie wracają, czuł nieetyczność tych dróg, bądź co bądź wsobnych, lecz ocalał choć pozór ruchu postępowego, miał przynajmniej złudzenie, że dąży przed siebie.

Grot nie cierpiał jakiegokolwiek mety. Od czasu tragicznej śmierci brata wytworzył się szczególny uraz psychiczny, objawiający się w lęku przed wszelkim celem, przed wszelkim dowolnego rodzaju końcem, kresem. Ukochał całą mocą wieczystość dążenia, znojność zasięgów, zniecierpliwienie realizacją dopięć, drżał przed momentem spełnienia z obawy, by w owej ostatniej, rozstrzygającej chwili nie zaskoczył go zawód, nie pękła napięta struna, by nie stoczyć się w przepaść, jak wtedy — jak Oleś przed laty...

Stąd maszynista odczuwał żywiołowy lęk przed stacją i przystankami. Miał ich wprowadzić na swoich przestrzeniach niedużo, lecz zawsze były i pociąg należało od czasu do czasu zatrzymać.

Stacja stała się dlań z czasem symbolem zniecierpliwionego końca, plastycznym urzeczywistnieniem wytkniętych celów wędrówki, ową przeklętą metą, przed którą zdejmował go wstręt i trwoga.

Idealna linia drogi rozpadała się na szereg odcinków, z których każdy był zamkniętą całością od punktu wyjścia do punktu przybycia. Powstawało rozczarowujące ograniczenie, ciasne, nad wyraz banalne: stąd — dotąd.

A ratunku na razie nie widział nigdzie: z natury rzeczy pociąg musiał co jakiś czas zawijać do obmierzłych przystani.

I gdy już na widnokręgu wynurzały się kontury zabudowań stacyjnych, rysowały czerwonym lub żółtym ekranem rozpięcia ścian, opadał go nieopisany lęk i obrzydzenie; podniesiona ku korbie ręka mimo woli cofała się i musiał używać całej siły woli, by stacji nie minąć.

W końcu, gdy sprzeciw wewnętrzny wzrósł do niebywałego napięcia, wpadł na szczęśliwy pomysł. Postanowił wprowadzić pewną dowolność w zakresie mety przez uruchomienie jej punktów granicznych. Dzięki temu pojęcie stacji, tracąc dużo z wyrazistości, stawało się czymś ogólnikowym, czymś tylko z lekka naszkicowanym i nader elastycznym. Owa przesuwalność granic użyczała pewnej swobody ruchów, nie krępowała bezwzględnie kagańcem hamulca. Punkty

postojowe, nabrawszy charakteru płynności, przetworzyły nazwę stacji w termin nieokreślony, sobiepański, niemal fikcyjny, z którym nie trzeba się było już tak liczyć; słowem stacja w tak szeroko pojętym znaczeniu, poddana dowolnej interpretacji maszynisty, była teraz mniej groźną, chociaż mimo to wstrętną.

Chodziło więc przede wszystkim o to, by nigdy nie zatrzymywać pociągu w miejscu oznaczonym przez przepis, lecz zawsze wychylać się o jakiś kawałek za lub przed.

Grot postępował zrazu bardzo ostrożnie, by nie budzić podejrzeń urzędników; odchylenia były początkowo tak nieznaczne, że nie zwracały uwagi. Chcąc jednak wzmocnić w sobie poczucie dowolności, wprowadził maszynista pewne urozmaicenie: raz stawał za wcześniej, drugi raz za późno — drgnienia wahały się to w jedną, to w drugą stronę.

Lecz z czasem ta ostrożność zaczęła go drażnić; swoboda wydawała się pozorną, iluzoryczną, czymś w rodzaju samooszukiwania się; nie zamącony zdziwieniem spokój rozlany na twarzach kierowników stacji irytował, budząc ducha przekory i buntu. Grot rozzuchwiał się: wychylenia stawały się z dniem każdym silniejsze, diapazon rósł, wzmagał się.

Już wczoraj naczelnik ruchu w Smągłowie, szpakowaty, z wiecznie przymrużonymi jak u starego lisa oczkami jegomość, dziwnie zezował w stronę pociągu zatrzymanego spory kawał przed stacją. Grotowi zdawało się nawet, że coś mruczał, wskazując ręką w jego stronę.

Lecz jakoś uszło na sucho.

Maszynista zacierał ręce i cieszył się:

— Przecież zauważyli!

Wyjeżdżając dziś nad ranem z Wrotycza, postanowił podwoić stawkę.

Ciekaw jestem — pomyślał puszczając kurki w ruch — w jakim też stosunku wzrośnie irytacja tych panów? Przypuszczać by należało, że do kwadratu odległości.

Jakoż domysł nie zawiódł. Cała dzisiejsza tura miała być nieprzerwanym pasmem awantur.

Zaczęło się w Zaszumiu, pierwszej większej przystani na linii, którą zamierzał przebyć. Uśmiechając się złośliwie pod wąsem, zatrzymał pociąg kilometr przed stacją. Oparłszy się o parapet maszyny, zapalił Grot fajeczkę i pykając z niej powoli, przypatrywał się z zajęciem zdumionym minom konduktorów i kierownika pociągu, który nie umiał wytłumaczyć sobie postępowania maszynisty. Kilku pasażerów wychyliło strwożone głowy i rozglądało się na prawo i lewo, zapewne przypuszczając jakąś przeszkodę w ruchu. Nadbiegł wreszcie i urzędnik stacyjny, zapytując o powód:

— Czemu pan nie zajeżdżasz przed peron? Przeszkody żadnej nie sygnalizowano, wszystko w porządku.

Grot wypuścił spokojnie duży, zwarty kłąb dymu i nie wyjmując fajki z ust, wycedził flegmatycznie przez zęby:

— Hm... tak? A mnie zdawało się, że zwrotnica źle nastawiona. Nie opłaci się już podjeżdżać ten kawałeczek: moja staruszka trochę się zadyszała.

Tu uderzył pieszczotliwie w bęben kotła.

— Zresztą goście i tak już sami wysiadają — niech pan naczelnik popatrzy — o, jeden, dwóch, tam cała rodzina.

Istotnie: zniecierpliwieni czekaniem pasażerowie zaczęli opuszczać wagony i piechotą, uginając się pod ciężarem tobołów i pakunków, zdążali ku stacji. Grot przeprowadzał ich ironicznym spojrzeniem i ani myślał zmieniać taktyki.

Urzędnik lekko zmarszczył się i dając za wygraną, upomniał na odchodnym:

— Na przyszłość wyteżaj pan lepiej oczy! Maszynista zbył uwagę pogardliwym milczeniem. W parę minut potem pociąg poszybował w dalszą drogę.

Na najbliższym z kolei przystanku Brzana powtórzyła się niemal identyczna historia z tą tylko odmianą, że tym razem spodobało się Grotowi zatrzymać pociąg kilometr poza stacją. I tu postawił maszynista na swoim i nie cofnął się przed peron. Zauważył jednak, jak przed ruszeniem w dalszą drogę kierownik pociągu szeptał coś żywo przez parę minut z naczelnikiem; z wyrazu oczu i gestów Grot poznał, że on był przedmiotem rozmowy, lecz udał, że tego nie dostrzega. Ubawił go tylko znamieny półkolisty ruch zakreślony palcem na czole przez urzędnika w

czerwonej czapce. Wkrótce potem pędził znów pełną parą ani nie przypuszczając, że aparat telegraficzny puszczoney w ruch w Brzanie zwrócił nań uwagę władz stacyjnych Podwyża.

A już był od miasta niedaleko. Już przekreślały podwieczorne niebo złociste krzyże kościołów, mijały się nad morzem dachów przeguby dymów, strzelały ostro iglice fabryk. Już krzyżowała się w dali sieć szyn, czerniał las zwrotnic.

Grot ujął krzepko korbę, nastawił dźwignię, zakręcił hamulec; maszyna wydała żalostną skargę niby jęk, niby świst, wypłuła potężną siklawę pary i osadziła się na miejscu: pociąg stanął dobre półtora kilometra przed stacją.

Grot odjął ręce od kurków i studiował efekt. Nie zawiódł oczekiwania. Uprzedzony już naczelnik wysłał w roli parlamentariusza niższego kolegę.

Młody człowiek miał minę surową, niemal skupioną.

Wyprostował się, naciągnął sztywnie służbową bluzę i wstąpił uroczyście na platformę maszyny.

— Zajeżdżaj pan na stację!

Grot milcząco zawinął korbę, puścił w ruch heble: pociąg ruszył.

Dumny z odniesionego tryumfu asystent skrzyżował po napoleońsku ramiona i odwrócony lekceważąco od maszynisty i kotła, zapalił papierosa.

Lecz sukces był tylko pozorny. Bo oto pociąg przeleciał z szumem mimo peronu i zamiast zatrzymać się przed stacją, ujechał znaczny kawał poza nią, by tam dopiero przystanąć na odpoczynek.

Urządник zrazu nie zorientował się; dopiero spostrzegłszy na lewo poza sobą budynek stacyjny, rzucił się groźnie ku maszyniście:

— Czyś pan zwariował? Zatrzymywać pociąg w czystym polu! Albo masz pan bzika, albo piłeś dziś za dużo! Proszę natychmiast zawracać!

Grot ani drgnął, nie ruszył się z miejsca. Wtedy urzędnik odsunął go gwałtownie od kotła i zajmąwszy jego stanowisko, puścił kontrparę; po chwili pociąg dysząc zajechał przed peron.

Grot nie przeszkadzał. Jakaś szczególna apatia obezwładniła mu ruchy, spętała ręce. Patrzył tępo na twarze służby, funkcjonariuszy i urzędników, którzy gromadnie otoczyli jego maszynę; bezwolnie dał się ściągnąć z platformy, jak automat poszedł za wzywającym go za sobą naczelnikiem.

Po paru minutach znalazł się w biurze stacyjnym przed dużym, zielonym suknem zasłanym stołem, na którym kłapały bezustannie w nerwowych podrzutach aparaty, wysnuwały się z bloków długie taśmy, trzepotały dzwonki.

Kierownik stacji poddał go przesłuchaniu. Siedzący obok protokolant umoczył pióro i w natchnieniu czyhał na pytania, które miały paść z ust zwierzchnika.

Jakoż padły.

— Pańskie nazwisko?

— Krzysztof Grot.

— Wiek?

— Trzydzieści dwa lata.

— Kiedy pan wyjechał z Wrotycza?

— Dziś o 4.54 nad ranem.

— Czy oglądał pan maszynę przed objęciem pociągu?

— Oglądałem.

— Czy pamięta pan serię i numer maszyny?

Po twarzy Grota przemknął dziwny uśmiech.

— Pamiętam. Seria: zero, numer: nieskończoność.

Urządник spojrział porozumiewawczo na zapisującego zeznania kolegę.

— Proszę liczby podane w tej chwili przez pana napisać na tej kartce.

Tu naczelnik podsunął mu pod rękę ćwiartkę papieru i ołówek.

Grot wzruszył ramionami:

— A owszem.

I skreślił w odstępach następujące dwa znaki: 0 ∞. Naczelnik spojrział na liczby, pokiwał głową i prowadził w dalszym ciągu indagację:

— Liczba jaszczyka?

— Nie pamiętam.

— To źle, bardzo źle. Maszynista powinien wiedzieć takie rzeczy — zaopiniował sentencjonalnie.

— Jak się nazywa pański palacz? — zapytał po małej przerwie.

— Błażej Niedorost.

— Imię zgadza się, nazwisko błędne.

— Powiedziałem prawdę.

— Mylisz się pan, nazywa się Błażej Smutny. Grot machnął obojętnie ręką:

— Być może. Dla mnie nazywa się Niedorost.

Naczelnik znów wymienił z towarzyszem znaczące spojrzenie.

— Nazwisko kierownika pociągu?

— Stanisław Mrówka.

Przesłuchujący z trudem powstrzymał wybuch wesołości:

— Mrówka, powiada pan? Mrówka?! A to dobre! Bajeczny pan sobie jesteś! Mrówka?! No proszę kogo!

— Tak jest. Stanisław Mrówka.

— Nie, panie Grot. Kierownik pańskiego pociągu nazywa się Stanisław Żywiecki. Znów się pan pomyliłeś.

Protokolant pochylił wypomadowaną głowę ku zwierzchnikowi i szepnął na ucho:

— Panie naczelniku, ten człowiek albo pijany, albo ma tęgiego fioła.

— Zdaje się to ostatnie — odpowiedział chrząkając urzędnik, po czym zwrócił się do winowajcy z ponownym pytaniem:

— Pan żonaty?

— Nie.

— Czy pił pan co przed wyjazdem?

— Alkoholu nie znoszę.

— Ile pan godzin w służbie?

— Szesnaście.

— Nie czujesz się pan znużony jazdą?

— Bynajmniej.

— Dlaczego pan dzisiaj cztery razy z rzędu nie zatrzymał pociągu na właściwym miejscu przed stacją?

Grot milczał. Nie mógł, nie chciał za nic w świecie tego powiedzieć.

— Czekam na odpowiedź.

Maszynista zwiesił ponuro głowę.

Wtedy urzędnik podniósł się uroczyście od biurka i zawyrokował:

— Teraz pójdzie się pan wyspać. Zastąpi pana inny kolega. Zawieszam pana na razie w służbie; być może, wezwie się pana z powrotem w swoim czasie, kiedyś później. Tymczasem radzę panu jak najrychlej poddać się oględzinom lekarskim. Pan jesteś poważnie chory.

Grot pobladł, zachwiał się. Historia przybrała charakter tragiczny. Z wyrazu twarzy, tonu i treści słów poznał, że go uważają tutaj za wariata. Zrozumiał, że stracił posadę, że przestał być maszynistą.

— Panie naczelniku — jęknął załamując ręce — zdrow jestem zupełnie. Mogę dalej jechać.

— To wykluczone, panie Grot. Nie mogę panu powierzać losu kilkuset osób. Czy wiesz pan, że omal nie stałeś się dzisiaj sprawcą katastrofy? Zajechałeś za daleko, docierając do punktu, w którym miało nastąpić skrzyżowanie z osobowym z Czerniawy. Gdyby pan asystent nie był cofnął w porę pociągu, nastąpiłoby niechybne zderzenie. Sygnalizowany już pociąg nadjechał w dwie minuty potem.

Pan się nie nadaje do służby, panie Grot. Trzeba się wpierw leczyć. Poza tym skończyliśmy.

Proszę opuścić lokal.

Ciężkim, ołowianym krokiem wyszedł Grot z pokoju, przemierzył peron, poczekalnię i zataczając się jak pijany, powlókł się wzdłuż magazynów kolejowych. Czaszkę rozpierał głuchy ból, w duszy łkała rozpacz. Stracił służbę.

Nie chodziło o te marnych kilkadziesiąt sztuk monety, o posadę, o tytuł — szło o maszynę, bez której żyć już nie umiał. Chodziło o nieoceniony, jedynie dlań dostępny środek, którym mógł zмагаć się z przestrzenią, pędzić w mroczniejsze dale. Z utratą służby usuwał mu się grunt pod nogami.

Targany dławiącym krtań bólem minął magazyny, minął most, tunel i machinalnie wszedł na tory. Było już daleko za stacją. Potykając się co krok o drewniane podkłady skrzyżowanych szyn, zaczepiając o zwrotnice, błąkał się pomiędzy lśniącym zimno żelaziwem.

Wtem usłyszał za sobą ciężki stek, poczuł pod nogami drżenie ziemi. Odwrócił się i spostrzegł powoli szybującą, luźną maszynę. Objął ją wzrokiem znawcy, stwierdził zasobność jaszczyka, zauważył radośnie nieobecność palacza.

Postanowienie szybkie jak błysk, jak mgnienie oka, załśniło w skołatany mózgu i dojrzało w momencie.

Krokiem ostrożnym, drapieżnym, krokiem czającego się lamparta podkradł się pod bok żelaznego potwora i jednym susem wskoczył na platformę.

Ruch był tak nagły i niespodziewany, że maszynista osłupiał. Grot wyzyskał chwilę. Zanim zdumiony kolega zorientował się w sytuacji wytworzonej przez nieoczekiwane gościa, napastnik zakneblował mu chustką usta, spętał ręce na krzyżach i powaliwszy na spód maszyny, zepchnął z pomostu na ziemię.

Załatwiwszy się z tym w przeciągu kilku minut, Grot zajął przy kotle miejsce swego poprzednika.

Tytaniczna radość rozsadzała mu serce — okrzyk tryumfu rozpierał piersi. Był znów u steru!

Pocisnął korki, siepnął parą, zatoczył młyncem korbę. Maszyna, jakby odczuwszy rękę mistrza, zadrżała w posadach, zaniósła się krzepkim, pożegnalnym gwizdem i ruszyła w szeroki świat.

Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie jak strzała, tor i runął w przestrzeń!

Rozpoczął się wichrowy pęd, nie krępowany niczym, nie przerywany przystankami, nudą postojów. Bez przerwy czerpał szuflą węgle, wrzucał je w palenisko; sycił ogień, zgęszczał parę. Jak opętany biegał od jaszczyka do kotła, od kotła do jaszczyka, stwierdzał stan wody w wodomierzu, badał ciśnienie pary.

Nie widział nic, nie myślał o niczym — upajał się tylko pędem, żył tylko ruchem. Zatracił rachubę czasu, nie wiedział, jak długo już trwa piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...

Maszyna rozpętała się. Obląkane chyżością koła wykonywały nieuchwytnie, fantastycznie chybkie obroty, uznojone tłoki cofały się, to znów parły w przód, tłukły się opętańczo zziąjane kolby. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę — rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwarem, przepalał skórę, parzył dłonie. Nic to! Jeszcze! Dalej! Prędszej! W cwał! W cwał!

Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier — nowa falanga pary wstrzyknęła ognisty war w topniejące rury...

Wtem... zakotłowało coś, zawyło szatańskim skowytom — rozległ się huk jak z tysiąca armat, zaryczał grzmot jakby stu piorunów... Wytrysnął w górę ognisty, splątany kłęb, zgmentwany słup odłamków, żelaznych skorup, pogiętych blach...

Sygnaly

Na dworcu towarowym, w starym, dawno z obiegu wyszłym wagonie pocztowym zgromadziło się jak zwykle na pogawędkę kilku wolnych od służby kolejarzy. Było trzech kierowników pociągu, starszy kontroler Trzpień i zastępca naczelnika stacji Haszczyc.

Ponieważ październikowa noc była dość chłodna, więc zapalili ogień w żelaznym piecyku,

którego rurę wpuszczono w otwór dachu. Szczęśliwy ten pomysł zawdzięczało grono inwencji kierownika Świty, który osobiście sprowadził rdzą już przeżarty ogrzewacz, wyrzucony z jakiejś poczekalni, i przystosował go wybornie do zmienionych warunków. Cztery drewniane, podartą ceratą obciążone ławki i stół ogrodowy o trzech nogach i szerokiej jak tarcza płycie uzupełniały urządzenie wnętrza. Nad głowami siedzących zawieszona na haku latarnia rozsiewała po twarzach przymglone światło półmroku.

Tak wyglądało „kasyno kolejowe” funkcjonariuszy stacji Przełęcz, przygodny przytułek dla bezdomnych kawalerów, cicha, ustronna przystań dla luzujących się w służbie konduktorów.

Tutaj w chwilach wolnych schodzili się strawieni jazdą bywalcy, stare, osiwiłe „wilki kolejowe”, by wytchnąć po odbytej turze i pogwarzyć z kolegami zawodu. Tutaj w dymie konduktorskich fajek, w czadzie tytoniu, prymki, papierosów, tułały się echa opowieści, tysięcznych przygód i anegdot, snuło przedziwo kolejarskiej doli.

I dziś posiedzenie gwarne było i ożywione, zespół wyjątkowo dobrany, sama stacyjna „śmietanka”. Właśnie przed chwilą opowiedział Trzpień ciekawy epizod z własnego życia i zdołał tak przykuć uwagę słuchaczy, że zapomnieli podsyć dogorywujące fajeczki i teraz trzymali je w zębach zimne już i wygasłe jak wystygłe kratery wulkanu.

W wagonie zaległa cisza. Przez zwilżone kroplami dżdżu okno widać było mokre dachy wozów lśniące pod światło reflektorów jak stalowe pancerze. Od czasu do czasu przemknęła latarka budnika, mignął niebieski sygnał maszyny przetokowej; od czasu do czasu rozrywał ciemności zielony refleks zwrotnicy, zagrał czerwony krzyk drezyny. Z dała spoza czarnego szańca drzemiących wozów dochodził stłumiony gwar dworca głównego.

Przez rozstęp między wagonami przeglądała część toru: parę równoległych pasów szyn. Na jeden z nich zajeżdżał powoli wypróżniony już pociąg, znużone całodzienną gonitwą tłoki pracowały leniwo, ospale przerabiając ruch swój na obroty kół.

W pewnej chwili parowóz stanął. Spod piersi maszyny wytoczyły się kłęby oparów i otuliły pękaty kadłub. Światła latarń na czole olbrzyma zaczęły uginać się w tęczowe glorie, złociste obręcze i przepajać sobą chmurę pary. W jakimś momencie wynikła optyczna złuda: lokomotywa, a wraz z nią wagony uniosły się ponad zwały par i tak trwały przez pewien czas zawieszony w powietrzu. Po paru sekundach pociąg wrócił do poziomu szyn, wydzielając z organizmu ostatni wsiąk, by odtąd pogрузić się w zadumę nocnego spoczynku.

— Piękne złudzenie — zauważył Świta, który od dłuższego już czasu wyglądał przez szybę.
— Widzieliście panowie ten pozorny wzwód maszyny?

— Rzeczywiście — potwierdziło parę głosów.

— Przypomniało mi to legendę kolejarską słyszaną przed laty.

— Opowiadajcie ją, Świta, prosimy — zachęcił Haszczyk.

— Prosimy, prosimy!

— Owszem — historia niedługa; można ją streścić w paru słowach. Krąży pomiędzy kolejarzami jako opowieść o pociągu, który zniknął.

— Jak to zniknął? Ulotnił się czy jak?

— No nie. Zniknął — nie znaczy jeszcze: przestał istnieć! Zniknął — to znaczy: nie ma go pozornie dla oka ludzkiego — w rzeczywistości zaś gdzieś jest, gdzieś przebywa, chociaż nie wiadomo gdzie. Fenomen ten miał wywołać pewien naczelnik stacji, jakiś dziwak ogromny, a może czarownik. Sztuki dokonał przez szereg w specjalnym porządku po sobie następujących sygnałów. Zjawisko zaskoczyło go zniecka, jak sam potem utrzymywał. Oto bawił się sygnałami, które kombinował w najrozmaitszy sposób, zmieniając ich następstwo i jakość. Aż raz, po wypuszczeniu siedmiu takich znaków, pociąg zajeżdżający na jego stację nagle w pełnym biegu uniósł się w górę równoległe do toru, zawahał parę razy w powietrzu, po czym przechyliwszy się pod kątem, zniknął i rozwiął się w przestrzeni. Odtąd nikt więcej nie widział ani pociągu, ani ludzi, którzy nim jechali. Mówią, że pojawi się z powrotem, gdy ktoś wyda te same sygnały, lecz w porządku odwrotnym. Naczelnik, niestety, wkrótce potem zwariował i wszelkie próby wydobywania zeń prawdy spełzyły na niczym; obłąkaniec zabrał ze sobą klucz do tajemnicy. Chyba przypadek zdarzy, że ktoś trafi na właściwe znaki i wywabi pociąg z czwartego wymiaru na ziemię.

— Awantura jakich mało — zauważył kierownik Zdański. — A kiedy zaszło to cudowne zdarzenie? Czy legenda nie określa go czasowo?

— Jakich sto lat temu.

— Pi, pi! Ładny szmat czasu! W takim razie pasażerowie z wnętrza pociągu byliby w chwili obecnej o cały wiek starsi. Proszę wyobrazić sobie, co by to był za spektakl, gdyby tak dziś, jutro udało się jakiemuś szczęśliwcowi odnaleźć apokaliptyczne sygnały i zdjąć siedm pieczęci czaru. Ni stąd, ni zowąd zaginiony pociąg nagle spada z nieba na ziemię, wypoczęty należycie po stuletniej nirwanie, i wysypuje z wagonów tłum uginających się pod ciężarem wieku staruszków.

— Zapomniałeś o tym, że w czwartym wymiarze prawdopodobnie nie potrzebują ludzie ani jedzenia, ani napoju i nie starzeją się.

— Racja — zawyrokował Haszczyc — święta racja. Piękna legenda, kolego, bardzo piękna. Umilkł, coś sobie przypominając. Po chwili, nawiązując do słów Świty, rzekł w zamyśleniu:

— Sygnały, sygnały... I ja coś o nich potrafię opowiedzieć — tylko nie legendę, lecz historię prawdziwą.

— Słuchamy! Prosimy! — odezwał się chór kolejarzy. Haszczyc oparł łokieć o blat stołu, nałożył fajeczkę i wyrzuciwszy pod strop wozu parę mlecznych kręgów, zaczął swoją opowieść.

Pewnego wieczora, koło godziny siódmej, zaalarmowano stację Dąbrowa sygnałem: „wozy odbiegły”; młotek dzwonka oddał cztery po cztery uderzenia w odstępach trzech sekund. Zanim naczelnik Pomian zdołał zorientować się, skąd nadszedł sygnał, nadpłynął z przestrzeni znak nowy; odezwały się po trzy uderzenia na przemian z dwoma dane czterokrotnie. Urzędnik zrozumiał; znaczy to: „wszystkie pociągi zatrzymać”. Niebezpieczeństwo wzmogło się widocznie.

Wnosząc z pochyłości toru i kierunku silnego wiatru, wiejącego z zachodu, oderwane wozy biegły naprzeciw pociągu osobowego, który właśnie odchodził ze stacji.

Należało koniecznie pociąg wstrzymać i cofnąć parę kilometrów w stronę przeciwną, jako też krzyć podejrzaną partię przestrzeni.

Ekspedient, młody, energiczny urzędnik, wydał stosowne zarządzenia. Osobowy szczęśliwie zawrócono z drogi, a równocześnie wysłano ze stacji maszynę z ludźmi, których zadaniem było wstrzymać biegnące samopas wagony. Lokomotywa ostrożnie posuwała się w niebezpiecznym kierunku, rozświetlając sobie drogę trzema potężnymi reflektorami; przed nią w odległości 700 m szło dwóch dróżników z zapalonymi pochodniami i tropiło uważnie linię.

Lecz ku zdumieniu całego personelu wozów odbiegłych nigdzie po drodze nie spotkano i po dwugodzinnej, oględnej do ostatecznych granic jeździe maszyna zawinęła do najbliższej stacji Głazów. Naczelnik przyjął ekspedycję z ogromnym zdziwieniem. Nikt o sygnałach nic nie wiedział, przestrzeń absolutnie była pewną i żadne niebezpieczeństwo z tej strony nie zagrażało. Zbici z tropu funkcjonariusze wsiedli na maszynę i około jedenastej w nocy powrócili do Dąbrowy.

Tutaj tymczasem zaniepokojenie wzrosło. 10 minut przed powrotem parowozu dzwonki znowu odezwały się, tym razem domagając się przysłania lokomotywy ratunkowej z robotnikami. Urzędnik ruchu był w rozpacz; zdenerwowany sygnałami płynącymi wciąż od strony Głazowa, przemierzał niespokojnymi krokami peron, wychodził na linię, to znów wracał do biura stacyjnego, bezradny, przerażony, wylękły.

Istotnie sytuacja była przykra. Alarmowany co kilkanaście minut kolega z Głazowa odpowiadał zrazu z flegmą, że wszystko w porządku; potem zniecierpliwiony zaczął łąać od półgłówków i wariatów. A tu tymczasem szły sygnały za sygnałami, coraz natarczywiej dopraszające się wysyłki wagonów robotniczych.

Czepiając się, jak tonący ostatniej deski ratunku, zatelegrafował Pomian w stronę przeciwną, do Zbąszyna, przypuszczając nie wiadomo dlaczego, że stamtąd idzie alarm. Oczywiście odpowiedziano przecząco; i tam wszystko szło wzorowym porządkiem.

— Czy ja zwariowałem, czy tamci nie przy zmysłach? — zapytał w końcu przechodzącego blokmistrza. — Panie Sroka, czy słyszał pan te przekłete dzwonki?

— Słyszałem panie naczelniku, słyszałem. O znowu! Ki kaduk?

Rzeczywiście, nieubłagane młotki tłukły ponownie o żelazne kresy; wołały o pomoc robotników i lekarzy.

Na zegarze mijają wtedy już pierwsza. Pomian wpadł we wściekłość.

— A co mnie to wszystko wreszcie, do stu piorunów, obchodzi? Stąd: wszystko w porządku, stamtąd: wszystko na miejscu — więc czego chcesz, do diabła ciężkiego? To jakiś błazen głaszowski figle z nami stroi, wywracając do góry nogami całą stację! Zrobię doniesienie i kwita!

— Nie przypuszczam, panie naczelniku — wtrącił spokojnie asystent — sprawa za poważna, by ją ujmować z tego punktu widzenia. Raczej przyjąć trzeba jakąś omyłkę.

— Ładna omyłka! Czyż nie słyszałeś kolega, co odpowiedzieli mi z obu stacji najbliższych? Chyba niepodobna przypuścić jakichś przypadkowo zabłąkanych sygnałów z dalszych przystanków, o których by tamci nie wiedzieli. Jeśli dotarli do nas, musiały wprawdzie przejść przez ich rejon. Więc?

— Więc prosty wniosek, że pochodzą od jakiegoś dróżnika na przestrzeni między Dąbrową a Głaszowem. Pomian spojrział na podwładnego z uwagą.

— Od któregoś z budników, powiada pan? Hm... mużę. Ale po co? Dlaczego? Nasi ludzie zbadali przecież całą linię krok za krokiem i nie znaleźli nic podejrzanego.

Urzędnik rozkrzyżował ramiona.

— Tego to już nie wiem. Rzecz można zbadać później w porozumieniu z Głaszowem. W każdym razie sądzę, że możemy spać spokojnie i nie zważać na dzwonki. Wszystko, co należało do nas, zrobiliśmy — przestrzeń przeszukana dokładnie, na linii nie ma ani śladu niebezpieczeństwa, którym nam grożą. Uważam te znaki po prostu za tzw. „fałszywy alarm”.

Spokój asystenta podziałał kojąco na naczelnika. Pożegnał kolegę i zamknął się na resztę nocy w biurze.

Lecz służba niełatwo przeszła nad tym do porządku. Ludzie skupili się na bloku koło zwrotniczego i coś szeptali między sobą tajemniczo; od czasu do czasu, gdy ciszę nocy przerwał nowy podrzut dzwonka, pochylone ku sobie głowy kolejarzy zwracały się w stronę słupa sygnałowego i kilka par oczu rozszerzonych zabobonną trwogą śledziło ruchy kujących młotków.

— Zły znak — mruzczał strażnik Grzela — zły znak!

I tak grały sygnały aż do pierwszego brzasku. Lecz im bliżej było rana, tym dźwięki stawały się słabsze, niksze, w tym dłuższych odstępach czasu po sobie, aż zgłuchły bez echa przed świtem. Ludzie odetchnęli, jakby zmora nocna usunęła się z piersi.

Nazajutrz Pomian zwrócił się do władz w Ostoi, zdając dokładny raport z zajść ubiegłej nocy. Nadeszła telegraficznie odpowiedź kazała mu czekać na przybycie specjalnej komisji, która miała sprawę gruntownie zbadać.

W ciągu dnia ruch odbywał się regularnie i wszystko miało przebieg normalny. Lecz z uderzeniem godziny siódmej wieczór odezwały się znowu alarmujące sygnały w tym samym, co wczoraj, porządku; więc najpierw sygnał: „wozy odbiegły”, potem rozkaz: „wszystkie wozy zatrzymać”, wreszcie hasło: „przysłać lokomotywę z robotnikami”, i rozpaczliwy krzyk o pomoc: „przysłać maszynę z robotnikami i lekarzem”. Charakterystycznym było stopniowanie w doborze znaków, z których każdy następny zdradzał wzmożenie się urojonego niebezpieczeństwa. Sygnały uzupełniały się oczywiście, tworząc rozerwany przestankami łańcuch, snujący jakąś złowieszczą opowieść o domniemanym nieszczęściu.

A jednak rzecz wyglądała na drwiny lub głupi figiel.

Naczelnik wściekał się, służba zachowywała różnie; jedni brali historię z humorystycznego punktu widzenia i śmiali się z zapamiętałych dzwonek, inni żegnali przesadnie. Blokowy Zdun utrzymywał półgłosem, że diabeł siedzi w słupie sygnałowym i kłapie dzwonkiem na przekorę.

W każdym razie nikt znaków nie tłumaczył na serio i na stacji nie poczyniono odpowiednich zarządzeń. Alarm trwał z przerwami aż do rana i dopiero gdy na wschodzie przetarła się bladożółta linia, dzwonki uspokoiły się.

Nareszcie po bezsennie spędzonej nocy doczekał się naczelnik przybycia komisji koło dziesiątej nad ranem. Przyjechał z Ostoi nadinspektor Turner, wysoki, szczupły, ze zmrużonymi złośliwie oczkami pan, z całym sztabem urzędników. Zaczęło się śledztwo.

Panowie „z góry” mieli już ustalony pogląd na sprawę. Sygnały, zdaniem pana nadinspektora, pochodziły z budki któregoś z dróżników na linii Dąbrowa-Głaszów. Chodziło tylko

o to, z czyjej. Według etatu było na tej przestrzeni budników dziesięciu; z tej liczby należało wydzielić ośmiu, którzy nie posiadali aparatu do dawania sygnałów tego typu. Podejrzenie padło zatem na pozostałych dwóch. Inspektor postanowił wy badać obu na miejscu ich przeznaczenia.

Po sutym obiedzie u pana naczelnika wyruszył z Dąbrowy po dwunastej w południe specjalny pociąg z komisją śledczą. Po półgodzinnej jeździe panowie wysiedli przed budką dróżnika Dziwoty, jednego z podejrzanych.

Biedna czelczyzna, przerażony najściem nieoczekiwanych gości, zapomniał języka w gębie i na pytania odpowiadał jakby zbudzony z głębokiego uśpienia. Po przeszło godzinnym badaniu doszła komisja do przekonania, że Dziwota Bogu ducha winien i o niczym nie ma pojęcia.

Więc by nie tracić czasu, pan nadinspektor zostawił go w spokoju, zalecając swoim ludziom dalszą jazdę do drugiego strażnika, na którym teraz skupiła się jego śledcza uwaga.

W 40 minut potem stanęli na miejscu. Na spotkanie nie wybiegł nikt. To zastanowiło. Posterunek wyglądał jakby wymarły; żadnej poszlaki życia w obejściu, żadnego śladu żyjącej istoty wokoło. Nie odzywały się patriarchalne głosy gospodarstwa domowego, nie zapiał kogut, nie zrzędziła kura.

Po stromych, w parę poręczy ujętych schodkach weszli na wzgórze, na którym wznosił się domek budnika Jażwy. U wejścia powitały gości niezliczone roje much złych, zjadliwych, brzęczących; owady, jakby wściekłe na intruzów, rzuciły się do rąk, do oczu, do twarzy.

Zapukano do drzwi. Z wnętrza nikt nie odpowiedział. Jeden z kolejarzy nacisnął klamkę — drzwi były zamknięte.

— Panie Tuziak — skinął Pomian na ślusarza stacyjnego — wytrychem go!

— Duchem, panie naczelniku.

Zazgrzytało żelazo, zachrząścił zamek i ustąpił. Inspektor wyważył nogą drzwi i wszedł do środka. Lecz w tejże chwili cofnął się z powrotem na podwórze, przytykając chusteczkę do nosa. Z wnętrza uderzył okropny zaduch. Jeden z urzędników odważył się przekroczyć próg i zajrzał w głąb.

Przy stole pod oknem siedział budnik z głową spuszczoną na piersi, z ręką prawą opartą palcami na guziku aparatu sygnałowego.

Urzędnik zbliżył się do stołu i zbladłszy, zawrócił ku wyjściu. Krótkie spojrzenie rzucone na rękę dróżnika przekonało, że nie palce ujmowały taster, lecz trzy nagie, ogołocone z mięsa piszczele.

W tej chwili siedzący przy stole zachwiał się i zwałił się jak kłoda na ziemię. Poznano trupa Jażwy w stanie zupełnego rozkładu. Obecny lekarz stwierdził śmierć zaszłą przynajmniej dziesięć dni temu.

Spisano protokół i pochowano na miejscu zwłoki, rezygnując z obdukcji z powodu silnie posuniętego zepsucia.

Przyczyny śmierci nie wykryto. Wypytywani o to chłopci z sąsiedniej wsi nie umieli dać żadnych wyjaśnień prócz tego, że już od dłuższego czasu Jażwy nie widywano. W dwie godziny później wróciła komisja do Ostoi.

Naczelnik Dąbrowy miał tej nocy i następnych sen spokojny i nie zmacony sygnałami. Lecz w tydzień potem zaszła na linii Dąbrowa-Głaszów straszliwa katastrofa. Oderwane nieszczęśliwym trafem wagony wpadły na pociąg pospieszny, dążący z przeciwnej strony, i zdruzgotwały go doszczętnie. Zginął cały personel służbowy i osiemdziesięciu kilku podróżnych.

Dziwna stacja (fantazja przyszłości)

Mignęła jak przez sen latarnia morska we Vendres, pierwszego większego portu po tamtej stronie Pirenejów. Piekielny pociąg nie zwolnił biegu. Wyszędłszy z Barcelony niespełna 50 minut temu, zmierzał z zawrotną chyżością przeszło 300 km na godzinę w stronę najbliższej stacji, którą miała być dopiero Marsylia.

Stalowa wstęga wozów jak wąż w potężnych przegubach śmigała ruchem strzały wzdłuż wybrzeża, zataczając szeroki łuk zatoki lionńskiej. W oknach od lądu stało w glorii zachodu ogromne, sierpniowe słońce — po stronie przeciwnej przechodziła powoli w granat ultramaryna

morskiej roztoczy.

Było około godziny siódmej wieczorem...

„Infernal Mediterrane * nr 2”^[1] rozpoczął jak zwykle z rozmachem swą brawurową turę dookoła Morza Śródziemnego. Poruszany prądem elektromagnetycznym o olbrzymim napięciu, okrążył pociąg kotlinę śródziemnomorską w przeciągu mniej więcej trzech dni. Punktem wymarszu była Barcelona. Przerzuciwszy się przez jedną z przełęczy pirenejskich, pędził „Infernal” równią południowofrancuską aż do Marsylii, by stąd po kilkuminutowym postoju przez Toulon i Nizzę przesunąć się lotem błyskawicy popod stokami Alp po Riwierze francusko-włoskiej i oprzeć aż w Genui. Tu na 3 godziny porzucił wybrzeże i przemierzywszy dolinę Padu, zawijał na kwadrans do Wenecji.

Następowała potępieńcza jazda wzdłuż wybrzeża dalmatyńskiego z postojem w Raguzie, huraganowy pęd na przełaj przez Bałkan bez tchu, bez spoczynku i dłuższy przystanek w Konstantynopolu. Tu, nad zatoką Złotego Rogu, na pograniczu dwóch światów zatrzymywał się piekielny pojazd na całą godzinę, by zaczerpnąć oddechu do dalszej podróży. A gdy już w dal rzucać zaczęły swe cienie tureckie meczety i gwizdy przeciągłe sygnałów głośniły hasła odlotu, spadał z bloków żelaznych most zwodzony i olbrzymią zwoją łączył na chwil parę Europę z Azją. Pociąg szybki jak myśl wpadał na ruchomy pomost, przemykał w kilku sekundach ponad Bosforem i zapuszczał się w kręty labirynt przestrzeni małoazjatyckiej. Droga ze Smyrny przez Bejrut, Jaffę, Synaj i mostem przez Kanał Sueski była jednym pięknym jak wschodnie marzenie snem. Od Aleksandrii szedł już szlak kolejowy prosto, bez uskoków, jak sierpem rzucił przed siebie tuż nad brzegiem morza. Z południa wionął żar pustyni, z północy spływała na skrzydłach mokrego wiatru pieszczota fal. Przed oczyma podróżnych rozkładały się w błyskawicznej zmianie bugaje palm zielonych, złotożółte wydmy piachów, miast białych oślepiające miraże. Pijany ruchem pociąg mijał Tripolis, Algier i w heroicznym biegu wił się po skalnych wydrożach Maroka. A że ta część jazdy końcowa przypadała zwykle na godziny przedwieczorne, przeto zdał się pociąg gonić w tęsknocie wielkiej za słońcem, co jak żagiew czerwonożłociste szło przed nim w stronę Atlantyku. I zdarzało się nieraz, że gdy docierał do Ceuty, ono w pełni swej chwały zanurzało się w nurtach oceanu. Tedy pożegnawszy słońce, przystawał „Piekielny” na chwil parę na Punta Leona i gotował się do szalonego skoku. Na znak portowej syreny wypadały równocześnie z przyładek po obu stronach Gibraltaru stalowe przesła Mostu Herkulesa, cudu techniki XXI stulecia i podawszy sobie gigantyczne ramiona ponad cieśniną, związywały żelazną spójnią Afrykę z Europą. Z furją wspinał się pociąg na tor nadpowietrzny, z pasją szaleńca przefruwał pomiędzy pierzejami mostowych łuków i po kilku minutach ślizgał się już po relsach ładu Hiszpanii. A gdy już srebrzysta Jutrzenka wylaniała się z fal zatoki Walencji i poranny ciąg gołębi pocztowych od Balearów zwiastował światu narodziny dnia, wjeżdżał „Infernal” tryumfalnie w podsienia dworca w Barcelonie. I wtedy witały go entuzjastyczne okrzyki tłumu i podziw oczekującej gawiedzi:

— Bravo toro! Tren diabolico! Viva bestia de inferno!^[2]

Świetny, trzydniowy rajd był ukończony...

Tak obiegał „Piekielny” obrzeża śródziemnomorskie od lat pięciu, tj. od chwili, gdy jakiś londyński globetrotter wpadł na pomysł puszczania w ruch podobnego pociągu. Projekt rzucony jakby od niechcienia w jednym ze wstępnych artykułów „The International Sportsman”^[3] spotkał się z gorącym uznaniem sfer turystyczno-podróżniczych. Zawiązało się natychmiast międzynarodowe przedsiębiorstwo „The International Mediterranean Railway-Association”^[4], w którego skład weszło w charakterze akcjonariuszy kilku multimiliarderów reprezentujących cztery najbardziej interesowane potęgi śródziemnomorskie, tj. Anglię, Francję, Włochy i Hiszpanię. Towarzystwo, zdobywszy znaczny kapitał obrotowy i zapewniwszy sobie wydatną pomoc odnośnych rządów, przystąpiło natychmiast do budowy trasy śródziemnomorskiej.

Zadanie było olbrzymie, gdyż ze względu na anormalną chyżość przyszłego pociągu nie mógł tor jego nigdzie przecinać się z istniejącymi dotąd i nowa linia kolejowa musiała zachować od początku do końca zupełną niezależność od sieci dróg zwyczajnych. Równocześnie pod kierownictwem pierwszorzędnych sił fachowych składano „garnitur” wozów i budowano maszyny.

Ponieważ siłą poruszającą miał być prąd dynamoelektryczny, którego zadaniem było wytworzenie potężnej chyżości przeszło 300 km na godzinę, przeto i konstrukcja pociągu odbiegała

znacznie od dotychczasowej normy i wymagała niezwyklej precyzji w wykonaniu całości.

Po roku nowa kolej była gotowa i przy współudziale międzynarodowych delegacji nastąpiło uroczyste otwarcie przestrzeni. Wśród niemilkających wiwatów wielojęzycznego tłumu „Piekielny Śródziemnomorski”, strojny w bandery anglo-romańskie, opuścił halę dworcową w Barcelonie i z szatańską chyżością poszybował w stronę śnieżnych szczytów Sierra del Cadi. Entuzjazm widzów przeszedł wszelkie granice. Uroczystość otwarcia zamieniła się w wielkie święto międzynarodowe, które odbiło się głośnym echem w prasie. Z licznych artykułów dziennikarskich na ten temat bił ton tryumfu i dumy; pisano o geniuszu Europy, o gigantycznym rozwoju techniki w. XXI, stawiano najzuchwalsze horoskopy na przyszłość.

A tymczasem „Infernal” odbywał z zadziwiającą punktualnością swe opętańcze tury. Z czasem puszczono w ruch okrężny 7 takich pociągów, tj. po jednym na każdy dzień tygodnia. Wkrótce bowiem okazało się, że korzystali z nowego środka komunikacyjnego nie tylko zagorzali zwolennicy sportu, turystyki i podróżomanii, ale też kupcy, mężowie stanu, dyplomaci i spragnieni wrażeń artyści.

W ten sposób rozszerzyła się znacznie pierwotna skala zadań nowej kolei i objęła niemal całokształt życiowych zapotrzebowań, zataczając horyzonty rozległe i piękne. W końcu każdy kulturalny Europejczyk uważał sobie za punkt honoru przynajmniej raz w życiu spróbować przejażdżki „Infernałem”.

Dzisiejsza tura, wtorkowa, której początek przypadał na dzień 23 sierpnia r. 2345, zapowiadała się bardzo interesująco, „Méditerrané” unosił z sobą tym razem ekspedycję; naukową, która zamierzała przeprowadzić w kilku punktach drogi przy pełnym biegu pociągu szereg pomiarów i doświadczeń z dziedziny astrofizyki; oczekiwano bowiem w tym czasie pojawienia się zapowiedzianej już przed 10 laty komety i pewnych związanych z tym fenomenów. Ponadto w Marsylii wsiadło kilku dyplomatów angielskich i francuskich, spieszących na międzynarodowy kongres w Konstantynopolu.

Minięto Toulon, pozostawiono daleko za sobą uroczą Nizzę i zbliżano się w diabolicznym tempie do miasta rulety, hazardu i wszechwładnego przypadku: Monaco.

W wagonie restauracyjnym zajmującym środek pociągu panował gwar nie do opisania. Pora była podnozna, wieczorzowa i podawano kolację. Kapela hiszpańskich Cyganów, usadowiwszy się w rogu wozu na podium zasłanym czerwonym sukniem, wygrywała jakieś danze appassionate^[5], jakieś płomiennie-tęskne bolera i zawrotne tańce smagłej od słońca Peruwii, skarżyły się namiętne skrzypce, lkał cicho melancholijny flet. U stropu jarzyły się kwiaty lamp elektrycznych, szklane pęczki stułbi, bukiety ukwiałów, siejąc strugi światła na głowy biesiadników. Ktoś nucił w kącie arie z Picadora...

Przy jednym ze stołów toczyła się ożywiona nader rozmowa. Towarzystwo było doborowe: kilku uczonych, paru artystów, dwóch dziennikarzy i jeden dyplomata. Rozprawiano o ewolucji kultury na Ziemi, o tempie jej w ostatnim stuleciu i przypuszczalnych celach ostatecznych. Właśnie kończył rzecz swą sir Reginald Pemberton, znakomity astronom angielski:

— Panowie — mówił cichym, rotacyzmującym trochę głosem. — Panowie! Zważywszy kolosalny rozwój kultury ziemskiej w kilku ostatnich stuleciach, zważywszy anormalne przyspieszenie jej tempa w porównaniu ze ślimaczym ruchem epok dawniejszych, dochodzimy do nieodpartego wniosku, że ludzkość znajdzie się wkrótce w stadium jakiegoś wielkiego przesilenia.

— Dlaczego? — zaoponował vis-a-vis niego siedzący Charles Gerard, dziennikarz z Bordeaux. — Dlaczego, kochany panie Pemberton? Moim zdaniem ewolucja może Postępować ruchem choćby niejednostajnie przyspieszonym bez wzbudzania obaw przed kataklizmem.

Astronom uśmiechnął się pobłaźliwie:

— Dlatego, kochany panie Gerard, że wszędzie we wszechświecie panuje prawo pulsacji energii i związane z nim drugie prawo entropii^[6]. Tak w mikrokosmosie, jak w makrokosmosie następuje po okresie koncentracji energii okres powolnego jej rozpraszania się aż do zera. Jest to jakby potężny wdech i wydech energii powtarzający się w nieubłaganym rytmie poprzez bezkresy czasu. Mam wrażenie, że po obecnej zwyczajnie wkrótce, może w najbliższej przyszłości, nastąpi równie szalona w tempie niżka energii świata.

Gerard zamyślił się.

— A zatem — zauważył po chwili — stosuje pan do makrokosmosu bezwzględnie prawo pulsacji odkryte w radiologii świata atomów?

— Oczywiście, świat jest jeden.

— Pozwolę sobie tylko na małą poprawkę — wmieszał się do rozmowy milczący dotąd profesor fizyki na wszechnicy warszawskiej, J. Leszczyc. — Podzielam opinii; kolegi Pembertona, ale z pewnymi zastrzeżeniami. I ja w zasadzie przyjmuję możliwość bliskiej entropii, ale tylko częściowej. Nie przypuszczam bowiem, by zanik zupełny miał już teraz rozciągnąć się na cały świat, a choćby tylko na naszą pocziwą staruszkę Ziemię. Co najwyżej mogą zniknąć z jej powierzchni pewne kategorie zjawisk, ludzi, rzeczy, może całe narody.

— Jak to? — zachnął się Sven Warborg, świetny podróżnik i geograf szwedzki. — Zupełny zanik? Niby absolutna śmierć? Hm, to dziwne. Pan, spirytualista, wierzy w możliwość absolutnej nicości?

— W wypadkach zupełnego zmaterializowania ducha. W niektórych kategoriach zjawisk życiowych i u niektórych osobników strona fizyczna, fenomenalna dochodzi czasem do tak bezwzględnej przewagi, że pierwiastek duchowy ulega w nich zupełnemu zanikowi — po prostu ulatnia się z niegościnniej powłoki.

— A właśnie — poparł go poeta Młodych Włoch, Luigi Rovelli — właśnie współczesna nam epoka wybujała w kierunku materializmu praktycznego. Nasz „gigantyczny” postęp jest niestety bardzo jednostronny. Po chwilowej zwwyżce w kierunku metafizycznym, który ujawnił się po wielkiej wojnie europejskiej lat 1914-18, nastąpiła tym sromotniejsza reakcja w kierunku wprost przeciwnym.

— Częściowa entropia — mruknął niechętnie Anglik. — Nie mam jakoś przekonania do pańskiej teorii.

— Mógłbym panu przytoczyć na to sporą ilość przykładów. Wszak nieraz słyszy się o tajemniczym zniknięciu pewnych ludzi lub rzeczy: przepadają jak kamień we wodzie, nie wiadomo jak i gdzie. Po prostu usuwają się z widowni świata, rozwiewają w przestrzeni bezpowrotnie. I nie można tego nawet nazwać śmiercią, gdyż ta jest przejściem do nowej formy bytowania. Jest to coś gorszego od śmierci — to kompletny zanik, to przejście w bezwzględną nicość.

Sir Pemberton poprawił nerwowo binokle.

— Nie podzielam — odparł sucho — pogardy panów dla współczesnej kultury i nie rozumiem, co ma znaczyć różniczkowanie między cywilizacją w duchu materialistycznym i spirytualistycznym. Ewolucja jest jedna, i to taka, na jaką ludzkość stać w pochodzie wieków. Dlatego wnoszę toast na cześć współczesnej nam cywilizacji. Wiek XXI niech żyje!

Kilka głosów powtórzyło okrzyk, kilka rąk podniosło kieliszki ku ustom.

Leszczyc nie spełnił toastu. Odsunął niechętnie czarkę z rubinowym płynem i wyjrzał przez okno...

Pociąg mknął plażą zalaną powodzią światła księżycowego. O parę metrów od nasypu kolejowego marszczyły się w posrebrzu miesięcznym fale morza. Gdzieś daleko na horyzoncie zasuwwały się w mroki bezdni czerwone latarnie parowca, przeglądały wybrzeże w nocnej rewii olbrzymie oka śledczych reflektorów. Jakiś zabłąkany samolot przecinał podniebne przestworza równoległe do linii pociągu i rzucał w noc cichą, sierpniową sygnały rakiet, ognistych szermeli...

Leszczyc oderwał oczy od szyby, powstał i pożegnawszy milcząco towarzystwo, odszedł na prawe skrzydło wozu.

Tu było trochę ciszej. Zapuszczone abażury lamp cedziły światło ciemnoróżowe, gorące, pełne przytajeń.

Znużony zasunął się w najciemniejszy kąt, opadając ciężko na jakąś kanapkę. Był senny i jakby czymś zniechęcony.

Opodal przy tabletkę pod oknem siedziało dwoje młodych, pięknych ludzi — prawdopodobnie jakieś małżeństwo w podróży poślubnej. Dolatywały go fragmenty ściszonej rozmowy, urywki zdań, strzępy słów. Mówili językiem rycerskiej Kastylji. Leszczyc znał ten język i lubiał go niezmiernie. Co chwila uderzały o ucho jego wrażliwe, nerwowe dźwięki mocne jak stal

damasceńska, a słodkie i pieściwe zarazem jak pierś róży w dotknięciu.

— Elegida de mi corazón! ^[7] — szeptał namiętnie mężczyzna. — Dulcissima Dolores mia!

[8]

— Querido amigo mio! Mi noble, mi carissimo esposo! ^[9] — odpowiedziała seniora, opierając cudną, ciemnowłosą główkę na jego ramieniu.

I znów jechali czas jakiś w milczeniu, upojeni winem miłości, rozkochani w sobie do szalu. W jakiejś chwili chwyciła go kurczowo za rękę i wskazując na srebrzącą się za oknem roztocz fal, rzekła zmienionym głosem:

— Drogi mój! Jakżeby pięknie było teraz, w tej boskiej chwili, która już nigdy do nas nie powróci, zginąć razem tam, w tych lśniących tak zwodniczo nurtach.

Mężczyzna drgnął i popatrzył na nią z uwagą.

— Masz słuszność — odpowiedział po chwili, jak przez sen — takie pyszne, srebrne łoże... Masz słuszność — powtórzył przytomniej. — Bo czyżemy nie dosięgli już zenitu szczęścia? Niczego więcej od życia spodziewać się nie możemy.

I znów umilkli na chwilę, patrząc jak zahipnotyzowani w rozświetl morza.

Po chwili on, nie odrywając oczu od fascynującego widoku, mówił równo już, spokojnie, niemal chłodno:

— A tak niewielka już przestrzeń nas dzieli. Wystarczyłoby tylko nieznaczne, kilkumetrowe zboczenie toru na prawo, jeden rzut, jeden sprężysty skok i przepięknym łukiem paraboli pociąg zesunąłby się z relsów w topiel... Zadrzałaś, Dolores? No nie, nie! Uspokój się!

I przycisnąwszy skroń do jej skroni, szeptał słowa pociechy i ukojenia.

Leszczyc podniósł ociężałe powieki i spotkał się ze spojrzeniem jakichś ciemnych, niesamowicie w półmroku błyszczących oczu. Otrząsnął resztki senności i spojrzał uważniej. Odpowiedział mu łagodny, trochę przymglony zadumą uśmiech nieznanego mu towarzysza podróży w fantastycznym stroju mahatmów ^[10] hinduskich.

— Amenti Riszivirada — przedstawił się myśliciel znad Gangesu — tłumacz wiedzy tajemnej i sługa wielkiego Buddy ^[11] z Madrasu.

I wyciągnął doń rękę spod fałdów powłóczystej, do stóp padającej szaty wschodnich yogów

[12].

Znajomość była zawarta.

— Ci młodożeńcy z Kastylii — wszczął rozmowę Hindus — powiedzieli o sobie wielką prawdę. Istotnie doszli już do najwyższego dostępnego dla nich punktu gościńca życia i niczego więcej od przyszłości spodziewać się nie mogą. Bo też nic więcej z siebie w życie nie wniosą i wzwyż nie pójdą. Cali bowiem wypowiedzieli się w swej miłości. Przeto powinni zginąć i usunąć się z widowni świata jako ci, którzy już niczego nie pragną.

W tej chwili przesunęły się za oknami mgnieniem błyskawicy rzęsiście oświetlone zabudowania i obiekty jakiejś większej stacji; na sekundę wtargnął w głąb wagonu snop zielonego światła rzucony w przestrzeń przez reflektor jakiejś wieży, przepłynęła powódź światła od dworcowych latarni. Pociąg mijał Monaco.

Mahatma uśmiechnięty wzgardliwie wskazał ręką na znikające już w mrokach nocy miasto:

— Oto wykwit europejskiej cywilizacji i postępu.

— Osąd zbyt jednostronny, mahatmo — bronił Leszczyc. — Istnieją w Europie też rzeczy piękne i wzniosłe z ducha i dla ducha.

— Wiem — odparł lakonicznie Riszivirada — lecz przeważa cześć dla ciała i jego spraw. A według tego, co przeważa w dziele, wszak oceniamy jego charakter, nieprawdaż, przyjacielu z Lechistanu?

— No tak.

Hindus pogładził parę razy swą długą, mleczną brodę sięgającą mu niemal do pasa i mówił dalej, zajmawszy miejsce naprzeciw:

— Ci tam panowie przy stole, pańscy uczeni towarzysze z Europy, są całkiem zadowoleni z Ziemi i stanu ludzkości. Słyszałem wszystko, o czymście przed chwilą mówili.

— No — nie wszyscy — poprawił go Leszczyc — nie wszyscy jesteśmy tak dumni ze

współczesnej nam cywilizacji.

— Wiem. Pan np. i ten młody Włoch — nie.

— Jest nas więcej.

— Być może. Żle by było, gdyby było inaczej. Rzecz dziwna, jak często nauka europejska zdaje się zbliżać ku nam, dzieciom Wielkiej Tajemnicy, a przecież jak ciągle jeszcze od nas daleką. Profesor Pemberton przewiduje trafnie możliwość bliskiej katastrofy. I my ją przewidujemy, lecz nie przedstawia nam się ona w tak rozpaczliwie ponurych barwach jak zwolennikom jego poglądu. Bo choćby zginęła Ziemia, nie zginie duch jej nieśmiertelny, który odrodzi się po wiekach i znów przyoblecze się w ciało.

— A indywidualność jej mieszkańców?

— Ta również pozostanie nietkniętą. Bo wszechświat jest wieczny i z Ducha się wywodzi, lecz widzialny jest tylko w okresach. Albowiem co pewien czas wpływa fala życia na naszą planetę, przebiega ją w przeciagu przeszło 300 milionów lat i spełniwszy zadanie, przechodzi na inną. I wtedy w czasie obiegu życiorodnej fali, który zowią manvantara^[13], powstają i giną rasy ludzkie, których liczba 7. A gdy Ziemia i jej mieszkańcy ukończą rozwój swój w ciągu jednego obiegu, następuje okres spoczynku i wytchnienia, tzw. noc Ziemi, pralaya^[14], której trwanie w czasie dorównuje manvantarze.

— Kiedy osiągnie ludzkość swój najwyższy punkt rozwoju?

— Z końcem siódmego obiegu. Wtedy Duch jej uwolni się od ponownego wcielenia i spocznie na łonie Przedwiecznego. Wedle obliczeń wtajemniczonych, obecnie jesteśmy u schyłku czwartego obiegu.

— Czyli innymi słowy, że koniec Ziemi już bliski?

— W porównaniu z wiecznością — tak. Lecz jeśli się mierzy czas długością przeciętną życia ludzkiego, jeszcze daleko do czwartej pralaya. W każdym razie mamy jeszcze przed sobą kilkanaście tysięcy lat.

Leszczyc uśmiechnął się:

— Możemy więc jeszcze odetchnąć. My w każdym razie nie doczekamy się niezwyklej chwili.

Strzepnął popiół z cygara i bystro wpatrując się w posagową twarz Hindusa, zagadnął:

— Lecz zanim nadejdzie dzień czwartego rozwiązania poiw Ziemi, poprzedzą go znaki częściowe, nieprawdaż?

Czy przyjmujesz, mahatmo, możliwość entropii w mniejszym zakresie?

— Dlaczegożby nie? Pralaya częściowa jest rzeczą dowiedzioną. Sucha gałąź ginie i odpada wcześniej od pnia ni/ pa roście żywe, które jeszcze rozkwitną pęczami... Zresztą i ta pralaya może być dwojaka: albo zanikiem Chwilowym choćby na okres kilkudziesięciu milionów lat, leci z nadzieją powrotu, albo też ztratą absolutną bez możności wtórnego pojawu. Wypadek ostatni rzadki w dziejach świata, lecz możliwy; jest to sprawiedliwa kara za zleniwienie ducha, który dał się zupełnie ujarzmić ciału.

Umilkł i oparłszy rękę o parapet okna, patrzył na przesuwający się przed oczyma nocny krajobraz.

A właśnie pociąg przejeżdżał przez jakąś stację. Z poddasza peronu buchnął w szyby na sekundę zgiełk światła i zniknął.

— Mentone — objaśnił Leszczyc — ostatnia stacja Riwiery Francuskiej; za parę minut miniemy granicę i wjedziemy na terytorium włoskie.

Popatrzył na zegarek:

— 8.45. Rzecz szczególna, zdaje mi się, żeśmy znacznie spóźnieni. O tej godzinie powinniśmy już być co najmniej w San Remo, jeśli już nie w Porto Maurizio.

— Rzeczywiście. Tempo jazdy znacznie osłabło. Zauważyłem to już od godziny, obserwując widok za oknami; szczegóły krajobrazowe przesuwiają się teraz przed oczyma o wiele po wolniej niż przedtem; to, co pierwiej zlewało się w szarą, jednolitą ciągłość, teraz wyodrębnia się wyraźnie.

— Parbleu! — zaklął zbliżając się ku nim z zegarkiem w ręce jakiś Francuz. — Jeśli

będziemy tak wlekli się w dalszym ciągu, nie ujrzymy wschodu słońca w Wenecji.

— Nie ujrzycie go — potwierdził spokojnie Riszivirada, patrząc gdzieś daleko w przestrzeń. Francuz spojrział nań przez monokl ze skupioną uwagą:

— Etes-vous prophète? ^[15]

A widząc, że Hindus zdaje się go nie dostrzegać, odwrócił się na pięcie i pożegnał go z uśmiechem ironii:

— Ah, du reste — je m'en fiche. ^[16]

— Mijamy granicę — odezwał się ktoś z drugiego końca wozu.

— Bendita se tierra de Italia! ^[17] — westchnął półgłosem rozkochany Hiszpan.

— I ty bądź pozdrowion na progu ojczyzny mojej — odwdzieczył mu się patetyczny poeta Włoch.

— Wjeżdżamy na obszar przepięknej Riviera di Po-ente. Oto pierwsza większa stacja z tej strony; oto Ventimiglia.

Pociąg minął stację i pomknął dalej. Po chwili krajobraz uległ znacznej zmianie. Znać zбочono w głąb ładu, bo towarzysząca dotąd wiernie pociągowi tafla morza po prawej jego stronie teraz gdzieś znikła. Natomiast po stronie przeciwnej wydzwignęły się potężne, skalne zbocza jakichś gór...

Temperatura zewnątrz gwałtownie spadła, bo okna wozów pokryły się nagle szadzią mgły. Ktoś wrażliwszy na chłód załączył kontakt elektryczny ze systemem opornic węzowych pod ścianami.

— Corpo di Bacco! ^[18] — narzekał Rovelli. — „Infernal” dzisiaj nie podoba mi się; znów jedziemy ślimaczym krokiem.

I rzeczywiście pociąg zwolnił biegu. Jakby znużony wściekłym tempem uwertury, teraz dyszał ciężko i leniwo wspinał się na podgórski teren. Nagle rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy, zgrzyt gwałtownie hamowanych kół i pociąg stanął. Kilka głów wychyliło się z okien przedziałów, by zbadać przyczynę.

— Tam do licha! Stoimy na przestrzeni!

— Nie, nie. Jest jakiś sygnał. To gdzieś niedaleko od stacji.

— Lecz co to za stacja, do diaska?

— Chyba San Remo.

— To niemożliwe. Za wcześnie. Zresztą choćby i San Remo, dlaczego stanął? Ten pociąg ma najbliższy postój dopiero w Genui.

— Cierpliwości! Poczekamy — zobaczymy.

Leszczyc patrzył uważnie na sygnał. Świecił wyraźnie tam, w górze, po prawej stronie toru w kształcie dużej fioletowej latarni przypiętej do jednego z ramion semaforu.

— Szczególny sygnał — mruknął odwracając się ku wnętrzu przedziału i spotykając oko w oko z Rovellim:

— Widział go pan?

— Owszem. Rzeczywiście po raz pierwszy spotykam się z tego rodzaju znakiem kolejowym. Co za barwa! Dotąd słyszałem, że używa się do sygnalizacji koloru zielonego, czerwonego, niebieskiego lub zwykłego białego — lecz co ma oznaczać fioletowy — nie mam pojęcia.

— Panie konduktorze — zapytał ktoś przebiegającego mimo wozu funkcjonariusza — co znaczy ten sygnał?

— A licho go wie — odparł roztargniony kolejarz i pomknął ku przodowi pociągu.

— Ładna historia — zrzędził Pemberton. — Sama służba nie rozumie sygnałów. Obawiam się, czyśmy nie wpadli w jakąś kabałę. Może by tak wysiąść i poinformować się tam na przodzie u maszynisty?

— Wysiadać, wysiadać! — odezwało się kilkanaście głosów zewnątrz.

— Kto tam woła?

Odpowiedział gwar tłumu pod oknami. Widocznie pasażerowie gromadnie opuszczali wagony.

— A więc wysiadajmy!

W minucie wozy opustoszały zupełnie. Wszyscy pchani jedną myślą podążyli w stronę stacji. Na zboczach nasypu czerniły się przy fiołkowym świetle sygnału wydłużone sylwety mężczyzn, kobiet i dzieci. Przed chwilą gwarni jeszcze i podnieceni, teraz szli cicho jakoś i spokojnie, krokiem równym, nie spiesząc zbytnio...

Leszczyc uczył czyjaś dłoń na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał poważną twarz mahatmy.

— Przyjacielu z Lechistanu, teraz trzymaj się mego boku.

Profesora zdumiał trochę ton, lecz że uczonego jogi był mu sympatyczny, więc ująwszy go po przyjacielsku pod ramię, odpowiedział:

— Z całą przyjemnością, mahatmo.

Przechodząc mimo maszyny, chciał zasięgnąć języka, lecz już maszynisty nie było; idąc za przykładem innych, zostawił pociąg na łasce Opatrzności i poszedł ku stacji.

— Nia ma rady — musimy i my pójść w tę stronę. Lecz co to za stacja, do kroćset?

— Wkrótce zaspokoisz swą niewczesną ciekawość — zapewnił Riszivirada.

Jakoż o kilkadziesiąt metrów za semaforem zarysowały się kontury budynku.

— Tam do diaska! — zaklął Leszczyc, mijając ostatnie zwrotnice. — Tu wszystko utrzymane w jednym kolorze. Patrz, mahatmo! Wszystkie stawidła śródtorowe oświetlone fiołkowo. Ale bo i stacja cała tonie w tejże barwie; ani jedna lampa nie oszklona zwykłym, białym kloszem; wszystkie sięją to upiorne, fiołkowe światło.

— Stacja: Buon Ritiro — zabrzmiał za ich plecami głos Rovellego.

— Aha, istotnie — zdumiał się Leszczyc, odczytując napis na przyczole podsienia peronowego. — To niby tyle co po polsku Ustroń. Piękna nazwa. Lecz skąd się wzięła na tym szlaku?

— I ja jej sobie w żaden sposób przypomnieć nie mogę, chociaż jako urodzony Genuńczyk znam te strony dokładnie.

— W moim rozkładzie jazdy też jej nie znalazłem.

— Zagadki, panowie, same zagadki.

Podeszli do grupy konduktorów opieszale wałęsających się po peronie.

— Dlaczego nie jedziemy dalej? Co spowodowało przerwę w ruchu?

Popatrzyli na pytających zdumieni, jakby nie rozumiejąc, o co właściwie idzie.

— A po cóż jechać dalej? — zdobył się wreszcie na odpowiedź jeden rezolutniejszy. — Albo nam tu źle? Spokój, cisza jak w raju.

— Istny przytułek, jak Boga mego kocham — unosił się drugi.

— I dlatego zapewne pogasili już wasze latarki, jedyne szkła w tym dziwnym miejscu, które jeszcze przepuszczały światło białe?

Odpowiedzieli dobrodusznym uśmiechem:

— A juści zapewne dlatego. Po co miały się kłócić z barwą, która tu panuje? Zresztą teraz one nam już niepotrzebne. I tak nie pojedziemy dalej.

— Ludzie! — krzyknął przyprowadzony już do pasji Leszczyc. — Czyście powariowali? Co to wszystko znaczy?

Riszivirada ujął go łagodnie pod ramię, odciągając na bok:

— Kochany profesorze, próżny twój gniew. Czyż nie widzisz, że prócz nas tu trzech nikt nie zdaje się być oburzonym na obecny stan rzeczy? Czyż nie widzisz, że wszyscy wyglądają na zupełnie zadowolonych? Więc jakżeż dziwić się tym dobrym i prostym ludziom?

Leszczyc mimo woli rozglądął się dokoła. Wtem rozbłysły zewsząd jakby tysiące nowych światel i obrzuciły fiołkową powodzią dotąd w półmroku ukrytą okolicę.

Uczonego i poeta mimo woli wydali okrzyk zachwyty. Bo też cudnie groźny przedstawił im się widok. Przestrzeń kolejowa, na której odpoczywał „Infernal”, była wąskim parowem wciśniętym pomiędzy dwie pierzeje prostopadłych niemal, dziko nawisłych skalnych ścian, strzelających w niebo na jakie 3000 metrów. Do stóp jednego z tych olbrzymów przywarł dworzec Buon Ritiro. Przywarł poddańczo i jakby z cichą rezygnacją zdjętego śmiertelną trwogą dziecka. Wyskakujące ze zbocza góry dwa okrutne wiszary, dwie drapieżne łapy tytana zaciążyły nad stacją,

grożąc bezwzględną zagładą.

Od tych to prostopadłych ścian uderzył nagle ów dziwny fioletowy blask, który przepoił sobą wszystko. Skały Ustroni fosforyzowały.

Przy tym upiornie pięknym świetle ujrzał Leszczyc twarze towarzyszy podróży.

Były dziwnie spokojne i senne. Niedawno jeszcze tak natarczywie dopytujący się o przyczynę zatrzymania pociągu, pełni życia i zainteresowania ludzie teraz jakby zobojętnieli na wszystko. W ruchach powolni, ospali, snuli się pojedynczo lub grupami po torze przed stacją, przechadzali znużonym krokiem po peronie lub wyczerpani, bezsilni opadali na ławki. Kobiety z dziećmi schroniły się do poczekalni i zdawały się gotować na nocny spoczynek. Nikt nie myślał o dalszej podróży. Jakby wskutek tajemniczego porozumienia nie rozmawiano ze sobą prawie zupełnie. Pasażerowie milcząc wymijali się wzajemnie i jakby unikali spojrzenia sobie w oczy.

— Gdzie funkcjonariusze tej dziwnej stacji? — przerwał milczenie Rovelli. — Chodźmy do naczelnika. Może on nam coś wyjaśni. Tu wszyscy błąkają się jak cienie.

— A chodźmy — ożywił się Leszczyc, otrząsając się ze szczególnej zadumy, która go opanowała.

— Próżny trud — usiłował wstrzymać ich Riszivirada.

Lecz nie dali się odwieść od postanowienia i poszli do urzędu ruchu. Zastali pusty pokój z parą nieczynnych aparatów na stole. Nawinął się im znajomy konduktor z „Infernalu”.

— Panie — zaczął go niecierpliwie Leszczyc — gdzie naczelnik tej stacji?

— Tu nie ma żadnego naczelnika.

— Co?! Kpisz pan sobie?

— Broń Boże. Szukaliśmy, lecz nie ma żadnego urzędnika na stacji. W ogóle w chwili naszego przybycia nie było na dworcu ani jednej żywej duszy.

— A dróżnicy, a blokowy?

— Absolutnie nie ma nikogo ze służby prócz naszych z „Infernalu”.

— Więc kto utrzymuje stację w porządku, kto powywieszał sygnały, kto pozapalał te przeklęte fioletowe światła?

Konduktor wzruszył ramionami:

— Akurat tyle wiem, co i pan. Dobranoc panom, idę spać.

I ziewnąwszy szeroko, położył się na jednej z ławek. Towarzysze jego już go w tym uprzedzili. Cały personal „Infernalu” położył się już przed chwilą pokotem na podłodze peronowej werandy i podwinąwszy szynele pod głowy, zasnął spokojnie jak po ukończeniu tury.

— Mam wrażenie — zauważył Rovelli, zawracając z towarzyszem w stronę, gdzie spodziewali się zastać mahatnę — że atmosfera stacji działa jak silny narkotyk.

— Zdaje się to przeklęte fiołkowe światło. Patrz pan, ono ma istotnie zdumiewające właściwości; przenika ciało na wskroś, przechodzi przez tkanki jak promienie Roentgena.

— Rzeczywiście. Fenomenalny objaw! Kilku wałęsających się jeszcze po przestrzeni osobników przeświecła na wylot: dostrzegam stąd wyraźnie zarysy ich szkieletów. Lecz i ci mają, już dość przechadzki i ustępują z pola.

Jakoż schodzili z toru, kryjąc się w podsienia peronu.

— Patrz pan! — zawołał półgłosem Leszczyc. — Czy to nie sir Pemberton?

— Ależ tak — to on. Lecz w jakimże opłakanym stanie! Ledwie trzyma się na nogach. Ten drugi obok, nie tęższy — to prawdopodobnie dziennikarz Boerhaven.

Tymczasem obaj mężczyźni zbliżyli się ku nim. Pemberton mruczał sennym głosem:

— I am much tired! Śmiertelnie znużony! O yes, panowie! Where is my sleeping-room? My sleeping-room ^[19] — powtórzył żałośnie i zwali się bez pamięci między szyny, pociągając za sobą towarzysza...

Wkrótce cała stacja wyglądała jak jedna wielka sypialnia; ludzie spali, gdzie kto mógł: na krzesłach, na ławkach, na podłodze; kilku zmorzył sen w postawie stojącej wspartych o balaski, kilku leżało na przestrzeni między torami, na szynach, na zboczach nawierzchni. A na to obozowisko ludzi pogrążonych w jakiejś potwornej zbiorowej narkozie zlewały z góry milczące turnie i krzesanice światło łagodne, kojące, ciemnofiołkowe...

Nie wiadomo skąd nagle przypomniały się Leszczycowi słowa złowieszczej modlitwy pierwszej osoby Prologu z Kordiana Słowackiego:

Boże! Ześlij na lud Twój wyniszczony bojem
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy. Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios
tęczy. Niech się we łzach nie budzi przed dniem Zmartwychwstania...

— Zgubne światło — wyszeptał Rovelli, chwytając mocno za rękę Leszczyca. — Chodź pan stąd! Mnie tu coś mrozem ścina. No, chodźże już pan!

— Dokąd mam iść? Drogi przecież nie znamy. Okolicę tę oglądam po raz pierwszy w życiu.

— Ja również. Lecz liczę na mahatmę. On ma instynkt człowieka pierwotnego. Prócz nas dwóch on trzeci, który tutaj czuwa. Patrz pan, daje nam znaki.

Jakoż Hindus czekał na nich od chwili już z niecierpliwością. Postać jego szlachetna, wysmukła wyglądała teraz jakby wyższa jeszcze, jakby nadludzko wyniosła. Z daleka już wzywał ich za sobą gwałtownym ruchem rąk.

Gdy go nareszcie dogonili w drodze, rzekł, nie przestając iść w obranym kierunku:

— Nie mamy ani chwili do stracenia. Muszę was czym prędzej wyprowadzić poza obręb działania światła.

Więc szli dalej w milczeniu na wschód od zagadkowej stacji jakąś ciasną, skalną gardzielią. W pewnym miejscu nagle tor skończył się i przeszedł w wąską śródgórską ścieżynę.

— Teraz możecie na chwilę obrócić się — przemówił pierwszy Riszivirada, opierając się o wystający upłaz.

Towarzysze skwapliwie skorzystali z pozwolenia. Wtedy w dalekiej perspektywie ujrzeli po raz ostatni stację Buon Ritiro, a hen, głębiej jeszcze, poza nią czerniejący kontur „Infernalu”...

Wtem z fosforyzujących granitów zaczęły wywiązywać się gęste fioletowe mgły i w potężnych kłębach staczać na dworzec i przestrzeń. Wykwitały z najeżonych iglicami wir-chów, z wysłanych piargami żlebów, rozpadlin, przełęczy i poskręcane w potworne tuleje spadały lawiną w dół. Wkrótce pokryły sobą wszystko. We fioletowym wężowisku chmur zniknęła bezpowrotnie stacja, zmartwiały pociąg i śpiący podróżnicy...

— Koniec już — rzekł półgłosem Hindus. — A nam czas w drogę. Za 3 godziny ujrzemy brzask.

I nic już nie mówiąc do siebie, ruszyli dalej na wschód...

Dzienniki europejskie z dnia 30 sierpnia i następnych r. 2345 przyniosły sensacyjną wiadomość o tajemniczym zniknięciu pociągu „Infernal Méditerrané nr 2”, który opuścił Barcelonę d. 23 sierpnia o g. 6.10 wieczorem. Ostatnią stacją, która jeszcze sygnalizowała jego przejazd o g. 9.15 w nocy, była włoska Ventimiglia. Jakie były dalsze losy pociągu i jego pasażerów, nie wiadomo. W każdym razie w San Remo ani tej nocy, ani następnych już go nie widziano. Lecz katastrofa była wykluczona; na linii nigdzie nie znaleziono najlżejszej poszlaki, która by usprawiedliwiała podobny domysł. Wszelkie poszukiwania i dochodzenia spełzły na niczym. „Infernal” zniknął bez śladu w sposób nie wytłumaczony gdzieś na przestrzeni między Ventimiglia a San Remo.

Objaśnienia:

[1] „Infernal Méditerrané” (fr.) — „Piekielny Śródziemnomorski

[2] Bravo toro! Tren diabolico! Viva bestia de inferno! (hiszp.) — Wspaniały byk!
Diabelski pociąg! Niech żyje piekielna bestia!

[3] „The International Sportsman” (ang.) — „Międzynarodowy Sportowiec”

[4] The International Mediterranean Railway-Association” (ang.) — „Międzynarodowe Towarzystwo Kolei Śródziemnomorskiej”

[5] danze appassionate (wł.) — namiętne tańce aria z Picadora — chodzi tu zapewne o kuplety toreadora z opery Carmen Bizeta

[6] entropia (gr.) — wielkość fizyczna, charakterystyczna dla określonych zjawisk. Jej

wzrost oznacza rozproszenie energii aż do stanu całkowitego wyrównania i ostatecznego zaniku.

[7] Elegida de mi corazón! (hiszp.) — Wybranko mojego serca!

[8] Dulcissima Dolores mia! (hiszp.) — Najśodsza moja Dolores!

[9] Querido amigo mio! Mi noble, mi carissimo esposo! (hiszp.) — Ukochany mój przyjacielu! Mój szlachetny, najdroższy małżonku!

[10] mahatma (sansk.) — znawca wiedzy tajemnej, wtajemniczony

[11] Buddha (sansk.) — Oświecony. Przydomek Siddharty Gautamy (ok. 160-480 r. p.n.e.), twórcy systemu religijnego zw. buddyzmem

[12] joga (właśc. jog, jogin — sanskr.) — wyznawca hinduskiego systemu religijno-filozoficznego — jogi — który wypracował praktyki ascetyczno-mistyczne, mające na celu osiągnięcie doskonałości duchowej, a tym samym zbawienia

[13] manvantara (sansk.) — okres obiegu życiorodnej fali kosmicznej, w którego czasie rozwija się na ziemi życie

[14] pralaya (sansk.) — noc Ziemi; okres spoczynku, w którym wszelkie życie zamiera

[15] Etes-vous prophète (fr.) — Czy pan jest wieszczem (prorokiem)?

[16] Ah, du reste — je m'en fiche (fr.) — Zresztą kpię sobie z tego.

[17] Bendita se tierra de Italia! (hiszp.) — Błogosławioną niech będzie Italia!

[18] Corpo di Bacco! (wł.) — Do diabła!

[19] I am much tired!... (ang.) — Jestem bardzo zmęczony! [...] O tak [...] Gdzie jest moja sypialnia? Moja sypialnia

Błądny pociąg

Na dworcu w Horsku panował gorączkowy ruch. Czas był przedświąteczny, w perspektywie parę dni wolnych od pracy, pora wymarzona. Peron mrowił się od przyjezdnych i wyjeżdżających. Migwały podniecone twarzyczki kobiet, wiły się barwne wstążki kapeluszy, pstrzyły szale podróżne; tu przeciskał się wśród tłumu smukły cylinder wytwornego pana, tam zaczerniał sutanną duchowny; ówdzie pod arkadami siniały poprzez ciżbę kolety wojskowych, obok szarzały robotnicze bluzy.

Wrzało bujne życie i Ujęte w zbyt ciasne ramy dworca przelewało się z szumem poza jego brzegi. Chaotyczny gwar pasażerów, nawoływania tragarzy, gwizd świstawek, szum wypuszczanej pary zlewały się w zawrotną symfonię, w której traciło się siebie, oddawało zmalą, ogłuszoną jaźń na fale potężnego żywiołu, by niósł, kołysał, odurzał...

Służba pracowała intensywnie. Co chwila wynurzały się wśród zgiełku to tu, to tam czerwone kepi urzędników ruchu wydających rozkazy, usuwających z toru roztargnionych, przeprowadzających bystrym i czujnym okiem pociągi w chwili odjazdu. Konduktorzy uwijali się bez przerwy, przebiegając nerwowym krokiem długie pierzeje wagonów; blokmiestrze — piloci stacji — spełniali instrukcje krótkie a sprawne jak trąbki — hasła odlotu. Wszystko szło w tempie różnym, odmierzonym na minuty, sekundy — wszystkich oczy odruchowo kontrolowały czas na podwójnej białej tarczy zegara tam w górze.

Mimo to spokojny widz, stanąwszy na uboczu, doznałby po krótkiej obserwacji sprzecznego z pozornym porządkiem rzeczy wrażenia.

Coś jakby wkradło się w unormowany przepisami i tradycją bieg czynności; jakaś nieokreślona, choć ważka zawada stanęła w poprzek regularności uświęconej ruchu.

Znać to było w nerwowych nadzwyczaj gestach ludzi, niespokojnych rzutach oczu, wyczekującym czegoś wyrazie twarzy. Coś się popsuło we wzorowym dotąd organizmie. Jakiś niezdrowy, niesamowity prąd krążył po jego rozgałęzionych stokrotnie arteriach i przesiąkał na powierzchnię w półświadomych wybłyskach.

Gorliwość kolejarzy cechowała widoczna chęć przewyciężenia tajemnej rozterki, która wnąciła się ukradkiem w wyborny mechanizm. Każdy dwoił się i troił, by gwałtem przyduścić denerwującą zmore, utrzymać wymarzoną do automatyzmu sforność pracy, żmudną, lecz bezpieczną równowagę funkcji.

Była to przecież ich dziedzina, ich „rejon” uprawiany od wielu lat pilnej praktyki, teren, który, zdawało się, znali par excellence na wylot. Byli przecież przedstawicielami tej kategorii

pracy, tego zakresu czynności życiowych, gdzie dla nich, wtajemniczonych, nic nie winno było pozostać niejasnym, gdzie ich, reprezentantów, jedynych wykładników całej skomplikowanej sieci zajęć, nie mogła, nie powinna była zaskoczyć jakakolwiek zagadka. Wszakże wszystko od lat obliczone, zważone, odmierzone — wszakże wszystko, choć złożone, nie przekraczało ludzkich pojęć — wszakże wszędzie dokładność umiaru bez niespodzianek, regularność powtarzających się zajęć, obliczonych i z góry!

Poczuwali się tedy niejako do solidarnej odpowiedzialności wobec zwartej masy podróżnych, którym należało zapewnić spokój i bezpieczeństwo zupełne.

Tymczasem wewnętrzna ich rozterka udzielała się publiczności i płynąc od nich falą zdenerwowania, rozwodziła się w nieokreślone prądy nurtujące pasażerów.

Gdyby przynajmniej chodziło o tzw. „przypadek”, którego wprawdzie nie można przewidzieć, lecz który daje się potem, po momencie spełnienia wydedukować z tego, co poprzedzało — zapewne wobec przypadku, i oni, zawodowcy, stawali bezradni, choć nie zrozpaczeni. Lecz tutaj chodziło o coś zupełnie innego.

Zaszło coś nieobliczalnego jak chimera, kapryśnego jak szaleństwo, i przekreśliło za jednym zamachem prastary układ zdarzeń.

Więc wstyd im było przed sobą i przed innymi poza obrębem zawodu.

W obecnej chwili szło tedy przede wszystkim o to, by się „sprawa” nie rozeszła, by się „szeroka publiczność” nie dowiedziała; należało dołożyć wszelkich możliwych starań, by „dziwaczna historia” nie nabrała rozgłosu w dziennikach, by uniknąć za wszelką cenę „skandalu”.

Dotąd jakoś rzecz pozostała w ścisłej tajemnicy, zatrzymana cudem w wyłącznym obrębie dotyczącego środowiska. Przedziwna iście solidarność połączyła tych ludzi w wyjątkowym wypadku: milczeli. Tylko wymowne spojrzenia oczu, specjalne gesty i gra słów dobranych ułatwiały porozumienie. Dotąd „publiczność” nie wiedziała o niczym. Lecz już niepokój służby, nerwica funkcjonariuszy przenosiła się z wolna i na nią, przygotowując glebę podatną pod zasiew „zmory”.

A „sprawa” była istotnie dziwaczną i zagadkową. Od pewnego czasu pojawił się na liniach kolei państwowych jakiś pociąg nie objęty powszechnie znanym rejestrem, nie wciągnięty w poczet kursujących parowozów, słowem, intruz bez patentu i aprobaty. Nie zdołano nawet określić, do jakiej należał kategorii i z jakiej wyszedł fabryki, gdyż momentalnie krótki przeciąg czasu, przez jaki dawał się za każdym pojawieniem obserwować, uniemożliwiał jakkolwiek w tym względzie orientację. W każdym razie, wnosząc z nieprawdopodobnej wprost chyżości, z jaką przesuwiał się przed oczyma zdumionych widzów, musiał zajmować bardzo wysoki stopień w skali pojazdów: był to pociąg co najmniej błyskawiczny.

Lecz rzeczą najbardziej niepokojącą była jego nieobliczalność. Intruz pojawiał się to tu, to tam, nadchodził nagle ni stąd, ni zowąd, skądś z odległej przestrzeni linii kolejowej, przelatywał z szatańskim szumem po torach i znikał w dali; dziś widziano go koło stacji M., nazajutrz wyłonił się gdzieś w czystym polu poza miastem W., w parę dni później przeszybował z oślepiającym tupetem koło budki dróżnika w okolicy przystanku G.

Zrazu myślano, że szalony pociąg należy do istniejącego etatu i tylko opieszałość lub pomyłka urzędników ruchu nie zdołała dotąd stwierdzić jego tożsamości. Zaczęły się więc dochodzenia, sygnalizacje bez końca, wzajemne porozumiewania się stacji — wszystko bez skutku: intruz po prostu drwił sobie z wysiłków funkcjonariuszy, wynurzając się zwykle tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Szczególnie przygnębiająco działała okoliczność, że nigdzie go nie można było przyłapać, nigdzie dopaść ni zatrzymać. Urządzony kilkakrotnie w tym celu pościg na jednej z najwyborniejszych maszyn, uznanej w całym tego słowa znaczeniu za ostatni wyraz współczesnej techniki, zrobił ohydne fiasko; niesamowity pociąg wziął rekord bez zajaknienia.

Wtedy zaczęła ludzi ogarniać przesądna obawa i głucha, tłumiona strachem wściekłość. Rzecz bowiem istotnie niesłychana! Od lat szeregu kursowały wozy według wytkniętego z góry planu, który układano w dyrekcjach, zatwierdzano w ministeriach, realizowano w ruchu — od lat wszystko można było obliczyć, mniej więcej przewidzieć, a gdy zaszła jakaś „pomyłka” lub

„przeoczenie”, te naprawić, logicznie wytłumaczyć — aż tu nagle nieproszony gość wślizguje się na tory, psuje porządek, wywraca na nice regulamin, wnosi w zgrany organizm zaczyn nieładu i rozstroju!

Całe szczęście, że dotąd natręt nie spowodował żadnej katastrofy. Był to w ogóle szczegół, który zastanawiał od samego początku. Zawsze jakoś przestrzeń, na której się wynurzał, była w danej chwili wolną; szalenie dotąd nie wywołał zderzenia. Lecz mogło to nastąpić lada dzień, tym bardziej że z wolna zaczął zdradzać w tym kierunku pewną inklinację. Po jakimś czasie skonstatowano z przerażeniem w jego ruchach pewną dążność do wejścia w bliższy kontakt z regularnie kursującymi towarzyszami. O ile zrazu zdawał się unikać bliskiego ich sąsiedztwa, pojawiając się zawsze w znacznej odległości za lub przed, obecnie wyrastał na szynach po upływie coraz to krótszych odstępów czasu za plecyma poprzedników. Raz już przemknął obok ekspresu w drodze do O., tydzień temu ledwo wyminął osobowy na przestrzeni między S. a F., onegdaj cudem tylko skrzyżował się szczęśliwie z pospiesznym z W.

Drżeli naczelnicy stacji na wiadomość o tych wyjątkowych wyminięciach, które należało zawdzięczać li tylko podwójnej wstędze torów i przytomności maszynistów. Podobnie „cudowne ocalenia” zaczęły w ostatnich czasach zdarzać się coraz częściej, przy czym szansę szczęśliwego wyjścia ze spotkania widocznie malały z dniem każdym.

Intruz z roli ściganego przeszedł w czynną, pchany jakby magnetycznym popędem do tego, co regularne i w normę ujęte, zaczął grozić bezpośrednią destrukcją starego spraw porządku. Historia mogła lada dzień skończyć się tragicznie.

Toteż i kierownik ruchu w Horsku od miesiąca wiódł życie nad wyraz przykre. W ciągłej obawie przed niepożądaną wizytą czuwał prawie bez przerwy, nie opuszczając dniem i nocą posterunku, który mu powierzono niespełna od roku w dowód uznania „jego energii i niezwyklej sprężystości”. A placówka była ważna, bo na stacji w Horsku przecinało się parę zasadniczych linii kolejowych i ogniskował ruch całej połaci kraju.

Dzisiaj zwłaszcza, wobec niebywałego napływu gości, praca w podobnie naprężonej sytuacji była nader uciążliwa.

Zapadał powoli wieczór. Rozbłysły światła lamp elektrycznych, rzuciły potężne swe projekcje reflektory. W zielonych ogniach zwrotnic szyny lśnić zaczęły ponurometalicznym połyskiem, giąć się zimnymi wstęgami żelaznych węży. Gdzieś w pomroce zapęłgotał nikły kaganek konduktora, błysnął sygnał dróżnika. W dali, hen, hen za dworcem, tam gdzie już gasną szmaragdowe oczy latarń kreślił nocne swe znaki stacyjny semafor.

Oto właśnie wychodząc z poziomu zatoczył kąt 45° i ustawił się w linii ukośnej: szedł pociąg osobowy z Brzeska.

Już słyhać zdyszany oddech lokomotywy, miarowy gruchot kół, już widać jasnożółte okulary na przedzie.

Wtoczył się na stację... :

Z otwartych okien wychylają się złote loki dzieci, ciekawe twarze kobiet, powiewają przywitalne chusty...

Ława czekających na peronie posuwa się gwałtownie ku wagonom, wyciągnięte ramiona dążą obustronnie ku spotkaniu...

Co to za hałas tam z prawej?! Przeróżliwe gwizdy świstawek rozdzierają powietrze. Naczelnik krzyczy coś ochrypłym, dzikim głosem.

— Precz! Cofnąć się, uciekajcie! Puść kontrparę! Wstecz! Wstecz!... Nieszczęście!!

Tłum rzuca się zwartym naporem ku balaskom i łamie je... Obląkane oczy instynktownie patrzą w prawo, gdzie służba wyległa, i widzą spazmatyczne, bezcelowo wściekłe wibracje latarek usiłujących zawrócić pociąg jakiś, który; całym rozmachem najeżdża z przeciwnej strony torem zajęty przez osobowy z Brzeska. Wichurę gwizdów przeryniają rozpaczliwe odezwy trąbek i piekielna wrzawa ludzi. Nadaremnie. Nieoczekiwany parowóz zbliża się z zawrotną chyżością; olbrzymie, zielone ślepie maszyny roztrącają ciemność upiornym spojrzeniem, potężne tłoki obracają się z bajeczną, opętaną sprawnością...

Z tysiąca piersi wyrzywa się okropną trwogą, bezdenną paniką nabrzmiały okrzyk:

— To on! Obląkany pociąg! Szaleniec! Na ziemię! Ratunku! Na ziemię! Giniemy! Ratunku! Giniemy!

Jakaś gigantyczna, szara masa przelatuje nad pokotem ciał, popielata, mglista masa z wykrojami okien na przestrzał — czuć wicher szatańskiego przeciągu, wiejący z tych otwartych nor, słyhać łopot rozwianych szaleńczo żaluzji, znać widmowe twarze pasażerów...

Wtem dzieje się coś dziwnego. Obląkany pociąg zamiast zdruzgotać osiągniętego już drapieźnie towarzysza, przechodzi przezeń jak mgła; przez chwilę widać, jak przesuwają się przez siebie dwie pierzeje wozów, ocierają bezgłośnie ściany wagonów, przenikają w paradoksalnej osmozie tryby i osie kół — jeszcze sekunda i intruz, przesiąknięty z błyskawiczną furią przez stały organizm pociągu, szczeza i rozwiewa się po drugiej stronie gdzieś w polu. Ucichło...

Na torze przed stacją stoi spokojnie nienaruszony osobowy z Brzeska. Wkoło cisza bez kresu, bez dna. Tylko od łąk, tam w dali, idzie ściszony poświerk koników, tylko po drutach, tam w górze, płynie mrukliwa gawęda telegrafu...

Ludzie z peronu, służba, urzędnicy przecierają ze snu oczy i spoglądają po sobie zdumieni: Prawda li to czy zły majak?

Powoli wszystkich spojrzenia, wiedzione wspólnym impulsem, skupiają się na pociągu z Brzeska. — Stoi wciąż głuchy i milczący. Tylko wewnątrz zapalone lampy płoną równym, spokojnym światłem, tylko w otwartych oknach igra lekko wietrzyk firankami...

We wozach grobowa cisza; nikt nie wysiada, nikt nie wychyla się z wnętrza. Przez oświetlone czworokąty okien widać pasażerów: mężczyzn, kobiety i dzieci; wszyscy cali, nie uszkodzeni — nikt nie doznał najlżejszej kontuzji. Lecz stan ich dziwnie zagadkowy...

Wszyscy w postawie stojącej, twarzami w kierunku, gdzie zniknął upiorny parowóz; jakaś siła okropna zakłęta tych ludzi w jedną stronę i trzyma w niemym osłupieniu; jakiś prąd silny przeorał zbiorowisko dusz i spolaryzował na jedną modłę; wyciągnięte naprzód ręce wskazują cel jakiś nieznany, cel pewnie daleki — podane przed się ciała, pochylone torsy w dal dążą zawrotną, w odległą gdzieś, mglistą krainę — a oczy... zeszkłone opętańczą trwogą i... zachwytem oczy toną w przestrzeni bez krańców...

Tak stoją i milczą; mięśnie nie zadrgnie, nie spadnie powieka. Tak stoją i milczą...

Bo przeszedł przez nich powiew przedziwny, bo tknęło ich wielkie ocknienie, bo byli to już ludzie... obląkani...

Wtem zabrzmiały dźwięki mocne i znane, w codzienność bezpieczną spowite — udary jędrne jak serce, gdy o pierś zdrową łomoce — miarowe dźwięki nawyku, od lat to samo głoszące...

— Bimbam... i przerwa — bimbam... bimbam...

Sygnały szły...

Ślepy tor

W pociągu osobowym zmierzającym późną jesienną porą do Gronia ścisk był ogromny; przedziały pozapełniane po brzegi, atmosfera parna, gorąca. Z braku miejsca zatarły się różnice klas, siedziano i stano, gdzie się udało, prawem prastarego kaduka. Nad chaosem głów paliły się lampy mdłym, przyćmionym światłem, które spływało z pułapów wagonowych na twarze znużone, profile wymięte. Dym tytoniu unosił się kwaśnym wyziewem, wyciągał pod długie, siwawy sznur w korytarzach, kłębił tumanami w czeluściach okien. Jednostajny łomot kół nastrajał nasennie, przytwardzał monotonnym stukaniem drzemocie, która rozpanoszyła się po wozach. Tak-tak-tak... Tak-tak-tak...

Tylko jeden z przedziałów klasy III, w piątym wozie od końca, nie poddawał się ogólnemu nastrojowi; zespół gwarny tu był, rześki, ożywiony. Uwagę podróżnych opanował wyłącznie mały, garbaty człowieczek w mundurze kolejarza niższego typu, który opowiadał coś z przejęciem, podkreślając słowa gestykulacją barwną i plastyczną. Skupieni wkoło słuchacze nie spuszczaali zeń oczu; niektórzy powstali z miejsc dalszych i zbliżyli się do ławki środkowej, by lepiej słyszeć; paru ciekawych wychyliło głowy przez drzwi od sąsiedniego przedziału.

Kolejarz mówił. W wypłowiwałym świetle lampy, drgającej w podrzutach wozu, poruszała się głowa jego duża, niekształna, w wichurze siwych włosów, taktem dziwacznym. Szeroka twarz

załamana nieregularnie na linii nosa to bladła, to nabiegała purpurą w rytm krwi burzliwy: wyłączna, jedyna, zacięta twarz fanatyka. Oczy ślizgające się w roztargnieniu po obecnych gorzały żarem myśli upartej, od lat syconej. A jednak człowiek ten miewał momenty piękne. Chwilami, zdawało się, znikał garb i szpetota rysów, a oczy nabierały szafirowego blasku, pijane natchnieniem, i postać karła tchnęła szlachetnym, porywającym za sobą zapachem. Za chwilę przeobrażenie gasło, rozwadniało się i w gronie słuchaczy siedział tylko zajmujący, lecz potwornie brzydki narrator w kolejowej bluzie.

Profesor Ryszpans, chudy, wysoki pan w jasnopopielatym kostiumie, z monoklem w oku, przechodząc dyskretnie przez zasłuchany przedział, nagle zatrzymał się i spojrzał uważnie na mówiącego. Coś go zastanowiło; jakiś zwrot wyrzucony z ust garbusa przykuł go na miejscu. Oparł się łokciem o żelazną sztabę przegródki, zacisnął monokl i słuchał.

— Tak, moi państwo — mówił kolejarz — w ostatnich czasach istotnie zagęszczają się zagadkowe zdarzenia w życiu kolejowym. Wszystko to zdaje się mieć swój cel, zmierza ku czemuś, oczywiście, z nieubłaganą konsekwencją.

Zamilkł na chwilę, zdmuchnął popiół z fajeczki i zagadnął:

— A o „wagonie śmiechu” nie słyszał nikt z szanownych gości?

— Istotnie — wmieszał się profesor — czytałem przed rokiem coś o tym w gazetach, lecz pobieżnie i nie przypisując rzeczy żadnej uwagi; historia zakrawała na dziennikarską plotkę. — Gdzie tam, łaskawy panie! — zaprzeczył namiętnie kolejarz, zwracając się w stronę nowego słuchacza. — Ładna mi plotka! Prawda oczywista, fakt stwierdzony zeznaniami naocznych świadków. Rozmawiałem z ludźmi, którzy sami tym wagonem jechali. Odchorowali jazdę po tygodniu każdy.

— Proszę opowiedzieć nam dokładniej — odezwało się parę głosów — ciekawa historia!

— Nie tyle ciekawa, ile wesoła — poprawił karzeł, potrząsając lwią swą czupryną. — Oto krótko i węzłowato wncił się rok temu pomiędzy solidnych i poważnych towarzyszy jakiś krotochwilny wagon i grasował przez dwa tygodnie z górą po liniach kolejowych ku uciesze i utrapieniu ludzi. Krotochwilność bowiem była podejrzanej natury i czasami wyglądała na złośliwość. Ktokolwiek wszedł do wozu, wpadał od razu w nader pogodny nastrój, który niebawem przechodził w wybujałą wesołość. Jakby po zażyciu gazu rozweselającego ludzie wybuchali śmiechem bez żadnego powodu, trzymali się za brzuchy, gięli do ziemi w potokach łez; w końcu śmiech przybierał groźny charakter paroksyzmu: pasażerowie ze łzami demonicznej radości wili się w konwulsjach bez wyjścia, jak opętani rzucali się po ścianach i rechocząc jak stado bydła, toczyli z ust pianę. Co parę stacji trzeba było wynosić z wozu po kilku tych nieszczęśliwych szczęśliwców, gdyż zachodziła obawa, że w przeciwnym razie po prostu pękną od śmiechu.

— Jakże reagowały na to organa kolejowe? — zapytał, korzystając z przerwy, krępy, o energicznym profilu inżynier Zniesławski.

— Zrazu sądzili ci panowie, że wchodzi w grę jakaś zaraza psychiczna, która z jednego gościa przenosiła się na innych. Lecz gdy podobne wypadki zaczęły się powtarzać Codziennie i zawsze w tym samym wozie, wpadł jeden z lekarzy kolejowych na genialny koncept. Przypuszczając, że w wagonie tkwi gdzieś lasecznik śmiechu, który ochrzcił naprędce imieniem bacillus ridiculentus lub też bacillus gelasticus primitivus, poddał zapowietrzony wóz bezzwłocznej dezynfekcji.

— Cha, cha, cha! — huknął nad uchem niezrównanego causeura zawodowo interesowany sąsiad, jakiś lekarz z W. — Ciekaw jestem, jakiego też użył środka odkażającego: lizolu czy karbolu?

— Pomylił się szanowny pan; żadnego z wymienionych.

Oblano nieszczęsny wagon od dachu po szyny specjalnym przetworem wynalezionym ad hoc przez wspomnianego doktora; była to tak nazwana przez wynalazcę: lacrima tristis, czyli „łza smutnego”.

— Chi, chi, chi! — krztusiła się w kącie jakaś dama. — Co za złoty z pana człowiek! Chi, chi, chi! Łezka smutnego!

— Tak, łaskawa pani — ciągnął niewzruszony garbus — bo wkrótce po puszczeniu w ponowny obieg uzdrowieńca kilku podróżnych odebrało sobie w nim życie wystrzałem z rewolweru. Takie eksperymenta mszczą się, łaskawa pani — dokończył kiwając smutno głową. — Radykalizm w takich razach niezdrowy.

Na chwilę zapadło milczenie.

— W parę miesięcy potem — podjął gawędę funkcjonariusz — rozeszły się po kraju alarmujące pogłoski o pojawieniu się tzw. „wozu transformacyjnego” — carrus transformans, jak go przezwał jakiś filolog, podobno jedna z ofiar nowej plagi. Pewnego dnia zauważono dziwne zmiany w powierzchowności kilkunastu pasażerów, którzy odbywali podróż w tym samym fatalnym wozie. Oto rodzina i znajomi, oczekujący na dworcu, nie mogli w żaden sposób przyznać się do witających ich serdecznie osobników, którzy wysiedli z pociągu. Pani sędzina K., młoda i powabna brunetka, ze zgrozą odepchnęła od siebie opasłego jegomościa z potężną łysiną, który utrzymywał uparcie, że jest jej mężem. — Panna W., śliczna 18letnia blondynka, dostała spazmów w objęciach siwiutkiemu jak gołąb i podagrycznemu staruszkowi, który zgłosił się do niej z bukietem azalii jako „narzeczony”. Natomiast podeszła już w leciech pani radczyni Z. z miłym zdumieniem znalazła się u boku eleganckiego młodzieńca, odświeżonego cudownie o lat z górą 40, radcy apelacyjnego i małżonka.

W mieście na wiadomość o tym zrobił się kolosalny huczek; o niczym innym nie mówiono, jak tylko o zagadkowych metamorfozach. Po miesiącu nowa sensacja: zaczarowani panowie i panie powoli odzyskali pierwotny swój wygląd, wracając do uświęconej losom powierzchowności.

— Czy i tym razem odkażano wagon? — zapytała z zadęciem jakaś dama.

— Nie, łaskawa pani — zaniechano tych środków ostrożności. Owszem, dyrekcja otoczyła wóz szczególną pieczołowitością, gdyż okazało się, że kolej będzie mogła ciągnąć zeń kolosalne zyski. Zaczęto bić nawet specjalne bilety wstępu do cudownego wozu, tzw. bilety transformacyjne. Popyt naturalnie był ogromny. W pierwszej linii zgłaszać się zaczęły całe kolumny staruszek, brzydkich wdów i starych panien, domagając się natarczywie karty jazdy. Kandydatki dobrowolnie podbijały cenę, płaciły w trój i czwórmasób, przekupywały urzędników, konduktorów, nawet tragarzy. We wozie, przed wozem i pod wozem rozgrywały się dramatyczne sceny, przechodzące niekiedy w krwawe bitki. Kilka sędziwych niewiast w jednej z utarczek wyzionęło ducha. Straszny przykład nie ostudził jednak żądzy odmłodzenia; masakra trwała w dalszym ciągu. W końcu całej tej awanturze położył kres sam cudowny wóz; oto po dwutygodniowej transformacyjnej działalności nagle utracił dziwną swą moc. Stacje przybrały wygląd normalny; kadry roznamiętnionych staruszek i starców odpłynęły z powrotem w zacisza domowych ognisk i zapiecków.

Zamilkł i wśród gwaru rozbudzonych głosów, śmiechów i dowcipów na temat poddany przez opowieść wymknął się chyłkiem z coupé.

Ryszpans szedł w ślad za nim jak cień. Zajął go ten kolejarz w pocerowanej na łokciach bluzie, wyrażający się poprawniej niż niejeden przeciętny inteligent; coś go ciągnęło ku niemu, jakiś tajemniczy prąd sympatii pchał w stronę oryginalnego kaleki.

Na korytarzu klasy I położył mu lekko rękę na ramieniu:

— Przepraszam pana. Czy mogę prosić o słów parę rozmowy?

Garbaty uśmiechnął się zadowolony.

— Owszem. Nawet wskażę panu miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie pogadać. Wóz ten znam na wylot.

I pociągnąwszy profesora za sobą, skręcił w lewo, tam gdzie pierzeja przedziałów załamując się przechodziła w kurytarzyk wiodący na platformę. Tu wyjątkowo nie było w tej chwili nikogo. Kolejarz wskazał towarzyszkowi ścianę zamykającą ostatnie coupé.

— Widzi pan ten mały gzemsik tu w górze? To jest zamaskowany zamek; skrytka dla dostojników kolei w wyjątkowych wypadkach. Zaraz ją oglądniemy dokładnie.

Odsunął gzems, wydobyl z kieszeni konduktorski klucz i założywszy w otwór, przekręcił. Wtedy gładko odwinęła się w górę stalowa stora, odsłaniając malutki, wytwornie urządzone przedział.

— Proszę do środka — zachęcił kolejarz. Po chwili siedzieli na miękkich, polstrowanych poduszkach, odcięci od gwaru i ścisku zapuszczoną z powrotem storą.

Funkcjonariusz patrzył na profesora z wyrazem oczekiwania na twarzy. Ryszpans nie spieszył z pytaniem. Zmarszczył czoło, zasadził mocniej monokl i pogrążył się w zadumę. Po chwili zaczął, nie patrząc na towarzysza:

— Uderzył mię kontrast między humorystyką opowiedzianych przez pana zdarzeń a poważnym naświetleniem, które ją poprzedziło. O ile sobie przypominam, powiedział pan, że w ostatnich czasach zdarzają się na kolejach zagadkowe objawy, które zdają się zmierzać ku jakiemuś celowi. Jeśli dobrze zrozumiałem ton słów, mówił pan na serio; miało się wrażenie, że owe ukryte cele uznaje pan za ważne, może nawet przełomowe...

Twarz garbusa rozjaśnił tajemniczy uśmiech:

— I nie pomylił się pan... Kontrast zniknie, jeżeli owe „wesole” objawy pojmiemy jako szyderskie wyzwanie — prowokację, jako przygrywkę do innych, głębszych, niby próbę sił wyzwalającej się, nieznannej energii.

— All right! — odchrząknął profesor. — Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas. Domyśliłem się czegoś podobnego. Inaczej nie byłbym wszczynął dyskusji.

— Należy pan do nielicznych wyjątków; w ogóle dotąd znalazłem w pociągu tylko siedm osób, które głębiej pojęły te historie i oświadczyły gotowość zapuszczenia się wraz ze mną w labirynt konsekwencji. Może w panu pozyskam ósmego ochotnika?

— To będzie zależało od stopnia i jakości objaśnień, które mi pan dłużny.

— Oczywiście. Po to tutaj jestem. — Przede wszystkim powinien pan wiedzieć, że tajemnicze wagony wyszły na linię wprost ze ślepego toru.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że przed puszczeniem ich w obieg odpoczywały czas dłuższy na ślepym torze i oddychały jego specyficzną atmosferą.

— Nie rozumiem. Przede wszystkim co to jest ślepy tor?

— Uboczna, wzgardzona odrośl szyn, samotne odgałęzienie toru, rozciągnięte na przestrzeni 50-100 m, bez wyjścia, bez wylotu, zamknięte sztucznym wzgórzem i rampą kresową. Niby uschła gałąź zielonego drzewa, niby kikut okaleczającej ręki...

Ze słów kolejarza płynął głęboki, tragiczny liryzm. Profesor patrzył nań zdumiony.

— Wokół zaniedbanie. Zielska przerastają zardzewiałe szyny; bujne, polne trawy, łoboda, rumian dziki i oset. Z boku odpada na poły strupieszala zwrotnica z wybitym szkłem latarni, której nocą nie ma komu zapalić. Bo i po co? Tor to przecież zamknięty; nie ujedziesz nim dalej jak 100 m. Opodal na liniach wre ruch parowozów, tętni życie, pulsują kolejowe arterie. Tu wiecznie cicho. Czasem zabłąka się w drodze maszyna przetokowa, czasem wtoczy niechętnie wóz odszybowany; niekiedy wjedzie na dłuższy spoczynek zniszczony jazdą wagon, zatoczy się ciężko, leniwo i stanie niemy na całe miesiące lub lata. W zmurszałym dachu ptaszek uwije gniazdko i wykarmi młode, w rozpadlinie pomostu rzuci się zielsko, wytryśnie gałązka wikliny. Nad rudawą taśmą szyn pochyla zwichnięte ramiona popsuty semafor i błogosławi smętkowi ruiny...

Głos kolejarza załamał się. Profesor odczuł jego wzruszenie; liryzm opisu zdumiał go i przejął zarazem. Lecz skąd ta nuta rzewności?

— Odczułem — podjął po czasie — poezję ślepego toru, lecz nie umiem wytłumaczyć sobie, jak atmosfera jego może wywołać wspomniane objawy.

— Z poezji owej — objaśnił garbaty — wieje głęboki motyw tęsknoty — tęsknoty ku nieskończonym dalom, do których dostęp zamknięty kopcem granicznym, zagwoźdzony drewnem rampy. Tuż obok pędzą pociągi, pomykają w szeroki, piękny świat maszyny — tu tępa granica trawiastego wzgórza. Tęsknota upośledzenia. — Czy rozumie pan? — Tęsknota bez nadziei ziszczeń rodzi pogardę i nasycą się sobą, aż przerośnie mocą pragnień szczęśliwą rzeczywistość... przywileju. Rodzą się tu utajone siły, gromadzą od lat nie ziszczone moce. Kto wie, czy nie wybuchną żywiołem? A wtedy prześcigną codzienność i spełnią zadania wyższe, piękniejsze niż rzeczywistość. Sięgną poza nią...

— A czy można wiedzieć, gdzie się znajduje ów tor? Przypuszczam, miał pan na myśli

pewien ściśle określony?

— Hm — uśmiechnął się — to zależy. Zapewne jakiś jeden był punktem wyjścia. Lecz ślepych torów pełno jest wszędzie przy każdej stacji. Może być ten, może być ów.

— Tak, tak, ale mnie chodzi o ten, z którego wyjechały na linię owe wagony.

Garbus pokręcił niecierpliwie głową:

— Nie rozumiemy się. Kto wie, może tajemniczy tor da się odkryć wszędzie? Tylko go trzeba umieć odszukać, wytropić — trzeba umieć wpaść nań, zajechać, wdroyć się w jego koleinę.
— Dotąd udało się to jednemu.

Przerwał, wpatrując się w profesora głębią fiołkowo opalizujących oczu.

— Komu? — zapytał tamten machinalnie.

— Dróżnikowi Wiórowi. Wawrzyniec Wiór, garbaty, upośledzony przez naturę dróżnik, jest dziś królem ślepych torów, ich smutną, tęskniącą do wyzwolin duszą.

— Zrozumiałem — szepnął Ryszpans.

— Dróżnik Wiór — kończył namiętnie kolejarz — niegdyś uczony, myśliciel, filozof — rzucony igraszką losu pomiędzy szyny wzgardzonego toru — dobrowolny strażnik zapomnianych linii — fanatyk wśród ludzi...

Powstali, zmierzając ku wyjściu. Ryszpans podał mu rękę.

— Zgoda — rzekł mocno.

Drzwi odsunęły się i wyszli na kurytarz.

— Do rychłego widzenia — pożegnał garbus — idę na dalszy połów dusz. Pozostały mi jeszcze trzy wozy...

I zniknął w drzwiach platformy przejściowej.

Profesor zbliżył się w zadumie do okna, zaciął cygaro i zapalił.

Zewnątrz panowała ciemność. Tylko światła lamp wyzierające w przestrzeń czworokątami okien przesuwały się szybko po zboczach nasypu w przelotnym wywiadzie: pociąg przebiegał jakieś puste łąki i pastwiska...

Jakiś mężczyzna zbliżył się do profesora, prosząc o „ogień”, Ryszpans zdmuchnął popiół z cygara i grzecznie podał je nieznanemu.

— Dziękuję. Inżynier Zniesławski — przedstawił się. Zawiązała się rozmowa.

— Czy nie zauważył pan, jak się nagle wyludniło? — zapytał inżynier, rzucając wkoło okiem. — Korytarz całkiem wolny. Zaglądałem do dwóch przedziałów, by z przyjemnością stwierdzić, że jest w nich sporo miejsca.

— Ciekaw jestem — podchwycił Ryszpans — jaki też stan rzeczy po innych klasach.

— Możemy oglądnąć!

I przeszli parę wozów ku końcowi pociągu. Jakoż wszędzie zauważyli znaczny ubytek podróżnych.

— To dziwne — rzekł profesor — przed półgodziną jeszcze tłok był okropny, w przeciagu zaś tego krótkiego czasu pociąg zatrzymał się tylko raz.

— Rzeczywiście — potwierdził Zniesławski. — Widocznie wtedy wysiadło tyle osób. Jak na jedną stację, i to drugorzędną, odpływ zagadkowy.

Usiedli na jednej z ławek klasy II. Pod oknem rozmawiało półgłosem dwóch mężczyzn. Pochwycili urywek rozmowy:

— Wie pan — mówił jeden z pasażerów o biurokratycznym wyglądzie — coś mię kusi do opuszczenia tego pociągu.

— Szczególnie! — odpowiedział drugi — mnie również. Głupie uczucie. Powinienem być dzisiaj koniecznie w Zaszumiu i specjalnie jadę w tym kierunku — mimo to wysiądę już na najbliższej stacji i zaczekam na pociąg poranny. Co za mitręga i strata czasu!

— Pójdę za pańskim przykładem, chociaż i mnie to na der nie na rękę. Spóźnię się do biura o parę godzin. Lecz nie mogę inaczej. Ja tym pociągiem dalej nie pojadę.

— Przepraszam — wmieszał się inżynier. — Co właściwie zmusza panów do tak niewygodnego dla nich opuszczenia pociągu?

— Nie wiem — odpowiedział urzędnik. — Jakieś nieokreślone uczucie.

— Niby wewnętrzny nakaz — objaśniał towarzysz.

— A może duszna, niewytłumaczona trwoga? — poddał Ryszpans, przymrużając trochę złośliwie oko.

— Może — odparł spokojnie pasażer — lecz nie wstydzę się tego. Uczucie, którego doznaję w tej chwili, jest tak specjalne, tak sui generis, że nie pokrywa się właściwie z tym, co zwykliśmy nazywać strachem.

Zniesławski spojrzał porozumiewawczo na profesora.

— Może przejdziemy dalej?

Po chwili znaleźli się w przerzedzonym mocno przedziale klasy III. W dymie cygar siedziało tu trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z nich, młoda, hoża mieszczanica, mówiła do towarzyszek:

— Dziwna ta pani Zietulska! — Jechała ze mną do Żupnika, a tymczasem wysiadła w połowie drogi, 4 mile przed metą.

— Nie mówiła, dlaczego? — badała druga kobieta.

— Owszem, lecz nie wydaje mi się, by tak było naprawdę. Podobno nagle zasłabła i nie mogła dalej jechać pociągiem. Bóg raczy wiedzieć, co to takiego.

— A tych paru jegomościów, którzy sobie obiecywali tak głośno zabawę w Groniu jutro rano, czy nie wysiadło już w Pytomiu? Już poza Turoniem przycichli jakoś i zaczęli się kręcić niespokojnie po wozie — a potem nagle jakby ich wymiotło z przedziału. Wie pani — i mnie tu jakoś nieswojo...

W sąsiednim wozie wyczuli obaj mężczyźni nastrój zdenerwowania i niepokoju. Ludzie gwałtownie ściągali pakunki z siatek, wyglądali niecierpliwie przez okna, cisnęli się jeden przez drugiego do wyjścia na platformę.

— Co u licha? — mruknął Ryszpans — całkiem wytworne towarzystwo — sami eleganccy panowie i damy. Dlaczego ci ludzie chcą koniecznie wysiąść na najbliższej stacji? O ile sobie przypominam, jest to jakaś zapadła mieścina.

— Istotnie — przyznał inżynier — jest nią Drohiczyn, przystanek śródpolny — świat deskami zabity. Podobno jest tylko stacja, poczta i posterunek żandarmerii. Hm... ciekawe! Co oni tam będą robili po nocy?

Spojrzał na zegarek:

— Dopiero druga nad ranem.

— Hm, hm... — pokręcił głową profesor. — Przypomniały mi się ciekawe wnioski, które wyciągnął pewien psycholog po przestudiowaniu statystyki strat w katastrofach kolejowych.

— Proszę — do jakich też doszedł wyników?

— Stwierdził, że stosunkowo straty są znacznie mniejsze, niżby można przypuszczać. Statystyka wykazuje, że pociągi, które uległy katastrofie, były zawsze słabiej obsadzone niż inne. Widocznie ludzie wysiadali w porę lub też w ogóle rezygnowali z jazdy fatalnym pociągiem; innych zatrzymywała przed samą podróżą jakaś niespodziewana przeszkoda, część uległa nagłej niedyspozycji lub dłuższej chorobie.

— Rozumiem — rzekł Zniesławski — wszystko zależało od nasilenia instynktu samozachowawczego, który stosownie do napięcia przybierał rozmaite odcienie; u jednych silniejsze, u drugich słabiej podkreślone. — Więc pan sądzi, że i to, co się tutaj widzi i słyszy, można tłumaczyć w podobny sposób?

— Nie wiem. Nasunęło mi się tylko takie skojarzenie. Zresztą gdyby nawet, to rad jestem, że nadarzyła się sposobność obserwowania fenomenu. Właściwie powinienem był wysiąść na poprzedniej stacji, która była celem mej podróży. Jak pan widzi, jadę dalej „z własnej pilności”.

— To pięknie z pańskiej strony — podkreślił z uznaniem inżynier — ja też wytrzymam na posterunku. Chociaż przyznam się panu, od pewnego czasu doznaję również szczególniejszego uczucia: jest to niby niepokój, niby napięte oczekiwanie. Czy pan rzeczywiście wolny od tych sensacji?

— No... nie — wycedził powoli profesor. — Ma pan słusność. Coś jest w powietrzu: nie jesteśmy tutaj całkiem normalni. Lecz u mnie skutek objawia się zainteresowaniem, co będzie dalej,

co się z tego wywiąże.

— W takim razie stoimy obaj na jednej platformie. Sądzę nawet, że mamy kilku towarzyszy. Wpływ Wióra, jak widzę, zatoczył pewne kręgi.

Twarz profesora drgnęła:

— Więc i pan zna tego człowieka?

— Naturalnie. Wyczułem w panu jego stronnika. Niech żyje bractwo ślepego toru!

Okrzyk inżyniera przerwał zgrzyt hamowanych kół wozu: pociąg zatrzymał się przed stacją. Przez otwarte drzwi wagonów wysypały się tłumy podróżnych. W bladym świetle lamp stacyjnych widać było twarze urzędnika ruchu i jedyne na cały przystanek zwrotniczego, którzy ze zdumieniem obserwowali niezwykły w Drohiczynie napływ gości.

— Panie naczelniku — pytał pokornie jakiś elegancki pan w cylindrze — będzie tu gdzie przenocować?

— Chyba na bloku na podłodze — proszę wielmożnego pana — wyręczył w odpowiedzi zwrotniczy.

— Będzie trudno z noclegiem, łaskawa pani — tłumaczył jakiejś damie w gronostajach naczelnik. — Do najbliższej wsi dwie godziny drogi.

— Jezus, Maria! Tośmy wpadli! — biadał w tłumie cienki, niewieści głosik.

— Jazda! — rozkazał zniecierpliwiony urzędnik.

— Jazda, jazda! — powtórzyły w ciemności dwa niepewne głosy.

Pociąg ruszył. W chwili gdy już stacja zasuwała się w mroki nocy, Zniesławski wychylony przez okno wskazał profesorowi grupę ludzi z boku peronu:

— Widzi pan tych na lewo, pod ścianą?

— Oczywiście, to są konduktorzy naszego pociągu.

— Cha, cha, cha!... — zaśmiał się inżynier. — Panie profesorze, periculum in mora! Szczury opuszczają statek. Zły znak!

— Cha, cha, cha! — wtórował profesor. — Pociąg bez konduktorów! Hulaj dusza po wagonach!

— No, no — uspokajał Zniesławski — tak źle nie jest. Zostało dwóch. Patrz pan — tam jeden zamknął w tej chwili przedział — drugiego widziałem w momencie odjazdu, jak wskakiwał na stopień.

— Stronnicy Wióra — objaśnił Ryszpans. — Wartałoby się przekonać, ile też osób pozostało w pociągu.

Przeszli parę wozów. W jednym zastali jakiegoś zakonnika o ascetycznym wyrazie twarzy zatopionego w modlitwie, w innym dwóch mężczyzn starannie ogolonych, wyglądających na aktorów; kilka wagonów świeciło bezwzględna pustką. Na korytarzu biegnącym wzdłuż przedziału klasy II kręciło się parę osób z walizkami w rękę; oczy ich niespokojne, ruchy nerwowe zdradzały podniecenie.

— Zapewne chcieli już wysiąść w Drohiczynie — rzucił przypuszczenie inżynier — lecz w ostatniej chwili rozmyślili się.

— I teraz żałują — dopowiedział Ryszpans. W tej chwili ukazał się na platformie garbaty budnik. Na twarzy jego grał groźny, demoniczny uśmiech. Za nim wyciągniętym szeregami postępowało kilku podróżnych. Przechodząc obok profesora i jego towarzysza, Wiór powitał ich jak dobry znajomy:

— Rewia skończona. Proszę panów za mną. U wylotu kurytarza rozległ się krzyk kobiety. Mężczyźni spojrzeli w tę stronę i spostrzegli znikającą w otworze odchylonych drzwi postać jakiegoś pasażera.

— Wypadł czy wyskoczył? — odezwało się parę głosów.

Jakby w odpowiedź zanurzył się w czeluść przestrzeni drugi pasażer, za nim podążył trzeci, za tym rzuciła się w dzikiej ucieczce reszta zdenerwowanej grupy.

— Powariowali?! — zapytał ktoś w głębi. — Wskakiwać z pociągu w pełnym biegu? No, no...

— Znać spieszno im było na ziemię — szydził inżynier. I nie przypisując już większej wagi

zajściu, wrócili do przedziału, w którym zniknął tymczasem dróżnik. Tu prócz Wióra zastali dziesięć osób, w tym dwóch konduktorów i trzy kobiety. Wszyscy zajmowali miejsca na ławkach, wpatrzeni z uwagą w garbatego budnika, który stanął w pośrodku przedziału.

— Panowie i panie! — zaczął obejmując obecnych płomiennym spojrzeniem. — Wszystkich nas razem wraz ze mną jest 13. Fatalna liczba! Nie... — pomyliłem się, 14 wraz z maszynistą — a to też mój człowiek. Garstka to, garstka, lecz dla mnie wystarczy...

Ostatnie słowa domówił półgłosem jakby do siebie i umilkł na chwilę. Słysząc było tylko łoskot szyn i turkot kół wagonowych.

— Panowie i panie! — podjął Wiór. — Nadeszła chwila osobliwa, chwila ziszczenia wieloletnich tęsknot. Pociąg ten już do nas należy — opanowaliśmy go niepodzielnie; żywiły obce, obojętne lub wrogie wydzielone już z jego organizmu. Panuje tu bezwzględnie atmosfera ślepego toru i jego moc. Za chwilę moc ta ma się objawić. Kto nie czuje się dostatecznie przygotowanym, niechaj cofnie się w porę; potem może być za późno. Za całość i bezpieczeństwo ręczę. Przestrzeń wolna i drzwi otwarte. — Więc? — rzucił wkoło badawcze spojrzenie. — Więc nikt się nie cofa?

Odpowiedziało głębokie, tętniące przyspieszonym oddechem dwunastu ludzkich piersi milczenie.

Wiór uśmiechnął się tryumfująco:

— Zatem dobrze. Wszyscy tu pozostają z własnej, dobrej woli, każdy sam odpowiada za swój krok w tej chwili.

Podróżni milczeli. Niespokojne ich, tlejące gorączkowym światłem oczy nie schodziły z twarzy dróżnika. Jedna z kobiet dostała nagle histerycznego śmiechu, który pod spokojnym, zimnym spojrzeniem Wióra nagle ustąpił. Budnik wydobył z zanadru czworoboczną tekturę z jakimś rysunkiem:

— Oto nasza dotychczasowa droga — wskazał palcem na podwójną linię czerniejącą na papierze. — Tutaj po prawej ten mały punkt — to Drohiczyn, który przed chwilą minęliśmy; ten drugi, większy, w górze — to Gron, końcowa stacja na tej linii. Lecz my do niej już nie dotrzemy — ta meta już nam teraz obojętna.

Przerwał, wpatrując się intensywnie w rysunek. — Dreszcz grozy wstrząsnął słuchaczy. Słowa Wióra padały na dusze ciężko, jak roztopiony ołów.

— A tu, na lewo — objaśniał w dalszym ciągu, przesuwając wskaźnik ręki — wykwita pąsowa linia. Widzicie ją, jak wije się czerwonym szlakiem, oddalając coraz bardziej od toru głównego?... To linia ślepego toru. Na nią mamy wjechać...

Znów zamilkł i studiował krwawą wstęgę.

Zewnątrz przedstawiał się łomot rozpętanych kół; pociąg widocznie podwoił chyżość i pędził z szaloną furią. Dróżnik mówił:

— Chwila nadeszła. Niechaj każdy przybierze pozycję siedzącą lub niech się położy. Tak... dobrze — kończył, przechodząc uważnym spojrzeniem podróżnych, którzy jak zahipnotyzowani spełnili zlecenie. — Teraz mogą zacząć. Baczość! Za minutę zbaczamy...

Trzymając prawą ręką rysunek na poziomie oczu, wpatrzył się weń raz jeszcze fanatyczną mocą rozszerzonych nagle źrenic... Wtem zeszytywniał jak drewno, wypuścił z rąk tekturę i jak złodowaciały stanął bez ruchu w środku przedziału; oczy podeszły w górę tak silnie, że widać było tylko brzeg białek, twarz przybrała wyraz kamienny. Nagle zaczął iść ku otwartemu oknu krokiem drewnianym jak automat... Oparł się o ramę dolną jak belka, odbił nogami od podłogi i wychylił połowę ciała w przestrzeń; postać jego wyciągnięta sztywnie poza okno jak igła magnesu zawahała się parę razy na osi ramy i ustawiła pod kątem do ściany wagonu...

Wtem rozległ się piekielny trzask jakby druzgotanych wagonów, wściekły gruchot kruszonego żelaziwa, łomot sztab, zderzaków, kłańcanie rozhukanych kół i łańcuchów. Wśród zgielku rozszczepionych, zda się na drzazgi, ławek, walących się drzwi, wśród rumoru zapadających się pował, podłóg, ścian, wśród szczęku pękających rur, przewodów, zbiorników zajęczał rozpaczliwy gwizd lokomotywy...

Nagle wszystko zamilkło, wbiło się w ziemię, rozwiało i uszy napełnił wielki, potężny,

bezkresny szum...

I owinęło świat cały na długi, długi czas owo szumiące trwanie, i zdawało się, że grają pieśń groźną wszystkie ziemskie wodospady i że szeleszczą bezlikiem liści wszystkie ziemskie drzewa... Potem i to zgłuchło i nad światem rozlała się wielka cisza mroku. W przestworzach martwych i niemych rozpościerały się czyjeś niewidzialne, czyjeś bardzo pieściwe ręce i gładziły kojąco kiry przestrzeni. A pod tą łagodną pieszczotą rozchybotały się jakieś miękkie fale, nadpłynęły cichymi runami i ukołysały na sen... Na słodki, cichy sen...

W jakiejś chwili profesor ocknął się. Spojrzał półprzytomny na otoczenie i zauważył, że jest w pustym przedziale. Ogarnęło go nieokreślone uczucie obcości; wszystko poza nim wydało się jakieś inne, jakieś nowe, czymś, do czego trzeba się było dopiero przyzwyczaić. Lecz przystosowanie szło dziwnie opornie i powoli. Trzeba było po prostu zmienić zupełnie „punkt widzenia i patrzenia” na rzeczy. Ryszpans miał wrażenie człowieka, który wychodzi na światło dnia po długiej wędrówce w milowej długości tunelu. Przecierał osłepłe od ciemności oczy, ścierał mgłę przesłaniającą widok. Zaczął przypominać...

W myśli przesuwaly się kolejno wypływały obrazy wspomnień, które poprzedziły... to jakiś huk, łomot, jakiś nagły, niwelujący wszystkie wrażenia i świadomość udar...

— Katastrofa! — zamajaczyło niewyraźnie. Spojrzał uważnie po sobie, powiódł ręką po twarzy, po czole — nic! Ani kropli krwi, żadnego bólu.

— Cogito — ergo sum! — zawyrokował wreszcie. Przyszła ochota przejścia się po przedziale. Opuścił miejsce, podniósł nogę i... zawisnął parę cali nad podłogą.

— Tam do licha! — mruknął zdumiony. — Straciłem ciężar właściwy czy co? Czuję się lekki jak pióro. I powędrował w górę aż pod strop wozu.

— Ale co też się stało z tamtymi? — przypomniał sobie, schodząc ku drzwiom do sąsiedniego przedziału.

U wejścia spostrzegł w tej chwili inżyniera, który uniesiony również parę centymetrów nad podłogą, ścisnął mu serdecznie rękę.

— Witam kochanego pana! I pan, widzę, niezupełnie w porządku z prawami ciężkości?

— Ha, cóż robić? — westchnął z rezygnacją Ryszpans. — Pan nie raniony?

— Broń Boże! — zapewnił Zniesławski. — Jestem cały i zdrow jak ryba. Przed chwilą dopiero przebudziłem się.

— Szczególne przebudzenie. — Ciekaw też jestem, gdzie się właściwie znajdujemy?

— Ja również. Pędzimy, zdaje się, z zawrotną chyżością.

Wyjrzeni przez okno. — Nic — pustka. Tylko silny chłodny prąd wiejący z zewnątrz nasuwał przypuszczenie, że pociąg leci jak furia.

— To dziwne — zauważył Ryszpans. — Absolutnie nic nie widzę. Pustka w górze, pustka w dole, pustka przede mną.

— A to sensacje! Jest niby dzień, bo jasno, lecz słońca nie widać, a mgły nie ma.

— Płyniemy jakby w przestworzu. Która też może być godzina?

Spojrzeni równocześnie na zegarki. Po chwili inżynier podniósł oczy na towarzysza i spotkał się z jego spojrzeniem mówiącym to samo:

— Nic odczytać nie mogę. Godziny zlały się w czarną falistą linię...

— Po której wskazówki przesuwają się błędnym, nic nie mówiącym ruchem.

— Fale trwania przelewające się jedna w drugą, bez początku i końca...

— Zmierzch czasu...

— Patrz pan! — zawołał nagle Zniesławski, wskazując ręką na przeciwległą ścianę wozu.

— Widzę przez tę ścianę jednego z naszych; owego zakonnika-ascetę — pamiętasz?

— Tak. To brat Józef, karmelita. Rozmawiałem z nim. Lecz i on nas już spostrzegł; uśmiecha się i daje nam znaki. Co za paradoksalne objawy! Patrzymy przez tę deskę jak przez szkło!

— Nieprzejrzystość ciał licho wzięło z kretesem — wywnioskował inżynier.

— Zdaje się, że i z nieprzenikliwością nie lepiej — odpowiedział Ryszpans, przesiąkając przez ścianę do drugiego przedziału.

— Rzeczywiście — przyznał Zniesławski, idąc za jego przykładem.

Tak przesiąknęli przez kilka parapetów wagonowych i w trzecim z rzędu wozie powitali brata Józefa.

Karmelita skończył przed chwilą modlitwę „poranną” i pokrzepiony na duchu, cieszył się serdecznie ze spotkania.

— Wielkie sprawy Boże! — mówił, wznosząc w górę głębokie, mgłą zadumy powleczone oczy. — Przeżywamy dziwne chwile. Otośmy wszyscy cudownie przebudzeni. Chwała Przedwiecznemu! Chodźmy połączyć się z resztą braci.

— Jesteśmy przy was — odezwało się zewsząd parę głosów i przez ściany wagonów przesunęło się 10 postaci i otoczyło rozmawiających. Byli to ludzie najrozmaitszych stanów i zawodów, w tym maszynista pociągu i 3 kobiety. Wszystkich oczy mimo woli szukały kogoś, wszyscy instynktownie wyczuwali brak jednego towarzysza.

— Jest nas 13 — przemówił szczupły, o ostrych rysach młodzieniec. — Nie widzę mistrza Wióra.

— Mistrz Wiór nie przyjdzie — rzekł jak przez sen brat Józef. — Dróżnika Wióra tutaj nie szukajcie. Spójrzcie głębiej, bracia moi, zajrzyjcie w dusze wasze. Może go znajdziecie.

Umilkli i zrozumieli. Na twarzach rozlał się wielki spokój i zajaśnieli dziwnym światłem. I czytali sobie w duszach, i przenikali się nawzajem w cudownym jasnowidztwie.

— Bracia! — podjął zakonnik — kształty nasze dane nam są jeszcze tylko na czas krótki, za chwil parę może je przyjdzie porzucić. Wtedy rozstaniemy się. Każdy odejdzie w swoją stronę, gdzie go poniosą jego losy wykute w księdze przeznaczeń od wieków, każdy podąży własnym szlakiem, we własną dziedzinę, którą zgotował sobie po tamtej stronie. Oto oczekują nas z tęsknotą rzesze bratnich dusz. Zanim nadejdzie moment pożegnania, posłuchajcie raz jeszcze głosu z tamtej strony. Słowa, które wam odczytam, spisano dni temu 10, licząc czas ziemskim trybem.

Domawiając tych słów, rozwinął szeleszczące cicho arkusze jakiegoś pisma i zaczął czytać głębokim, przejmującym głosem:

„W 15 listopada r. 1950.

Tajemnicza katastrofa

Na linii kolejowej Zalesna-Gron zaszedł wczoraj w nocy z 14/15 listopada br. tajemniczy wypadek, którego dotąd w zupełności nie zdołano wyjaśnić. Chodzi o losy, którym uległ między godz. 2-3 po północy pociąg osobowy nr 20. Właściwą katastrofę poprzedziły dziwne objawy. Oto publiczność, jakby przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, wysiadała tłumnie na stacjach i przystankach przed miejscem fatalnego wypadku, choć cel jazdy leżał znacznie dalej; zapytywane przez władze stacyjne osoby o powód przerywania podróży tłumaczyły się niejasno, jakby nie chcąc zdradzić motywów dziwnego postępowania. Charakterystycznym jest fakt, że w Drohiczynie opuściło pociąg nawet kilku pełniących wtedy służbę konduktorów, którzy woleli narazić się na surową karę władz i utratę posady, niż jechać dalej; tylko trzech ludzi z całego personelu pociągowego wytrzymało na stanowisku. Z Drohiczyna odjechał pociąg niemal pusty. Kilku niezdecydowanych podróżnych, którzy w ostatniej chwili cofnęli się do wnętrza wagonów, wyskoczyło w kwadrans potem podczas ruchu w czystym polu. Ludzie ci, cudem jakimś wyszedłszy cało z imprezy, wrócili rano koło czwartej piechotą do Drohiczyna. Byli to świadkowie ostatnich chwil fatalnego pociągu tuż przed katastrofą, która musiała zajść w parę minut potem...

Koło piątej nad ranem nadszedł z budki dróżnika Zoły, położonej 5 km za Drohiczynem, pierwszy sygnał alarmowy. — Kierownik stacji wszedł na drezynę i w pół godziny stanął na miejscu wypadku, gdzie spotkał już komisję śledczą z Rakwy.

Dziwny obraz przedstawił się oczom obecnych. W czystym polu, kilkaset metrów za budką dróżnika stał na szynach rozerwany pociąg: 2 wagony tylne zupełnie nie uszkodzone, potem przerwa, odpowiadająca długości trzech wozów — znów 2 wozy sprzężone łańcuchami, w stanie normalnym — luka jednowagonowa — wreszcie na przedzie jaszczyk; lokomotywy brakło. Na torze, na platformach, na schodkach żadnych śladów krwi, nigdzie rannych ani zabitych. Wnętrza wagonów również puste i głuche; nie znaleziono ani w jednym przedziale zwłok; nie stwierdzono najłżejszego uszkodzenia w pozostałych wagonach...

Szczegóły naocześnie spisano i odesłano do dyrekcji. Sprawa przedstawia się tajemniczo i organa kolejowe nie spodziewają się rychłego jej wyświeślenia...”

Karmelita zamilkł na chwilę, odłożył pismo i zaczął z kolei odczytywać drugie:
„W 25 listopada 1950 r.

Zdumiewające rewelacje i szczegóły do katastrofy kolejowej z dn. 15 bm.

Tajemniczych wypadków, które rozegrały się na linii kolejowej za Drohiczynem 15 bm., nie zdołano wyjaśnić do chwili obecnej. Owszem, coraz głębsze cienie padają na zdarzenie i mącą orientację.

Dzień dzisiejszy przyniósł szereg zdumiewających wiadomości, które pozostając w związku z katastrofą, zaciemniają jeszcze bardziej sprawę i budzą poważne, daleko sięgające refleksje. Oto co nam podają telegramy z autentycznych źródeł:

— Dziś 25 bm. nad ranem na miejscu katastrofy zaszłej przed 10 dniami wyłoniły się wagony pociągu osobowego nr 20, których brak stwierdzono w dniu wypadku. Znamiennym jest szczegół, że wozy ukazały się na przestrzeni nie jako jednolity pociąg, lecz porozrywane w grupach po 1, 2 lub 3, odpowiadających lukom zauważonym 15 bm. Przed pierwszym wozem, w odstępie jaszczyka, pojawiła się w pełnym składzie maszyna.

Przerażeni nagłym pojawem kolejarze zrazu nie śmieli zbliżyć się do wagonów, uważając je za widma lub twór zwidzenia. W końcu jednak, gdy wozy nie znikwały, nabrali odwagi i weszli do wnętrza.

Tutaj przedstawił się ich oczom okropny obraz. W jednym z przedziałów zastali zwłoki 13 osób rozciągnięte na ławkach lub w pozycjach siedzących. Rodzaju śmierci dotąd nie ustalono. Ciała nieszczęśliwych nie wykazują żadnych obrażeń zewnętrznych ani wewnętrznych, nie ma też najmniejszej poszlaki uduszenia lub zatrucia. Śmierć ofiar pozostanie prawdopodobnie zagadką nie do rozwiązania.

Spomiędzy 13 osób, które uległy tajemniczemu zgonowi, dotąd, zdołano stwierdzić tożsamość sześciu: brata Józefa Zygwulskiego, z zakonu oo. Karmelitów, autora paru głębokich traktatów mistycznych; prof. Ryszpansa, znakomitego psychologa; inżyniera Zniesławskiego, cenionego wynalazcy; maszynisty pociągu, Stwosza, i dwóch konduktorów. Nazwiska reszty osób na razie nie znane...

Więść o tajemniczym wypadku obleciała lotem błyskawicy cały kraj, wywołując wszędzie wstrząsające wrażenie. Pojawiły się już w prasie liczne, czasem głębokie objaśnienia i komentarze. Odzywają się głosy, piętnujące określanie zdarzenia «katastrofą kolejową» jako fałszywe i naiwne.

Towarzystwo badań psychicznych podobno planuje już szereg odczytów, które w dniach najbliższych wygłosi kilku wybitnych psychologów i psychiatrów.

Zaszedł fakt, który prawdopodobnie zaciąży na długie lata nad nauką, ukazując jej nowe, nieznane horyzonty...”

Brat Józef skończył i gasnącym już głosem zwrócił się do towarzyszy:

— Bracia! Chwila rozstania nadeszła. Oto już rozsnuwają się kształty nasze.

— Przekroczyliśmy rubież życia i śmierci — zabrzmiał jak dalekie echo głos profesora.

— By wstąpić w rzeczywistość wyższego rzędu... Ściany wagonów, mgliste jak opar, zaczęły rozsnuwać się, rozpuszczać, marnieć... Odrywały się wiotkie szale dachów, odchyłały bezpowrotnie w przestrzeń eteryczne zwoje pomostów, lotne spirale rur, przewodów, zderzaków...

Postacie podróżnych, wiotkie i przejrzyste na wylot, wiałły, rozpadały się, rwały na strzępy...

— Żegnajcie, bracia, żegnajcie!... Głosy ich marły, gasły, rozwiewały się... aż zgłuchły gdzieś w zaświatach międzyplanetarnych dali...

Ultima Thule

Lat temu dziesięć. Zdarzenie przybrało już kształty rozwiewne, niemal senne — zasnuło się błękitną mgłą rzeczy minionych. Dziś wygląda jak wizja lub jak szalone marzenie; a jednak wiem, że wszystko do najdrobniejszych szczegółów było naprawdę tak, jak pamiętam. Od owej chwili wiele zajęć przesunęło mi się przed moimi oczyma, dużo przeżyłem — lecz wspomnienie wypadku pozostało niezmienione, obraz dziwnej chwili wyrzeźbił się w duszy głęboko na zawsze; patyna czasu nie przyćmiła silnego rysunku, owszem, zda mi się, z lat ubiegim podkreśla cienie w sposób tajemniczy...

Byłem wtedy kierownikiem ruchu w Krępaczu, małej, śródgórskiej stacji niedaleko granicy; z mojego peronu widać było jak na dłoni wydłużony, szczerbaty łańcuch rubieży.

Krępacz był przedostatnim przystankiem na linii zmierzającej ku pograniczu, poza nim w odległości pięćdziesięciu kilometrów były jeszcze tylko Szczytniska, końcowa stacja kraju, w której stróżował Kazimierz Joszt, kolega po zawodzie i przyjaciel. On sam lubił porównywać siebie z Charonem, a stację powierzoną swej pieczy przemianował artystycznym trybem na Ultima Thule. Widziałem w tym dziwactwie nie tylko reminiscencje ze studiów klasycznych, gdyż racja obu nazw tkwiła głębiej, niżby się na pozór zdawało.

Okolice Szczytnisk była dziwnie piękna. Chociaż oddalona od mojego posterunku ledwo o trzy kwadransy drogi pociągiem osobowym, zdradzała zasadniczo odrębny i swój charakter, jakiego nie spotykało się nigdzie w tych stronach. Malutki budynek stacyjny przytulony do potężnej, granitowej ściany, spadającej prostopadle w dół, przypominał jaskółcze gniazdo przypięte do wnęki skalnej. Wokoło spiętrzone na dwa tysiące metrów szczyty kryły w półmroku przestrzeń, stację i magazyny. Posępny smutek zwiany z czół olbrzymów owijał nieuchwytnym całunem kolejową przystań. W górze kłębiły się wieczne mgły i staczały w dół turbanami mokrych oparów. Na poziomie tysiąca metrów, mniej więcej w połowie swej wysokości, tworzyła ściana gzyms kształcie olbrzymiej platformy, której wyżłobienie niby pieczarę wypełniało po brzegi modrosrebrzyste jezioro. Parę zaskórnych strumieni, zbratawszy się potajemnie w trzewiach biło z jej boku tęczowym łukiem siklawy. Po lewej usłóń skały w zarzuconym na ramiona wiecznie zielonym płaszczu jodeł i limb, po prawej dzikie urwisko z kosodrzewiną, naprzeciw, niby słup kresowy, nieugięta grań wierchu. Nad nią przestrzeń nieba, chmurna lub pod brzask zrumieniona zorzą

porannego słońca — poza nią... świat inny, obcy, nieznany. Dzika, zamknięta ustron, groźną poezją szczytów owiana rubież...

Stację łączył z resztą przestrzeni długi, w skale wykuty tunel; gdyby nie on, izolacja zakątków byłaby zupełną. Ruch kolejowy zabłąkany pomiędzy samotne turnie małał, słabł, wyczerpywał się. Nieliczne pociągi, niby bolidy wytracone z ruchu centralnego, wylaniały się rzadko z czeluści tunelu i zajeżdżały przed peron cicho, bezgłośnie, jakby w obawie, by nie zmącić zadumy gór. Nikłe wibracje wniesione za ich przybyciem w śródgórskie zacisze tężały rychło i krzepły wylękle.

Po opróżnieniu wagonów maszyna szybowała parę metrów poza peron i pociąg podjeżdżał pod sklepioną w granitowej ścianie wykutą halę. Tu stał długie godziny, wypatrując pieczary oczodołami pustych okien, w oczekiwaniu na zmianę. Gdy nadszedł upragniony towarzysz, opuszczał leniwo skalne schronisko i odchodził w świat życia. A tamten zajmował jego miejsce. I znów stacja zapadała w senne drzemanie spowite mgłą.

Lubiłem tę górską pustelnię ogromnie. Była dla mnie symbolem tajemniczych krańców, jakimś mistycznym pograniczem dwóch światów, jakby zawieszeniem między życiem a śmiercią.

W każdą wolną chwilę, powierzwszy Krępacz opiece mego asystenta, jeździłem drezyną w odwiedziny do Szczytnisk do kolegi Joszta. Przyjaźń naszą starą, bo zawartą jeszcze na szkolnej ławie, wzmocniła wspólność zawodu i bliskie sąsiedztwo. Zżyliśmy się z sobą bardzo i dzięki czystej wymianie myśli stopili w przedziwną jedność.

Joszt nigdy wizyt nie oddawał.

— Nie ruszę się już stąd ani krokiem — odpowiadał zwykle na moje wymówki — tutaj mi już zostać do końca. Bo czyż tu nie pięknie? — dorzucał po chwili, obejmując zachwyconym spojrzeniem otoczenie.

Przyznawałem w milczeniu i wszystko wracało do dawnego porządku.

Niezwykłym człowiekiem był kolega Joszt, ze wszech miar dziwnym. Mimo swej iście gołębiej łagodności i bezprzykładnej dobroci nie cieszył się sympatią w okolicy. Górąle zdawali się stronić od naczelnika stacji, z daleka schodząc mu z oczu. Przyczyna leżała w dziwacznej opinii, którą sobie o nim nie wiadomo jak ludzie urobili. Joszt uchodził wśród ludu za "widuna", i to w ujemnym tego słowa znaczeniu. Mówiono, że przewiduje u bliźnich "przywilej śmierci", że niejako przeczuwa chłodny jej powiew na twarzach wybrańców.

Ile w tym było prawdy, nie wiem — w każdym razie zauważyłem w nim coś, co mogło zaniepokoić umysł wrażliwszy i skłonny do przesądów. Utkwił mi mianowicie w pamięci następujący dziwny zbieg okoliczności.

Był w Szczytniskach między funkcjonariuszami stacyjnymi zwrotniczy nazwiskiem Głodzik, pilny i sumienny pracownik. Joszt bardzo go lubił, traktując nie jak podwładnego, lecz jak kolegę.

Pewnej niedzieli, zjechawszy jak zwykle w odwiedziny, zastałem Joszta w posępnym nastroju; był chmurny jakiś i ponury. Zapytany o powód zbył mnie zrazu niczym i gwałtem nadrabiał miną. Wtem nawinął się Głodzik; coś tam meldował, prosił o dyspozycje. Naczelnik bąknął ni to, ni owo, popatrzył mu dziwnie w oczy i uściskał jego szorstką, spracowaną rękę.

Zwrotniczy odszedł, zdumiony zachowaniem się przełożonego, kręcąc z niedowierzaniem swoją dużą, kędzierzawą głową.

— Biedak! — szepnął Joszt patrząc smutno za nim.

— Dlaczego? — zapytałem nie pojmując całej tej sceny.

Wtedy Joszt wytłumaczył.

— Miałem zły sen tej nocy — mówił unikając mego spojrzenia — bardzo zły sen.

— Ty wierzysz w sny?

— Niestety, ten, który śniłem dzisiaj, jest typowym i nigdy nie zawodzi. Widziałem dzisiejszej nocy starą, zapadłą ruderę z powybijanymi szybami. Ile razy mi się wyśni ten przeklęty budynek, jest nieszczęście.

— Ale w jakim związku pozostaje to ze zwrotniczym?

— W jednym z pustych okien ujrzałem wyraźnie zarysowaną jego twarz. Wychylił się z tej czarnej nory i powiał ku mnie swą kraciastą chustką, którą zawsze nosi na szyi.

— I cóż stąd?

— To był gest pożegnalny. Ten człowiek wkrótce umrze — dziś, jutro, lada chwila.

— Sen mara, Bóg wiara — usiłowałem go uspokoić. Joszt uśmiechnął się tylko z przymusem i zamilkł.

A jednak tegoż dnia wieczorem zginął Głodzik wskutek własnej pomyłki. Wprowadzona w błąd jego fałszywym sygnałem maszyna ucięła mu obie nogi; wyzionął ducha na miejscu.

Wypadek wstrząsnął mną do głębi i przez długi czas unikałem z Josztem rozmowy na ten temat. W końcu, może rok potem, zagadnąłem raz niby od niechcienia:

— Od kiedy miewasz twe złowróżbne przeczucia? O ile pamiętam, nigdy dawniej nie okazywałeś podobnych właściwości.

— Masz słuszność — odparł niemile tknięty poruszoną kwestią — ta przeklęta właściwość rozwinęła się u mnie dopiero później.

— Wybacz, że cię nękam tą niemiłą sprawą, lecz rad bym znaleźć środek do wyzwolenia cię z fatalnego daru. Kiedy zauważyłeś to u siebie po raz pierwszy?

— Mniej więcej przed ośmiu laty.

— Więc rok po twym przesiedleniu się w te strony?

— Tak, w rok po przeniesieniu mnie do Szczytnisk. Wtedy to, w grudniu, w samą Wigilię, przeczułem śmierć Groceli, ówczesnego wójta. Historia stała się powszechnie znaną i w ciągu kilku dni zjednała mi złowieszczy przydomek "widuna". Górale zaczęli uciekać przede mną jak przed puszczykiem.

— Dziwne. A jednak coś w tym tkwić musi. Zachodziłby tu zatem klasyczny przykład na "drugi wzrok", o którym swego czasu nazywałem się dużo w księgach starej magii. Podobną właściwością obdarzeni być mają dość często górale szkoccy czy iryjscy.

— Tak, i ja studiowałem dzieje tego objawu z łatwym do zrozumienia zainteresowaniem. Zdaje mi się nawet, że znalazłem w ogólnych zarysach przyczynę. Twoja wzmianka o puszczykach szkockich czy też iryjskich jest bardzo trafna, tylko wymaga paru słów uzupełnienia. Oto zapomniawszy dodać, że ci znieawidzeni przez otoczenie, niejednokrotnie wypędzani jak trędowaci poza obręb wsi nieszczęśliwcy zdradzają swe zgubne zdolności tylko tak długo, dopóki przebywają na wyspie; przeniesieni na kontynent tracą żalobny swój dar i niczym nie różnią się od przeciętnych osobników.

— To szczególne. To, co mówisz, świadczyłoby więc o tym, że to wybitnie psychiczne zjawisko przeciw zależnym jest od czynników natury chtonicznej.

— Istotnie. Fenomen ten ma dużo w sobie składników tellurycznych. Jesteśmy synami Ziemi i podlegamy jej potężnym wpływom nawet w dziedzinach oderwanych pozornie od jej podłoża.

— Czy objawy własnego jasnowidztwa wywodzisz z podobnych źródeł? — zapytałem po chwili wahania.

— Naturalnie. Wpływa na mnie otoczenie, pozostaję pod działaniem tutejszej atmosfery. Żyję na pograniczu dwu światów.

— Ultima Thule! — szepnąłem schylając głowę.

— Ultima Thule! — powtórzył jak echo Joszt. Umilkłem przejęty uczuciem lęku. Po czasie, otrząsnąwszy się z wrażenia, zapytałem:

— Dlaczego zdając sobie tak jasno sprawę z wszystkiego nie przeniosłeś się dotąd w inne strony?

— Nie mogę. W żaden sposób nie mogę. Czuję, że gdybym się stąd usunął, postąpiłbym wbrew swemu przeznaczeniu.

— Przesądny jesteś, Kazik.

— Nie, to nie jest przesąd. To przeznaczenie. Mam głębokie przekonanie, że tylko tutaj, tylko na tym skrawku ziemi mam spełnić ważną jakąś misję, jaką — nie wiem jeszcze dokładnie — mam tylko słabe jej przeczucie...

Urwał, jakby zląkł się tego, co powiedział. Po chwili zwracając swe siwe, przeświecone blaskiem zachodu oczy na skalistą ścianę dodał ścisłym szeptem:

— Wiesz, nieraz zdaje mi się, że tu, z tą prostopadłą granią kończy się świat widzialny, że tam, po drugiej stronie, zaczyna się świat inny, nowy, jakieś nie znane w ludzkim języku mare tenebrarum.

Spuścił znużone oczy ku ziemi i zwrócił się w stronę przeciwną, ku przestrzeni kolejowej.

— A tutaj — dorzucił — tutaj kończy się życie. Oto jego ostatni wysiłek, ostatnia krańcowa odwaga. Tutaj wyczerpuje się jego twórczy rozmach. Przeto stoję tu jako strażnik życia i śmierci, jako powiernik tajemnic z tej i tamtej strony grobu.

Domawiając tych słów spojrział mi głęboko w twarz. Był piękny w tej chwili. Natchnione spojrzenie zamyślonych oczu, oczu poety i mistyka, skupiło w sobie tyle ognia, że nie mogłem znieść ich promiennej mocy i pochyliłem ze czcią głowę. Wtedy zadał mi końcowe pytanie:

— Czy wierzysz w życie po śmierci?

Podniosłem powoli głowę:

— Nic nie wiem. Ludzie mówią, że tyle jest dowodów za, co i przeciw. Rad bym uwierzyć.

— Umarli żyją — powiedział mocno Joszt. Nastąpiło długie, wsłuchane w siebie milczenie. Tymczasem słońce, zakreśliwszy łuk nad zębatym żlebem, skryło tarczę poza jego zrębem.

— Już późno — zauważył Joszt — i cienie wychodzą z gór. Musisz dziś wcześniej się położyć; zmęczyłeś się jazdą. Na tym zakończyliśmy pamiętną naszą rozmowę. Odtąd ani razu już nie mówiliśmy o rzeczach ostatecznych ani groźnym darze drugiego wzroku. Wystrzegałem się dyskusji na ten niebezpieczny temat, gdyż widocznie sprawiała mu przykrość... Aż razu pewnego on sam przypomniał mi swe ponure zdolności.

Było to dziesięć lat temu, w środku lata, w lipcu. Daty tych zdarzeń pamiętam dokładnie — wraziły się w pamięć na zawsze.

Było to w środę, trzynastego lipca, w dzień świąteczny. Jak zwykle rano przyjechałem w odwiedziny; mieliśmy razem ruszyć ze strzelbami w sąsiedni parów, gdzie pojawiły się dziki. Zastałem Joszta w nastroju poważnym, skupionym. Mówił mało, jakby zajęty upartą myślą, strzelał źle, w roztargnieniu. Wieczorem na pożegnanie uściśkał mnie gorąco i podał zapieczętowany list w kopercie bez adresu.

— Słuchaj, Roman — mówił drżącym ze wzruszenia głosem. — Mają zająć w życiu moim ważne przemiany; być może będę zmuszony wyjechać stąd na czas dłuższy i zmienić miejsce pobytu. Jeśliby to rzeczywiście nastąpiło, otworzysz ten list i odeślesz pod adresem zawartym wewnątrz; sam nie będę mógł tego zrobić z rozmaitych powodów, których obecnie nie wymienię. Zrozumiesz to później.

— Chcesz mnie opuścić, Kaziu? — zapytałem zdławionym od bólu głosem. — Dlaczego? Czy otrzymałeś jaką smutną wiadomość? Może jakie nieszczęście w rodzinie? Dlaczego wyrażasz się tak niejasno?

— Zgadłeś. Ujrzałem dzisiaj we śnie znowu rozwalony dom, a w jednej z jego czeluści postać osoby bardzo mi bliskiej. Oto wszystko. Żegnaj, Romku!

Rzuciliśmy się sobie w ramiona na długą, długą chwilę. Za godzinę byłem już u siebie i targany burzą sprzecznych uczuć wydawałem instrukcje jak automat.

Tej nocy nie zmrużyłem oka, niespokojnie przechadzając się po peronie. Nad ranem, nie mogąc znieść dłużej niepewności, zatelefonowałem do Szczytnisk. Odpowiedział natychmiast, dziękując serdecznie za troskliwość. Głos jego spokojny i pewny, treść słów pogodna, niemal żartobliwa, podziałały kojąco; odetchnąłem.

Czwartek i piątek upłynęły spokojnie. Co parę godzin porozumiewałem się z Josztem telefonicznie, za każdym razem otrzymując odpowiedź uspokajającą: nie zaszło nic ważnego. Podobnie rzecz się miała w sobotę w ciągu dnia.

Zacząłem odzyskiwać zachwianą równowagę i udając się na spoczynek koło dziewiątej wieczór w lokalu służbowym, zwymyślałem go przez tubę telefonu od puszczyków, kruków i tym podobnych złowieszczących stworzeń, które same nie mogąc znaleźć spokoju innym go zamęczają. Przyjął wyrzuty w pokorze i życzył mi dobrej nocy. Jakoż wkrótce zasnąłem twardo.

Spałem parę godzin. Nagle wśród najgłębszego snu usłyszałem nerwowe dzwonięcie. Na pół przytomny zerwałem się z otomany zasłaniając oczy przed rażącym światłem gazu w lampie.

Dzwonek wzywał powtórnie. Podbiegłem do aparatu przykładając ucho do receptora.

Mówił Joszt urywanym głosem:

— Wybacz... że ci przerywam sen... Wyjątkowo muszę puścić dziś wcześniej... towarowy nr 21... Trochę mi nieswojo... Odejdzie za pół godziny... wydaj odpowiedni sygn... Ha!...

Błonka wydawszy parę chrapliwych tonów nagle przestała drgać. Nasłuchiwałem z tętniącym sercem, czy czegoś jeszcze nie usłyszę, lecz nadaremno. Z tamtego końca drutu szło ku mnie głucho milczenie nocy.

Wtedy zacząłem sam mówić. Pochylony ku otworowi aparatu rzucałem w przestrzeń słowa niecierpliwe, wyrazy bólu... Odpowiadała kamienna cisza. Wreszcie zataczając się jak pijany na nogach odszedłem w głąb pokoju.

Wyciągnąłem zegarek i spojrzałem na tarczę; było dziesięć minut po dwunastej w nocy. Odruchowo porównywałem czas z zegarem ściennym nad biurkiem. Rzecz dziwna! Zegar stał. Znieruchomiałe wskazówki zasunięte jedna na drugą znały godzinę dwunastą; zegar stacyjny przestał chodzić od dziesięciu minut, to jest od chwili gwałtownego urwania rozmowy! Zimny dreszcz wstrząsnął moim ciałem.

Stałem bezradny w środku pokoju nie wiedząc, dokąd się zwrócić, co począć. W jakiejś chwili chciałem wsiąść na drewnianą łóżeczkę i pędzić co sił do Szczytnisk. Lecz w porę wstrzymałem się. Nie mogłem teraz opuszczać stacji; asystenta nie było, służba pospana, a nadzwyczajny pociąg towarowy mógł lada chwila zajechać przed peron. Bezpieczeństwo Krępacza spoczywało wyłącznie na moich barkach. Nie pozostało nic innego jak czekać.

Więc czekałem, jak ranny zwierz rzucając się z kąta w kąt pokoju, czekałem z zaciśniętymi ustami, co chwila wychodząc na peron i nasłuchując sygnałów. Wszystko na próżno: nic nie zapowiadało przybycia pociągu. Więc znów wróciłem do biura, by okrążywszy parę razy pokój ponowić próbę z telefonem. Bezskutecznie: nikt nie odpowiadał.

W dużej stacyjnej sali oświetlonej oślepiająco białym światłem gazu uczułem się nagle ogromnie samotny. Jakiś lęk dziwny, nieokreślony ujął mnie w drapieżne pazury i trząśł, że zacząłem dygotać jak w febrze.

Usiadłem znużony na otomanie i ukryłem twarz w dłoniach. Bałem się patrzeć przed siebie, by nie spotkać czarnych palców zegara wskazujących niezmiennie godzinę północy — jak dziecko bałem się spojrzeć otwarcie dokoła, by nie zobaczyć czegoś strasznego, co krew ścina lodem. Tak minęły dwie godziny.

Nagle drgnąłem. Grały dzwonki telegrafu. Podskoczyłem do stołu, gorączkowo puszczając w ruch przyrząd odbiorczy.

Z bloczku powoli jęło się wysnuwać długie, białe pasemko. Nachylony nad zielonym prostokątem sukna, ująłem w rękę pełzającą wstążkę i szukałem znaków. Lecz rulon był nie zapisany; ani śladu ryłca. Czekałem z wytężonym wzrokiem śledząc ruch taśmy...

Nareszcie pojawiły się pierwsze słowa w długich, minutowych odstępach, wyrazy ciemne jak zagadka, złożone jakby z trudem wielkim i wysiłkiem, ręką drżącą i niepewną...

.. Chaos... mroczno... bezład snu... daleko... szary... świt... och!... jak ciężko!... jak ciężko... wyzwolić się... wstręt! wstręt... szara masa... gęsta... cuchnąca... nareszcie... oderwałem się... Jestem...

Po ostatnim słowie nastąpiła dłuższa, parominutowa przerwa; lecz papier snuł się dalej leniwą falą. I znów pojały się znaki — teraz już pewniej stawiane, śmielsze:

... Jestem! Jestem!... Jestem!... On... mój kształt leży tam... na sofie... zimny, br... rozpada się powoli... od wnętrza. Obojętny mi już... Przychodzą jakieś fale... duże, jasne fale... wir!... Czujesz ten ogromny wir?!... Nie! Ty go czuć nie możesz... I wszystko przede mną obecne... wszystko teraz... Cudowny odmět!... Porywa mnie!... z sobą!... porywa!... Idę już, idę... Żegnaj... Rom...

Depesza nagle urwała się; aparat stanął. Wtedy prawdopodobnie zachwiałem się i upadłem na posadzkę. Tak przynajmniej utrzymywał asystent przybyły koło trzeciej nad ranem; wszedłszy do biura zastał mnie bez pamięci na ziemi z ręką owiniętą szarfami papieru. Oprzytomniawszy zapytałem o pociąg towarowy. Nie przybył. Wtedy bez wahania wsiadłem do drewnianego

pierzchających mroków puściłem motor w stronę Szczytnisk. Po półgodzinnej jeździe byłem na miejscu. Zaraz u wstępu spostrzegłem, że zaszło coś niezwykłego. Zwykle spokojną i samotną stację zalegał tłum ludzi cisnących się do lokalu służbowego.

Gwałtownie rozpychając gawieź utorowałem sobie drogę do wnętrza. Tu zobaczyłem paru mężczyzn pochylonych nad sofą, na której leżał z przymkniętymi oczyma Joszt.

Odrąciłem jednego i przypadłem do przyjaciela chwytając go za rękę. Dreszcz grozy ściał mi krew: ręka Joszta zimna i sztywna jak marmur wysunęła się z mojej i opadła bezwładnie poza brzeg posłania. Na twarzy ściętej mrozem śmierci, w wichurze bujnych, popielatych włosów, rozlany był cichy, błogi uśmiech...

— Udar serca — wytłumaczył stojący obok lekarz. — Dziś o północy.

Uczułem ostry, kłujący ból w lewej stronie piersi. Odruchowo podniosłem oczy na zegar ścienny nad otomaną. I on stanął w tragicznej chwili, i on wskazywał dwunastą.

Obsunąłem się na sofę siadając przy zmarłym.

— Czy zaraz stracił przytomność? — zwróciłem się do lekarza.

— Na miejscu. Śmierć nastąpiła równo o dwunastej w nocy w chwili nadawania depeszy przez telefon. Gdy dziesięć minut po północy przybyłem zawezwany przez dróżnika, pan naczelnik już nie żył.

— Czy kto telegrafował do mnie między drugą a trzecią? — zapytałem wpatrzony w twarz Joszta.

Obecni spojrzeli po sobie zdumieni.

— Nie — odpowiedział asystent — to wykluczone. Wszedłem do tego pokoju koło pierwszej, by objąć funkcję po zmarłym, i dotąd nie opuściłem lokalu służbowego ani na chwilę. Nie, panie naczelniku — ani ja, ani nikt inny ze służby tej nocy nie używał telegraficznego aparatu.

— A jednak — rzekłem półgłosem — dziś w nocy między drugą a trzecią odebrałem depeszę ze Szczytnisk.

Zapadło głuche, kamienne milczenie.

Jakaś słaba, niedołężna myśl przedzierała się z trudem do świadomości...

— List!

Sięgnąłem do kieszeni, rozdarłem kopertę. Był przeznaczony dla mnie. Oto co pisał Joszt:

Ultima Thule, 13 lipca

Drogi Romku!

Mam zginąć wkrótce, nagle. Człowiekiem, którego dziś śnie widziałem w jednym z okien rudery, byłem ja sam. Może niebawem spełnię swą misję, a ciebie wybiorę na pośrednika.

Opowiesz ludziom, dasz świadectwo prawdzie. Może uwierzą, że jest świat inny... Jeśli zdołam. — Żegnaj! Nie! Do widzenia — kiedyś po tamtej stronie...

Kazimierz.

Engramy Szatery

Przestrzeń była pusta. Jak daleko okiem sięgnąć, snuły się tylko wstęgi torów i wysterczały z nawierzchni słupy telegrafu. Gdy na chwilę ucichał wiatr, odzywało się na drutach stłumione mruczenie prądu, — gdy wracał znów zasilony świeżą rzeszą podmuchów, głuchła gawęda depesz a skarżył się żałośnie przestwór...

Z przydrożnych drzew sfruwały od czasu do czasu pożółkłe liście i porwane w szpony wichrowych wirów przerzucały się przez nasyp, hen na drugą stronę lub wyciągnięte w zwiędły, szeleszczący orszak, toczyły się smutno wzdłuż toru. Na niebie jesienny zmierzch rozścielił płachty z chmur i odział świat w barwy szarej nudy, w chuście z mgieł, w szalu z dżdżów błąkała się po polach cicha melancholia...

Szatera ogarnął się mocniej płaszczem, podniósł kołnierz i szedł dalej. Naczelnik stacji lubił te przechadzki w stronę Kniejowa o wieczornej porze, gdy wszystko mętnieje, kontury zacierają się i bierze świat we władanie królestwo zmroku, lubiał tę przedziwną godzinę pod schyłek dnia, gdy cienie zasnuwają ziemię i rodzi się wielka tajemnica. Każde drzewo, każdy kiersz, każdy wiatrak lub kamień śródpolny przebrawszy się w przyrodziewy zagadek, ludzi i mami i zwodzi. Z zaułków

zmierzchu wychyla się nienazwane, prostuje pokurczone drzemką człony, podnosi głowę, uśmiecha się. Biedny, upośledzony stwór szarej godziny. Naczelnik stacji w Zakliczu rozumiał głęboki jej liryzm, bo czuł, że w melodiach zmroku płyną jego własne, najserdeczniejsze tony.

Ludwik Szatera był kochankiem wspomnień, bo nie mógł nigdy pogodzić się z wiecznym mijaniem ludzi, zdarzeń i rzeczy. Każda chwila zapadająca nieodwołalnie w przeszłość miała dlań wartość bezcenną, nieprzełaną i każdą żegnał z uczuciem niewysłowionego żalu. Cóżby dał za to, by móc ją zwrócić z tej drogi, zatrzymać znikającą tam na zakręcie! Lecz, że wiedział, iż ofiara byłaby daremną i tego, co minęło, nie ocali, przeto życie stało się w końcu różańcem pożegnań i rozstań, jedną wielką, nabrzmiałą bezkresnym liryzmem waletą śpiewaną w głębinach wiernego serca temu, co przeszło i rozwiało się w dali...

Od dwóch lat o zmroku godzinie, gdy już przeszły wszystkie pociągi i był wolny od służby aż do trzeciej nad ranem, wybierał się Szatera na przechadzkę zawsze w jedną stronę: w kierunku nieistniejącego już dzisiaj przystanka w Kniejowie. Przed rokiem stał tu jeszcze budynek stacyjny z wieżyczką zwrotniczego przed wjazdem, z dwoma semaforami i parą stawideł. Kierownikiem stacyjki odległej zaledwie o 4 kilometry od Zaklicza był przyjaciel Szatery, asystent Droń, cicha, dobra dusza i gorliwy urzędnik. Przystanek w Kniejowie, przy którym zatrzymywały się tylko pociągi towarowe, miał właściwie znaczenie stacji przetokowej dla wozów ciężarowych, które przesunięte na boczny tor odpoczywały tu przez pewien czas, zanim puszczono je w dalszą drogę.

Placówkę tę, istniejącą od niepamiętnych lat, nagle ni stąd ni zowąd zwinęto. Czy okazała się już zbędną, czy też obciążała niepotrzebnie budżet kolejowy, nie wiadomo: dość, że władze stacyjkę zamknęły. Dronia przeniesiono gdzieś na kresy, a zwrotniczego Żaka przydzielono do służby na stacji w Pochmarzu. Z dawnego przystanka nie pozostało ni śladu: budynki rozebrano do szczętu, obiekty i sygnały pousuwano. Zniknął z powierzchni ziemi nawet ogródek otoczony sztachetami, w którym spędzili z przyjacielem tyle wieczornych godzin, poszczezały nawet szyny do przetaczania wozów. Tylko kamień milowy bielejący o parę kroków od słupa telegraficznego wskazywał miejsce, gdzie była niegdyś stacja.

Ten kamień, widomy ślad życia, które tu zamarło, ten kamień, biały świadek zdarzeń, co przebrzmiały bezpowrotnie, stał się celem wieczornych przechadzek Szatery. Zwyczajnie wychodził naczelnik z Zaklicza po wyekspediowaniu ostatniego pociągu koto piątej i po godzinnym marszu docierał do kamienia milowego w Kniejowie. Pod zorzę zachodzącego słońca latem i wiosną, a pod burą pomgłać w porze zimowej i w schyłki jesieni siadał na tym białym szczątku przeszłości i w głębokiej zadumie palił fajeczkę. Towarzyszyły mu zawsze wiernie smutek przestrzeni i wielka cisza pół... Gdy wracał do siebie, do Zaklicza, bywało już całkiem ciemno...

Tak minął rok od czasu zamknięcia przystanka. Wędrówki ku Kniejowu przeszły w coś nieodzownego, coś, bez czego żyć nie można — stały się "drugą naturą". Szatera czuł się chorym, ilekroć okoliczności ułożyły się tak fatalnie, że nie mógł odbyć swej wieczornej przechadzki.

Aż zaszedł fakt, który zdawał się wynagradzać go za wierność serca, spełniając w sposób wyjątkowy tęsknotę wielu dni...

Było tydzień temu, w pamiętny dzień 9 października.

Wieczorem jak zwykle, koło piątej przywdział Szatera nowy mundur, narzucił na ramiona świeżo sprawiony szynel z odznakami naczelnika i nacisnąwszy mocno czapkę służbową, ruszył ku Kniejowu. Wieczór był jak dzisiaj, ponury i smętny. Na niebie borykały się z wiatrami ołowiane chmury — dżdżył deszcz jakby przesiany przez przetak, a ponad rżenie wichury wybijał się od chwili do chwili ochrypty skwir zmokłych wron i kawek.

Naczelnik pomykał kroku smutny i bardziej przygnębiony niż zwykle. Wieczór ten rozkołysał w nim silniej niż kiedykolwiek falę wspomnień. Bo dnia tego przypadała rocznica zwinienia stacji. Pamiętał, jak dziś, chwilę rozstania z przyjacielem. Nagle w czasie pogawędki Droń umilkł i szybko podszedł ku oknu, jakby wypatrując coś na przestrzeni. Po chwili odwrócił się i podając mu rękę na pożegnanie, rzekł krótko, zdławionym głosem:

— Bywaj zdrów, mój stary. Jutro wyjeżdżam.

— Dokąd? — zapytał zaniepokojony.

— Na kresy — gdzieś do jakiejś stancyi hulajpolskiej, gdzie djasek dobranoc mówi.

— Żartujesz?

— Gdzie tam. Rozkaz. Jutro zamykają budę. Zbędna. I uściskawszy go, niemal gwałtem wypchnął za próg. Stary dziwak bał się, by w obecności druha nie ryknąć płaczem i bronił się przed samym sobą.

Nazajutrz zaczęto rozbierać stacyjkę... Stało się rok temu, mniej więcej o tej samej wieczoru godzinie... Dziś chwila ta wracała na skrzydłach jesiennego wichru, w poszeptach zwiędłych liści, w melodiach dżdżu rocznica...

Szatera był już niedaleko miejsca, gdzie stała niegdyś stacja. W mętnej poświatli zmierzchu białął już trzon kamienia.. Wtem podniósłszy wzrok, zadrżał. Nad torem po prawej stronie przestrzeni błyszczał z daleka w mrokach wieczora świetlny sygnał: dwoje dużych, żółtych oczu.

— Co to? Czyżby semafor redivivus? — przyspieszył kroku w stronę znaków, lecz gdy zbliżył się na linię kamienia, światła nagle pogasły. Ze ściśniętym sercem zaczął szukać słupa sygnałowego. Lecz szukał na próżno. Wszak usunięto go jeszcze przed rokiem.

— Więc skąd te latarki tam w górze... Przywidzenie, czy co u licha?... A może to trochę za stacją, po tamtej stronie? — i minawszy słupek milowy, zapuścił się dalej w kierunku Wygnanki. Lecz gdy po kwadransie drogi nie natknął na upragniony obiekt, zawrócił ku Kniejowu.

— Widocznie przywidziało mi się — wywnioskował, zmierzając ku miejscu ulubionego postaju.

Lecz któż opisze jego zdumienie, gdy teraz ujrzał ponownie nad sobą na wysokości jakich 6 metrów parę krwawo jarzących się znaków; zmieniony sygnał ostrzegał czerwonym światłem, że przestrzeń zajęta.

Szatera przetarł oczy raz i drugi, nie dowierzając sobie: zwid nie zniknął — wciąż płonęły tam nad nim ogniste latarki zawieszane na ramieniu niewidzialnego semaforu. Naczelnik usiadł na kamieniu i zapaliwszy fajkę, wpatrywał się jak zahipnotyzowany w sygnał ostrzegawczy.

Nie pomniał, jak długo trwała kontemplacja — może godzinę, może dwie, trzy. Gdy ocknął się, szarzało już na wschodnich zrębach i gruby szron okrywał szarym kożuchem trawy. Zniknęły czerwone światła, a w pustych dziedzinach przesworza rozpiwały się tylko sztywne, czarne druty telegrafu,...

Wstrząsany dreszczem gorączki, zziębły, na pół skostniały lecz z uczuciem dziwnej błogości w sercu, wrócił się Szatera rześkim krokiem na stację w Zakliczu, by objąć poranną służbę.

Od owego wieczora upłynął tydzień — 7 niezapomnianych dni w życiu naczelnika — 7 dni cudu — 7 dni obcowania twarzą w twarz z nienazwanem. Teraz już codziennie zapalały się dlań w Kniejowie tajemnicze sygnały, codziennie funkcjonował niewidzialny semafor. Czyjaś ręka troskliwa zawieszała w przestrzeni otocza latarń, zmieniała barwy, regulowała światło. I zdawało się przez tych parę dni Szaterze, że wróciły dawne, dobre czasy, że stacja lada chwila ożyje i że znów posłyszysz ówdzie na peronie donośny głos przyjaciela:

— Puścić wozy na ostatni! Stawidło trzecie w ruch! Przetoczyć na ślepy tor!

Na razie pełzały cicho tam wśród zwojów zmierzchu tylko te dwa światła, lecz wrychle, za dzień, za dwa... mogło wrócić wszystko!...

I dziś, 17 października zbliżał się naczelnik Zaklicza z bijącym sercem do miejsca wspomnień. Z zapartym oddechem odczytywał na kamieniach przebyte kilometry i pędził przed siebie unoszony na skrzydłach tęsknoty. A gdy już minął trzeci znak przydrożny i docierał do celu, utopił rysie spojrzenie w przestwór nad sobą i nie spuszczał zeń oczu. Lecz dziś nie ujrzał sygnału: przestrzeń niema i głucha czerniła się kirami jesiennego mroku.

Więc usiadł na kamieniu i czekał. Czekał godzinę, dwie, trzy, przetrwał północ i doczekał się brzasku: nie zapłonęły światła. Wtedy ze zwieszoną głową, chwiejnym, pijanym krokiem odszedł w stronę własnej stacji...

Nazajutrz zdarzył się w Zakliczu przykry wypadek. Przetokowy Jaksza wskutek własnej nieostrożności dostawszy się pod koła osobowego z Wygnanki, zginął poszarpany na strzępy. Z pogruchotanego Nielitościwie ciała pozostała tylko ręka wyrzucona przez pociąg na tor pierwszy, tuż przed peronem. Ten krwawy szczątek człowieka przyodziany w rękaw służbowej bluzy, z

pięciu rozczapierzonemi palcami i z wysterczającą trupio-błądą drzazgą kości zarył się głęboko w pamięć Szatery. I chociaż służba stacyjna usunęła skwapliwie ślady wypadku i zasypała świeżym płaskim miejsce, gdzie leżała ręka Jaksy, naczelnik Zaklicza miał ją wciąż przed oczyma krwawą i drapiezną...

W parę tygodni potem, przechodząc przez tory przed stacją, zwrócił uwagę na szczególny kaprys wiatru. W kilku miejscach pomiędzy szynami poderwały się z gruntu tulejki piasku i pokręciwszy się przez jakiś czas na miejscu, zaczęły przeciągać się i wydłużać ku sobie. Utworzony w ten sposób lej większy przeniósł się o parę kroków dalej i zawirowawszy jeszcze parę razy, opadł z powrotem pomiędzy tory.

Szatera podszedł ku temu miejscu i spostrzegł, że piasek naniesiony przez zbiorowy wysiłek wicherek ułożył się jakby w kształt ludzkiego ramienia. Wpatrzywszy się dokładniej w tę rzeźbę wiatrowej chimery, doznał naczelnik uczucia jakby lęku: ta ręka z piasku z rozstawionymi szponami palców, wysuwająca się jakby z jakiegoś rękawa, wyglądała na odlew ręki Jaksy. Podobieństwo było uderzające, aż do najdrobniejszych szczegółów.

Gdy zdumiony nie odrywał oczu od niesamowitego zjawiska, odezwał się poza nim szmer kroków. Odwrócił się i spostrzegł zbliżającego się ku niemu asystenta Derwicza.

— Co pan naczelnik tak pilnie obserwuje na torze? — zapytał młody człowiek, przykładając palce do czapki.

— Szczególny fenomen, panie kolego — odparł Szatera, wskazując na piasek — co pan myśli o tej figurze?

— Której? Gdzie.

— O, tutaj, ta kupka piasku. Niech się jej kolega lepiej przypatrzy.

W tej chwili nadpłynął z przestrzeni świeży podmuch wiatru i rozwiął rzeźbę — efemerydę.

— Sacre bleu! — zaklął Szatera — spóźnił się kolega o parę sekund, a warto było zobaczyć.

I wytłumaczył mu, o co chodziło. Derwicz wysłuchał z zajęciem lecz nie wyglądał na przekonanego.

— Mogło się jednak to wszystko panu naczelnikowi przywidzieć — rzekł w końcu z odcieniem sceptycyzmu w głosie. — Być może myślał pan w tej chwili o niedawnym wypadku na stacji.

Szatera wzruszył tylko niecierpliwie ramionami, lecz nic nie odpowiedział. Obojętne mu było, czy asystent wierzy w rzeczywistość tego, co on widział przed chwilą czy nie.

Przez parę następnych dni kaprys wichrowy na piasku powtarzał się na rozmaitych punktach toru lecz coraz niewyraźniej i niedokładniej: odlew ręki był fragmentaryczny i niewykończony: raz brakowało niektórych palców, to znów ramię wyglądało skrócone po łokcie. W ciągu następnych tygodni zjawisko występowało już tylko sporadycznie w przerwach najpierw dwudniowych, później co trzy, cztery dni, a wreszcie ustało zupełnie i już nie powróciło.

Równocześnie podobny objaw zaobserwował na miejscu dawnej stacji w Kniejowie. Światła niewidzialnego semaforu pojawiły się jeszcze parę razy w kilkudniowych odstępach lecz za każdym razem były coraz słabsze: sygnały bładły widocznie i wyczerpywały się, aż zaczęły i więcej nie powtórzyły się...

Wtedy coś i w Szaterze załamało się i zgasło. Przez czas pewien piastował w duszy złudne majaki, a gdy już był bliskim realizacji, zdradziecki miraż rozwiął mu się w oczach. I znów zapanowała wszechwładnie szarzyzna codzienności...

Lecz powoli poprzez mroki otoczenia zaczął przeblyskiwać brzask pociechy. Wśród bezładu zdarzeń i rzeczy zakiełkowała myśl. Zrazu nieśmiała i wątła rozrosła się z czasem do rozmiarów wybujałych i przygłuszyła sobą wszystko; sturamiennie jej poroście rozwieliły się bezlikiem korzeni i odgałęzień upartych, wiśnych, nie do wypelcia.

Odtąd Szatera żył tylko tą myślą i dla tej myśli. Przesłoniła mu sobą cały widnokrąg i zepchnęła wszystko inne w cień spraw podrzędnych. Zapatrzony w jej zbawczy drogowskaz, szedł już prosto w wytkniętym raz kierunku i nie zbaczał ni w prawo ni w lewo, nie oglądając się na nic i na nikogo. Naczelnik wstąpił na szlaki fatalne...

Pod wpływem dziwnych objawów, zaobserwowanych w Kniejowie i na stacji w Zakliczu,

powstała "teoria engramów", ocalająca przeszłość.

Bo z czasem nabrał Szatera przekonania, że nic na świecie nie ginie, że żadne choćby najbliższe zdarzenie nie przepada i nie rozwiewa się bez śladu. Przeciwnie — wszystko utrwała się i rejestruje. Gdzie — dokładnie nie umiał określić. Może gdzieś w metafizycznym planie, w hinduskiej akasa wszechświata, w jakimś astralnym eterze lub niewidzialnym, kosmicznym fluidzie?... Zdarzenia rzeczywiste rozegrawszy się na arenie świata widzialnego, prawdopodobnie wsiąkają w przestrzenie wymiaru czwartego, by tu utwalić swój obraz na kliszy astralnej. Te wizerunki chwil i spraw ubiegłych zarejestrowane tam gdzieś w sferze zaświatowej, niby jakieś metafizyczne fotografie i plansze nazwał Szatera "engramami" zdarzeń.

Owe engramy, ślady faktów i zająć minionych, trwają w stanie utajonym na kliszach zaświatów jak podobizny świata fizycznego wywołane przez światło na szkle lub papierze powleczonym emulsją. Trwają — więc istnieją in potentia — czyhają na sposobność... by znów powrócić w sferę widzialności i powtórzyć się echem.

Bo zdarzenia mają swoje echa jak głos lub dźwięk: lubią powtarzać się i odbijać kilkakrotnie — czasem poprzez wieki. Ich engramy, korzystając ze szczęśliwej konstelacji spowodowanej częściowym powrotem tego splotu spraw, który niegdyś je wywołał, przechodzą ze stanu utajonego w stan czynny i empiryczny: aktywizują się.

Zywotność engramu zależy od rozmiarów i jakości modyfikacji wytworzonych w sferze zaświatowej przez zdarzenie pierwotne. Najsilniej utrwalają się zajścia tragiczne, bo te wstrząsają potężnie dziedzinami z tamtego brzegu. Engramy zdarzeń błahych i nikłych pozostają w utajeniu bez echa, o ile ich ktoś nie "wywabi".

Bo pierwszorzędną rolę w aktywizacji engramu odgrywają ludzkie uczucia, myśli i wspomnienia. Człowiek może tęsknotą swoją ściągnąć przeszłość z "nieba" na ziemię; myśli jego krążąc uporczywie koło zdarzeń minionych, ułatwiają im powrót w sferę rzeczywistości: przywołują echo. Dlatego "pogłos" spraw upłynionych tym silniejszy, im głębsza tęsknota za nimi i im świeższy engram. Najłatwiej wywabić echa niedawnej przeszłości.

Im dalej wstecz w perspektywę czasu, tym trudniejsza odnowa, Engramy rzeczy dawno przebrzmiałych nie łakną zda się reprodukcji. Wygląda na to, że w miarę oddalania się od nas w czasie, moc ich słabnie. Najsilniejsza jest tendencja do powrotu wkrótce po rozegraniu się zdarzenia; potem wątleje, rozwadnia się, wreszcie wygasa.

Szatera doświadczył tego w dwóch dotyczących go blisko wypadkach: zaktywizowane przez jego upartą myśl engramy odtworzyły częściowo parę razy chwile minionie lecz potem wyczerpawszy się zaczęły płowieć, mętnieć, aż zgłuchły.

Lecz Szatera pragnął mieć przeszłość przed oczyma ciągle żywą, ciągle pulsująca krwią chwili bieżącej, wiecznie aktualną, chciał mieć ją bez przerwy tuż przy sobie, codziennie, na zawołanie, niby kochankę posłuszną na każde skinienie. Tymczasem ona, znużona i wyczerpana, wymykała mu się z kochających ramion i kryła za kotarami zaświatów.

Pozostały mu tylko rocznice, owe dziwne lata, dni i godziny, w które dzięki tajemniczej umowie między światem tym i tamtym powracają "z nieba na ziemię" ludzie, zdarzenia i rzeczy umarłe. Co je do nas sprowadza — wzmożona tęsknota i myśli żyjących, czy prawo periodycznego nawrotu oparte na pitagorejskich stosunkach liczbowych, utajonych głęboko w budowie wszechświata — nie wiadomo. Lecz, że rocznice wskrzeszają przeszłość, aktywizując jej engramy — to pewne. Zbiorowa tęsknota pewnych zrzeseń ludzkich posiada niewątpliwie większą moc "wywabiania", niż wysiłek myślowy choćby niezwyklej jednostki...

Dlatego naczelnik Zaklicza, który nazwał rocznicę Zaduszkami zdarzeń, postanowi wyglądać cierpliwie ich nadejścia. Siła jego myśli i tęsknot wystarczyła tylko na wywołanie kilkukrotnego echa, bo i jego moc duchowa, jak wszystko na świecie miała swe granice. Teraz musiał czekać na pomoc innych, na zbiorową współpracę towarzyszy ziemskiej wędrówki, którzy w rocznicę ważnych dlań zdarzeń przyczynić się mieli do ich wskrzeszenia swą myślą i wspomnieniami...

Tymczasem życie skróciło mękę wyczekiwania i zesłało mu w darze wypadek straszliwy, zdolny do wypalenia na kliszach zaświata obrazów trwałych i soczystych.

Był nim pamiętny karambol na stacji w Zakliczu w dniu 8 lipca 1920 r. Wskutek karygodnej pomyłki funkcjonariusza z wieży nr 2, który wystawił na semaforze niewłaściwy sygnał "wolnego wjazdu", nastąpiło zderzenie osobowego z Pochmarza i pośpiesznego z Wygnanki. Natarcie tego ostatniego na stojący już przed peronem pociąg osobowy było tak gwałtowne, że obie maszyny wtargnąwszy nawzajem w swe organizmy, zaryły się jedna w drugą i utworzyły chimeryczny stop nastroszony konwulsyjnie powykręcane kikutami żelaza. Osiem wagonów pociągu napadniętego, a dziesięć ze strony atakującego uległo zupełnemu zniszczeniu; pozostała z nich tylko zmieszana dziko z krwawymi szczątkami ciał ludzkich duśba żelaza i drzewa.

Straty w ludziach były potworne: zginął niemal cały personel pospiesznego, 10 funkcjonariuszy, którzy pełnili służbę przy osobowym i 100 pasażerów.

Dworzec w Zakliczu sprawiał przez parę następnych dni wrażenie szpitala lub pobojuwiska. Zewsząd dochodziły jęki i skargi ofiar, w powietrzu unosiła się mdła woń jodoformu, na peronie i w poczekalniach bieleły sposoczone krwią płaszcze felczerów i lekarzy. Szatera chodził z kąta w kąt jak struty, zatykając nerwowo uszy lub zamykał się u siebie w biurze stacyjnym. Nikt tak silnie nie odczuł katastrofy jak on. Wymizerniał, wychódł i jak szkielet chodził pomiędzy ludźmi.

Lecz gdyby komuś udało się było wtedy zająrzeć w głąb jego duszy, przekonałby się, że straszliwy wypadek wytrawił w niej tylko pewne, ściśle określone szczegóły. Jednym z nich był obraz maszynisty, który prowadził pociąg pospieszny — obraz poprzedzający o parę sekund moment zdarzenia. Szatera widział twarz tego człowieka w krytycznej chwili — twarz szarą, niemal ziemistą z oczyma wyskakującymi z oczodołów, i śledził gest jego ręki zaciśniętej w beznadziejnym wysiłku na korbie hamulca. Potem, już w ostatniej sekundzie spostrzegł coś, czego nigdy nie umiał sobie wytłumaczyć. Maszynista nagle uśmiechnął się, odjął rękę od przyrządu i uczynił nią ruch lekceważenia. Równocześnie niemal wyrosła obok niego na platformie maszyny druga, trochę zatarta w konturach lecz zupełnie doń podobna postać ludzka i z tym samym lekceważącym wszystko uśmiechem odwróciwszy się od kotła, zaczęła schodzić po stopniach w dół... W tej chwili nastąpiła detonacja...

Wśród piekielnego łomotu i trzasku, wśród chaosu spiętrzonych wozów, wężowiska sprzętów, ludzi, rzeczy mignęła przed oczyma Szatery sylweta młodej pani w czerwonym szalu. Nieszczęśliwa usiłowała ratować się ucieczką, wyskakując przez okno jednego z przedziałów. Lecz skok był fatalny, uderzywszy głową o latarnię międzytorową, zginęła na miejscu... Wtedy przyszedł moment końcowy — najstraszliwszy w swym ponurym uroku.

Z pod kół jednego z wagonów wyrzucona niby krąg żelazny z pasów transmisji wypadła i potoczyła się ku niemu cudna, dziewczęca główka w otoczu jasnych, złotoblond włosów. Nagle ujrzał u stóp swoich parę przepięknych, fjołkowych oczu, które śmierć zawlokła już szklivem martwoty i parę warg rozchylonych, podobnych płątkom róży. Szatera pochylił się ku tej umęczonej głowie, wziął ją ostrożnie w obie dłonie niby relikwię i przycisnął usta do jej ust zbielejących...

Wtedy uczuł na wargach ból i posmak krwi. Zaciśnięte jej zęby, drobne, o połyskach perłowych zębki rozwarły w chwili pocałunku i skurczem agonji zamknęły z powrotem. Szatera wyszarpnął usta z miłosnej uwięzi i wstrząsany dreszczami grozy wypuścił z rąk głowę kochanki. W oczach po ciemniało mu, świat zawirował pod nogami i bez pamięci zwałił się na szyny. Gdy odzyskał przytomność, znoszono już zabitych i rannych...

W miesiąc po katastrofie obudziły się na stacji w Zakliczu posępne jej echa.

Zaczęło się od podejrzanych cieni na ścianie magazynów przy torze pierwszym. Szatera spostrzegł je po raz pierwszy 10 sierpnia w chwili przejazdu towarowego ze Zwijachla. Cienie rzucone wtedy przez przesuwane mimo budynków wagony nie odpowiadały im wcale pod względem wymiarów i kształtów; to, co ujrzał na ścianie magazynów, wyglądało raczej na projekcję spiętrzonej dziko barykady, niż na cień wozów w zwykłej normalnej pozycji; zwykle symetryczne, prostokątne kontury wagonów załamały się w swem cienistym odbiciu w zwichrzoną, niespokojną linię, pełną uskoków, wyrw i przepuklin.

Najdziwaczniej wypadł cień parowozu z jaszczykiem: maszyna wyglądała w tej kapryśnej interpretacji jakby podwójnie: można w niej było rozróżnić całkiem dokładnie parę kominów.

Projekcja pociągu sprawiała wrażenie złośliwej karykatury...

Już ten pierwszy objaw, który powtórzył się kilka razy w odstępie kilkudniowym, dawał dużo do myślenia. Wkrótce miały przyjść znaki inne, wymowniejsze...

W któryś wieczór pod koniec sierpnia zaobserwował Szatera zagadkowy fenomen podczas wjazdu osobowego z Żuławy. Zajeżdżający na stację w zwolnionym tempie pociąg wydał mu się wyższy i smuklejszy niż zwykle. Zatrzymawszy uważne spojrzenie na płaszczyźnie szczytowej wozów, odkrył naczelnik wnet przyczynę. Pociąg posiadał subtelną, lecz dla jego oczu dostrzegalną otoczkę, która stanowiła jak gdyby jego przedłużenie w wyż. Ta delikatna, z mglistej, nieważkiej materii utkana nadbudowa sprawiała, że wagony wyglądały wyższe niż kiedy indziej.

Szatera nie omieszkał podzielić się swojemi spostrzeżeniami z Derwicem.

Panie kolego — zagadnął obok stojącego asystenta — czy nic pana nie uderza w tym "garniturze"?

I wskazał ręką na pociąg, który tymczasem wystęknąwszy skrzelami maszyny białe kłęby pary, stanął na trzecim torze przed peronem.

Asystent przeszedł spojrzeniem "skład" od początku do końca i potrząsnął przecząco głową.

— Nie widzę w nim nic nadzwyczajnego. Obsada wozów regularna, obciążenie średnie.

Wszystko w porządku.

— Czy wozy nie wydają się koledze trochę smuklejsze niż zwykle? — poddał mu Szatera.

Oczy młodego człowieka przesunęły się raz jeszcze po pociągu, poczem trochę zdumione spoczęły na przelożonym.

— To złudzenie panie naczelniku — odpowiedział spokojnie — rodzaj optycznej iluzji wywołanej być może chwilowym stanem atmosfery. Dziś było dość dużo mgły w powietrzu.

— W takim razie i kolega powinienes być jej ulec.

— No niekoniecznie. Pewną rolę odgrywają przy tym i indywidualne własności naszych narządów wzrokowych.

— He, he, he — zaśmiał się szydersko Szatera — innymi słowy chciał kolega powiedzieć, że każdy z nas inaczej widzi. Ha, trudno — nie będę pana przekonywał. Być może mam wzrok trochę inny niż drudzy. I dał ręką znak do odjazdu...

Z początkiem września rozbrzmiały echa w sposób żywiołowy. W czasie od 3 - 10 września niemal dzień w dzień wybuchał wśród pasażerów pospiesznego z Wagnianki niczym nieuzasadniony popłoch. W chwili zajeżdżania pociągu na stację w Zakliczu przerażeni podróżni cisnęli się do okien wagonów i tłoczyli na platformach, chcąc widocznie jak najspieszniej wysiąść. Kilku nawet silniej podenerwowanych wyskoczyło podczas ruchu spory kawałek przed stacją.

Do kulminacyjnego punktu doszła panika 9-go września, kiedy to w momencie wjazdu powstała między podróżnymi jednego z przedziałów brutalna bójka. Kilku mężczyzn z podniesionymi do góry łaskami zaczęło sobie torować drogę ku wyjściu, przy którym stłoczyła się gromadka wystraszonych kobiet i dzieci. Zanim pociąg zatrzymał się przed peronem, wybito trzy szyby i wyłamano parę drzwi. Z wnętrza wozów odezwały się spazmatyczne krzyki kobiet i płacz dzieci. Parę osób stoczyło się po stopniach wozu, ponosząc lżejsze i cięższe obrażenia, parę nie licząc się z następstwami, wyskoczyło przez okno. Gdy wreszcie pociąg stanął i zirytowany Derwicz zaczął dopytywać się podniesionym głosem o przyczynę paniki, biedacy nie umieli dać ściśle określonej odpowiedzi. Bezradni, osłupiali spoglądali jedni na drugich, zwalając winę na pozostałych w wagonach. Ktoś krzyknął — "karambol", ktoś inny: "zderzenie" i popłoch był gotowy. Asystent nie mógł dojść prawdy mimo najszczerzych chęci.

Tylko dla Szatery byto wszystko jasne i oczywiste. Dziwiłby się nawet, gdyby było inaczej. Lecz tym razem milczał i nie śpieszył z wyjaśnieniami.

Charakterystyczny był też szczegół, że popłoch wybuchał tylko w dwóch i to zawsze tych samych wozach. Były to wagony nr 232 i nr 135, oba niedobitki z pociągu zniszczonego przez karambol lipcowy, obecnie wcielone w nowy "skład". Szatera wiedziony dziwnym przecuciem zapamiętał sobie numery ocalałych wozów i zaraz po katastrofie zapisał je w raptularzu stacyjnym. Pomyłka była tu wykluczona, bo identyczność stwierdzały jego własnoręczne notatki. Mimo to nie zwierzył się z tego nikomu, zachowując spostrzeżenie dla siebie.

Bo i poco. Derwicz, najbliższy mu z zawodu i wspólnych zainteresowań człowiek, był naturą trzeźwą i niezdolną do odczucia spraw tajemnych. Kilkakrotne próby wciągnięcia go w kręgi zaświatów zawiodły zupełnie. Wyśmiałyby go niewątpliwie i teraz, zwalając "rzekome" objawy na "zwykły zbieg okoliczności", "przypadek" lub wykręcając się innym banalnym frazesem. Szatera rozumiał, że jest skazany na zupełną samotność i że wszystko musi pozostać do końca jego wyłączną tajemnicą.

Tym bardziej należało kryć się przed światem z innym, mniej jeszcze prawdopodobnym spostrzeżeniem. W czasie największej paniki wychylała się z okien jednego z wagonów pani w czerwonym szalu. Naczelnik poznał od razu tę kobietę. Była to ta sama twarz w okolicy czarnych, bujnych włosów, którą ujrzał po raz pierwszy w czasie katastrofy przed dwoma miesiącami — te same obłąkane oczy, szukające na próżno ratunku, te same białe, nerwowe ręce chwytające się kurczowo ramy okna, poza którym czekała już na nią śmierć. Teraz kobieta ta powtarzała swą tragiczną rolę...

Była tak ludzako podobna do tamtej, że Szatera za każdym jej pojawieniem się wchodził do wnętrza wozu i szukał jej, by "się przekonać naocznie". Lecz szukał zawsze daremnie. Nie było jej w żadnym z przedziałów, nie było w wagonach sąsiednich, nie było nigdzie w całym pociągu. Pani w czerwonym szalu ukazawszy się raz na krótką chwilę w oknie jednego z fatalnych wozów, znikła bez śladu...

A jednak aktywizacja engramu nie była pełna. Powtórzenie nie zaspakajało tęsknoty Szatery — wielkiej, bezbrzeżnej tęsknoty za tamtą... jasnowłosą... Wspomnienie pocałunku wlokło się za nim refrenem bolesnej rozkoszy i upominało o echo...

O usta słodkie, dziewicze. Krwi chciwe zaborcze usta!...

Z dnia na dzień wyczekiwał zjawienia się ukochanej z dnia na dzień wyglądał cudnego widma. Roztęsknione jego oczy ślizgały się po szybach okien wagonowych, błąkały po twarzach podróżnych, zaglądały w głąb przedziałów. Na próżno. Nie wysledziły ni cienia umiłowanej głowy, nie uchwyciły choćby najlżejszych jej konturów. Zazdrosne zaświaty pochłonawszy ofiarę, nie chciały mu jej oddać z powrotem...

Tymczasem echa katastrofy widocznie wyczerpywały się. Z rozpaczą w sercu widział naczelnik Zaklicza, że z dniem każdym powtórzenia są coraz słabsze, zarysy mętnieją, zacierają się. Po 10 września stały się rzadsze, mniej zaakcentowane, aż w połowie miesiąca ustały zupełnie. Na stacji w Zakliczu zapanowały znów stosunki "zdrowe i normalne" ku zadowoleniu asystenta Derwicza i radości zdenerwowanej już służby.

Tylko naczelnik był smutny i ponury. Uczucie bezmiernej pustki i zupełnej izolacji napełniło duszę po brzegi i przygięło wyniosłą niegdyś i sprężystą postać nisko ku ziemi. Zerwała się na czas nieokreślony łączność z zaświatem. Pozostał tylko ból, wierny towarzysz samotnych godzin i pożerająca wiązania ducha tęsknota za ukochaną...

Wtedy to w otchłaniach schorzałej od cierpienia jaźni wylęgła się zaródź piekielnego pomysłu. Skołatany wewnętrzną męką mózg zaczął dochodzić przyczyny luk i niedomówień w echach ostatniego karambolu. Dlaczego powtórzyły się tylko pewne szczegóły? Dlaczego aktywizacja engramu pominęła inne? Dlaczego nie powrócił tragiczny obraz jej uwielbianej głowy?...

Może warunki reprodukcji były niedostateczne?... A jeśli tak, może należy je spotęgować?... Tu rozszalałe kolo myśli zatrzymało się na chwilę. Dreszcz grozy wstrząsnął całym ciałem, Szafera zawahał się przed wyciągnięciem ostatecznych wniosków... Lecz nie długo. Przemożny czar zaświatów przełamał bariery skrupułów i powłókł go za sobą na szlaki zatracenia. Naczelnik stacji postanowił spowodować nowy karambol, który miał go obdarzyć choć na chwil parę wizją jasnowłosej dziewczyny.

Zbrodniczy pomysł dojrzał w ciągu jednej bezsennej nocy. Wśród poświstów jesiennego wichru i szmeru telegraficznych aparatów. Był prosty i łatwy do wykonania. Wystarczyło zatrzymać jeden pociąg trochę dłużej w Zakliczu, a równocześnie nadać do Pochmarza depeşe pozwalającą na wymarsz drugiemu kursującemu po tym samym torze. Kwestia 10 minut. Zderzenie było nieuniknione.

Do realizacji planu przystąpił Szatera śmiało i energicznie. Wybrał dzień pochmurny, październikowy, rozjęczony skargami wiatru i osowiałego ptaactwa.

Koło godziny piątej po południu, gdy już zmierzch zarzucił na ziemię czarne swe więcierze, objął Szatera służbę po asystencie. W 20 minut potem nadjechał osobowy z Rakszawy. Naczelnik wyszedł przed peron, zlustrował spokojnym spojrzeniem wozy. Przeczekał odbiór poczty, i nie dając znaku do odjazdu, wrócił do biura stacyjnego.

Stąd przez szybę mógł śledzić wygodnie sytuację.

Wkrótce objawiło się wśród funkcjonariuszy pewne zniecierpliwienie. Konduktorowie pozamykawszy drzwi wagonów, podnosili raz po raz w górę latarki na "odjazd", kierownik pociągu z trąbką przy ustach czyhał na powrót naczelnika i wyzwalający gest jego ręki...

A czas był już najwyższy. Za 10 minut miał zajeżdżać na ten sam tor pośpieszny z Pochmarza. Dziesięć minut! Właśnie tyle czasu, ile potrzeba było pospiesznemu do przebycia przestrzeni dzielącej obie stacje, a osobowemu, by dotrzeć do punktu najbliższego rozwidlenia torów i stąd zboczyć na bezpieczną już linię.

Lecz naczelnik stacji nie wychodził z biura. Żelazna jego wola rozdwoiła się i zaczęła operować na dwa fronty: tu trzymał na uwięzi zrywający się już do lotu pociąg, tam sięgał zbrodniczą ręką po taster aparatu, by wysłać zgubną depezę do stacji w Pochmarzu...

Ujął w palce guzik przyrządu nadawczego i przycisnął...

Nagle ręka zdrętwiała. Sparaliżowane przez ciemną siłę ramię znieruchomiało w pozycji nadanej mu przed chwilą. Szczególna senność omotała zmysły, dziwny bezwład skrępował członki. Czuł, jak coś w nim wyodrębnia się, wyłącza, wyzwala. Wpatrzył się szklanym spojrzeniem w szybę okna i ujrzał na peronie swoją własną postać... Zmierzała szybko ku przodowi pociągu, w krąg światła rzuconych przez stacyjne latarnie i nagle podniosła w górę rękę... Zabrzmiały nerwowy odzew trąbki i pociąg ruszył...

Przez szybę okna widział, jak wagony skwapliwie zanurzają się w ciemność, jak maszyna, chcąc nadrobić spóźnienie, pruje przestrzeń w przyspieszonym tempie, jak wypuszczony z uwięzi pociąg umyka, co pary w tłokach, z niebezpiecznego postoju... Ocalony!...

Szatera ocknął się jakby z głębokiego uśpienia. Wyzwolone z drętwoty palce chwyciły nerwowo główkę aparatu i podjęły przerwana czynność... Zaczęły bić sygnały. Naczelnik odjął rękę od przyrządu i jak wichur wypadł na peron.

— Dlaczego osobowy z Rakszawy już odszedł? — zapytał groźnie pierwszego z brzegu funkcjonariusza.

Nie rozumiem, panie naczelniku — brzmiała odpowiedź.

Jak to, "nie rozumiesz"? — wrzasnął niemal wyprowadzony z równowagi Szatera — pytam się, kto puścił osobowy ze stacji?

Podurzędnik wpatrywał się w przełożonego zdumionymi oczyma.

— Pan naczelnik był sam przy ekspediowaniu pociągu — wyjąkał wreszcie, nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi.

— Ja puściłem ten pociąg? Ja? Ja sam?...

To niemożliwe.

— Jeszcze parę minut temu sam widziałem na własne oczy. Stał pan naczelnik tam, pod tą latarnią i dał znak do odjazdu. Całe szczęście, że jeszcze w porę. Pociąg i tak przytrzymano na stacji o pięć minut za długo. Pospiesznego z Pochmarza tylko co nie widać. Były już sygnały wyjazdowe.

Szatera powiódł ręką po czole.

— Nie do uwierzenia — szepnął, zatapiając oczy w przestrzeń — nie do uwierzenia.

I powoli odszedł torami w kierunku, skąd miał nadejść pospieszny.

A już go było słychać. Już dudniła głucho ziemia, szczękały szyny... Na zakręcie, tam, gdzie tor główny rozgałęział się w krzyżową sieć relsów, rozbłyły ślepie maszyny. — Ogromne, złote oczy rozprężyły się kręgami światła, pęczniały, rosły...

Naczelnik przystanął między torami i oparty plecyma o zwrotnicę czekał. W uszach miał szum, na oczach mgłę...

Gdy maszyna zbliżyła się na odległość kilku metrów, ujrzał tam w dole, pod pierśią dyszącą, potwora, między kinkietami latarni jej głowę. Oczy cudne, lazurowe patrzyły nań i uśmiechały się wdzięczne a usta, krwi chciwe, dziewczęce usta nęciły obietnicą rozkoszy...

Ten uśmiech i te usta zwabiły go. Z wyciągniętymi ramionami runął pod koła, tam między latarnie: poszedł połączyć się z ukochaną na wieki...

O autorze

Stefan GRABIŃSKI

Polski pisarz, przedstawiciel nurtu grozy w polskiej literaturze międzywojennej. Klasyk noweli fantastycznej, twórca horroru kolejowego, określany czasem mianem "polskiego Poe" lub "polskiego Lovecrafta".

Urodzony 26 lutego 1887 w Kaminonce Strumiłowej nad Bugiem; ojciec był sędzią powiatowym, matka nauczycielką gry na fortepianie. Naukę rozpoczął w Samborze, maturę uzyskał we Lwowie. W 1905 roku wstąpił na wydział filologiczny Uniwersytetu we Lwowie. Studiował literaturę polską i filologię klasyczną pod kierunkiem Wilhelma Bruchnalskiego i Józefa Kallenbacha. Na studiach nawiązał znajomości m.in. z Juliuszem Kleinerem, Stanisławem Łempickim, Stanisławem Kotem, Stefanem Wierczyńskim. Po ukończeniu studiów w 1910 uczył w lwowskich gimnazjach państwowych i prywatnych. W latach 1914-1915 przebywał w Wiedniu, w latach 1917-1921 uczył w Przemyślu. W 1927 odbył podróż do Włoch, w 1929 do Rumunii. W 1931 z powodu zaawansowanej gruźlicy przeszedł w stan spoczynku i zamieszkał w Brzuchowicach - podlwowskiej miejscowości kuracyjnej. Zmarł 12 listopada 1936 we Lwowie.

Zaprzyjaźniony z nim Karol Irzykowski napisał we wspomnieniu pośmiertnym, iż pisarz, świadomy śmiertelnej choroby zawczasu penetrował zaświaty. W swoich (wyjątkowych na terenie literatury polskiej) Grabiński wykorzystywał perfekcyjnie schematy europejskiej literatury grozy, wprowadzał elementy spirytyzmu, nawiązywał do zjawisk określanym mianem parapsychologicznych. Debiutował pod pseudonimem Stanisław Żalny w 1909 roku tomem nowel pt. Z wyjątków. W pomrokach wiary. W 1918 ukazał się zbiór Na wzgórzu róż, odnotowany entuzjastycznie przez Karola Irzykowskiego i Wilama Horzycę. Kolejne tomy nowel to: Demon ruchu (1919), Szalony pątnik (1920), Niesamowita opowieść (1922), Księga ognia (1922); na scenie Teatru Małego w Warszawie (następnie w Krakowie i Lwowie) wystawia Willę nad morzem. (Ciemne siły) oraz misterium dramatyczne Zaduszki. Pisze scenariusz filmowy do własnej noweli Kochanka Szamoty. Był także autorem powieści: Salamandra (1924), Cień Bafometa (1926), Klasztor i morze (1928), Wyspa Itongo (1936), realizujących znakomicie konwencję literatury grozy.



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-K-1496

Przygotowanie oraz konwersja do formatów ePub i mobi:

Mateusz Zasuwik | mzasuwik@gmail.com

Źródło opowiadań:

WikiŹródła, zasób udostępniony na zasadach Domeny Publicznej

http://pl.wikisource.org/wiki/Demon_ruchu

Źródło biogramu:

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej

<http://literat.ug.edu.pl/grabin/>

Źródło portretu:

Narodowe Archiwum Cyfrowe

<http://www.audiovis.nac.gov.pl>

Ilustracje:

Ryszard Wojtyński | ryszard@mediacafe.pl

<http://stefangrabinski.prv.pl>

Data wygenerowania pliku:

19 marca 2012 r.

Wersja pliku: 1.1

W razie jakichkolwiek poprawek (np. literówek), wersja pliku będzie zwiększana

Uszanuj proszę pracę autorów niniejszego ebooka i dziel się nim w niezmienionej formie.
Dziękuję.

Ku chwale Wolnej Kultury i Domeny Publicznej

Table of Contents

Spis treści
Głucha przestrzeń (ballada kolejowa)
Smoluch
W przedziale
Wieczny pasażer (humoreska)
Fałszywy alarm
Demon Ruchu
Maszynista Grot
Sygnały
Dziwna stacja (fantazja przyszłości)
Błędny pociąg
Ślepy tor
Ultima Thule
Engramy Szatery
O autorze

